

ANNA
KLEJZEROWICZ

Emil Żado

Miłość, sztuka,
pieniądze i śmierć

ZAGINIONE
MIASTO


Replika

ZAGINIONE
MIASTO



ANNA KLEJZEROWICZ

ZAGINIONE
MIASTO

Copyright © Anna Klejzerowicz

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt okładki

Mikołaj Piotrowicz

Na okładce wykorzystano grafikę

Dariusza Kocurka „Zaginione miasto”

Rysunki w tekście według pomysłu autorki

wykonał Krzysztof Klejzerowicz

Skład i łamanie

Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

Dariusz Nowacki

ISBN 978-83-7674-386-8

*Wszystkie cytaty z książki P.H. Fawcetta „Exploration Fawcett”
pochodzą z polskiego tłumaczenia: P.H. Fawcett „Śladami Inków” 1964,
przekład Tadeusz Evert, Iskry, Warszawa.*

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel./faks 061 868 25 37

replika@replika.eu

www.replika.eu

Sprawdź, za co czytelnicy pokochali

książki Anny Klejzerowicz

Sąd ostateczny

Pełen wachlarz emocji, możliwość zapoznania się z historią sztuki, opis urokliwego Gdańska – to wszystko i jeszcze więcej w doskonałej powieści „Sąd ostateczny” Anny Klejzerowicz.

Natalia Nowak-Lewandowska

(ksiazkapolapkach)

*

Serdecznie polecam wszystkim amatorom i miłośnikom literatury z dreszczykiem. Już dziś poczuj na własnej skórze oddech naśladowcy kultowego malarza niderlandzkiego i zobacz, co wyniknie z tej konfrontacji.

Krystyna Mieszka

(cyrysia.blogspot.com)

*

Tę powieść czyta się jednym tchem, nie sposób oderwać się od akcji, opanować zdenerwowania. Nikt tak jak ta autorka, nie potrafi tak sugestywnie stworzyć klimatu, oczarować czytelnika, pomimo mocnych scen. Wspaniała książka. Przeczytajcie koniecznie.

Grażyna Strumiłowska

(Książka zamiast kwiatka)

*

Żywa akcja, która nie pozostawia czasu na nudę, interesujące tło historyczne, dopracowani bohaterowie, którym daleko do ideałów, wciągająca zagadka kryminalna i ciekawy wątek obyczajowy, nawet niebanalny morderca z misją... – na kartach powieści Anny Klejzerowicz znalazłam to, co lubię.

Asia Szarańska

(Babskie czytanie)

*

Kryminał z historią w tle i czy na pewno w tle? Przekonajcie się sami i przeczytajcie książkę.

Iwona Mejza

(Kryminały z mojej półki)

*

Jest zagadka, jest niebanalne śledztwo, są tajemnicze, pachnące kurzem i kadzidłem miejsca. I świetnie skreśleni pozytywni i poboczni bohaterowie, i z sercem opisane miejsca akcji, a także pewien rudy kocur... Czarująca i pełna uroku.

Paulina M. Stoparek

(noircafe.pl)

*

Czego możecie się spodziewać? Znakomitych wątków, które zmieniać się będą jak w kalejdoskopie. Łzy, uśmiechy, ale też i granie na nosie. Kim okaże się morderca?

Agnieszka Krizel

(Recenzje Agi)

*

Książkę czyta się świetnie. Ma bardzo szybką akcję, która czasami powoduje dreszcze. Wszystko od początku do końca jest idealnie przemyślane. Czytelnik nie nudzi się. (...) Polecam ją wszystkim, choć niektóre momenty nie powinny być czytane dzieciom.

Sebastian Czapliński

(Zaczytany w książkach)

*

Anna Klejzerowicz (...) poszukuje związku między teraźniejszością i przeszłością, pokazuje historyczne korzenie naszej codzienności, podsuwa pod nos dzieła sztuki, w których możemy szukać nie tyle gotowej odpowiedzi, co metody dochodzenia do prawdy. Jej kryminały mają wymiar uniwersalnej przypowieści. O ile zechcemy poszukać tego wymiaru.

Piotr Olszówka

(pisarz, publicysta, rysownik)

Cień gejszy

To trzymający w napięciu kryminał. Intrygująca fabuła, wartka akcja, ciekawi bohaterowie. Czegóż chcieć więcej?

Anna Kutrzuba

(dziennikarka, Dziennik Literacki)

*

Wszystko jest autentyczne, realne i zrozumiałe. W książce odnajdziemy i zdradę, i stracone zaufanie, tragiczną miłość, morderstwa i współczesne afery polityczne (...)

Agnieszka Lingas-Łoniewska

(autorka m.in. trylogii *Zakręty losu*, *Łatwopalni*, *Szóstego* i wielu innych powieści literatury kobiecej)

*

Autorka tworzy niesamowicie sugestywne, działające na wyobraźnię obrazy od których trudno się oderwać. Są kunsztowne i finezyjne, pełne nieuchwytnego czaru, jak japońskie drzeworyty,

będące cichymi bohaterami książki.

Alicja Minicka

(pisarka, publicystka)

*

Książkę czyta się jednym tchem. Bohaterowie dają się lubić; moją szczególną sympatię wzbudził Zebra, który niczym dobry tata pilnuje, aby Emil nie wpakował się zbyt duże tarapaty.

Olimpia Widowska-Wielandt

(japonia-online.pl)

*

To doskonała zagadka dla tęgich umysłów, ale również opowieść o wielkiej miłości, która pozostawia ślady odczuwalne nawet sto lat później

Magdalena Kijewska

(Przegląd czytelniczy)

*

Fabuła książki tak mnie wciągnęła, że po jej przeczytaniu postanowiłam zasięgnąć więcej informacji o sztuce japońskiej, a w szczególności w temacie drzeworytów. Polecam książkę całym sercem.

Ewa Formella

(ksiazkiidy.blox.pl)

*

U Anny Klejzerowicz, jako czytelnik, cenię sobie to, że tworzy udane kryminały środka – wolne z jednej strony od mrocznego nadąsania i przesadnie skomplikowanej, ornamentalnej wręcz fabuły, z drugiej zaś od prostackiego humoru i trywialnych pomysłów. *Cień gejszy* jest nadto sprawnie napisany, wyważony i angażujący zarazem; prezentuje się literacko bez zarzutów. Mam nadzieję, że Emil Żądło jeszcze wielokrotnie powróci.

Daniel Koziarski

(pisarz)

*

Na każdym kroku bohaterowie czują obecność tajemniczej Japonki, która wiek po swojej śmierci robi to, co robiła za życia: cicho

dotrzymuje towarzystwa, zapewnia nastrój swoją osobą (przedstawioną na serii drzeworytów) i w jakiś sposób prowadzi ludzi do zachowania się zgodnie z zasadami. Tyle że jedną z japońskich zasad jest harmonia między sposobem życia i zadowoleniem z niego... a inną zasadą: konieczność pomszczenia zbrodni. Japońska wyobraźnia nie zna pojęcia „przedawnienia”, nastrój zapewniony przez zamordowaną gejszę jest dyskretnie niesamowity i niepokojąco tajemniczy, presja z jej strony wyraźnie wyczuwalna. Nie wiemy, czy to kwestia mistrzowskiego portretu tej dziewczyny, czy też czegoś więcej.

Piotr Olszówka

(pisarz, publicysta, rysownik)

Dom Naszej Pani

Klejerowicz w rewelacyjnej formie! Emil Żądło kontra seryjny morderca. Nie sposób się oderwać od lektury.

Joanna Opiat-Bojarska

(pisarka)

*

Po raz kolejny wraz z Emilem Żądło zostajemy wciągnięci w mroczne tajemnice historii i krwawe żądze ludzkie. Gorąca lektura między wiarą, szaleństwem i zbrodnią.

Leszek Koźmiński

(Kryminalna Piła)

*

Emil Żądło powraca! Bohater serii kryminałów z bogatym tłem historyczno-architektonicznym tym razem zmierzy się z największą zagadką sięgającą czasów starożytnych. Charyzmatyczny dziennikarz śledczy rozwiązał już zagadkę „Sądu ostatecznego”, znalazł powiązanie

pomiędzy serią współczesnych morderstw a historią japońskich drzeworytów, a teraz... będzie poszukiwał zaginionej Atlantydy!

Anna Klejzerowicz powraca w doskonałej formie. Muszę przyznać, że przez długie miesiące oczekiwania stęskniłam się za inteligentnym, charyzmatycznym dziennikarzem. Emil Żądło należy do bohaterów, którzy na długo zapadają w pamięć. Niekwestionowanymi zaletami serii są główne charaktery oraz ciekawe, intrygujące zagadki, znajdujące swoje odzwierciedlenie w rzeczywistości, a konkretnie – w sztuce oraz historii. Tutaj nic się nie zmieniło. „Dom Naszej Pani” nie zawiedzie sympatyków Emila Żądła, a wprost przeciwnie – wynagrodzi długi czas oczekiwania na kolejną powieść z cyklu. Anna Klejzerowicz stworzyła kolejną perełkę polskiej, współczesnej literatury kryminalnej. To zaskakujące, w jaki sposób autorka potrafi połączyć wątek grasującego po Trójmieście szaleńca z elementami architektury oraz historii.

„Dom Naszej Pani” w pełni usatysfakcjonuje miłośników prozy Anny Klejzerowicz, stęsknionych i zmęczonych oczekiwaniem na Emila Żądła. Oto Emil wraca w kapitalnej formie, jeszcze bardziej skuteczny i jeszcze bardziej ironiczny. Nowością w tej części są cięte dialogi. Wątki obyczajowe rozwijają się w interesujący sposób, wszyscy czytelnicy kibicujący związkowi Marty oraz Emila z pewnością będą usatysfakcjonowani. Czekam na czwartą część cyklu o Emilu!

Magdalena Kijewska

(Przegląd czytelniczy)

*

Emil Żądło powraca w wielkiej formie. W Gdańsku giną archeolodzy. Na dodatek są to współpracownicy Marty. Tajemnicze symbole prowadzą do tajemniczej i do dzisiaj nieodkrytej Atlantydy. Emil zostaje przez swojego przyjaciela, policjanta Marka Zembrę,

wciągnięty do śledztwa. Pomaga mu Marta, której życiu zaczyna zagrażać niebezpieczeństwo. Więcej nie zdradzę. Musicie przeczytać sami. Warto z wielu powodów. Anna Klejzerowicz napisała świetny kryminał, wciągający od pierwszej strony. Zachwyciły mnie opisy Gdańska, szalenie plastyczne. Razem z Emilem spacerowałam po gdańskich ulicach. Rewelacyjnie pokazani bohaterowie, związek Marty i Emila. Żywe, naturalne, barwne dialogi. Mistrzowsko wplątane w akcję fakty historyczne powodują, że ani przez chwilę nie mamy wrażenia dłużyzn, czy też rozwlekania treści. Oczywiście jak zwykle autorka coś przemyca w swojej powieści. Tutaj jest ciągłość dziejów, pokazanie jak mało i jednocześnie jak wiele znaczymy jako punkciki w rzece czasu. Mamy też charakterystyczne dla tej autorki dążenie do wolności jednostki. Marta jest niezależna, kocha Emila, jest z nim, ale wymyka się stereotypom. Dla niej ważne jest to, co czuje, nie potrzebuje żadnych papierów, nie chce stać się własnością nawet ukochanego człowieka. Anna Klejzerowicz porusza ważne tematy społeczne, np. w jaki sposób rodzi się fanatyzm. Postacie autorka pogłębiła psychologicznie, są to żywi ludzie, wielowymiarowi, prawdziwi. Pisarka znowu czaruje, zawłaszcza czytelnika, wciąga w swój świat. To niezwykła umiejętność. Jedyne ale... to moja zarwana noc, bo od tej książki nie można się oderwać. Gorąco polecam, ta lektura na pewno nikogo nie zawiedzie. Trzy gwiazdki za pomysł, wiedzę, lekkość i talent.

Grażyna Strumiłowska

(Książka zamiast kwiatka)

*Jujowi, w podziękowaniu za książkę „Śladami Inków” oraz za
marzenia.*

Rodzinie i przyjaciołom, wszystkim poszukiwaczom.

Wszystkie postacie i wydarzenia opisane w tej książce –
z wyjątkiem faktów historycznych – są fikcyjne i nie mają
odpowiedników w rzeczywistości.

Od autorki

Miałam 15 lat, kiedy mój Tata wrócił z rejsu i opowiedział mi historię Percy'ego Fawcetta. Na statku przeczytał książkę *Śladami Inków*, polskie tłumaczenie *Exploration Fawcett*, opracowanej na podstawie oryginalnych dzienników podróżnika. Od razu mnie ona opętała. Bardzo długo szukaliśmy potem tej książki, ale była niedostępna. *Śladami Inków* ukazało się w 1964 roku nakładem wydawnictwa Iskry i jest to chyba jedyne do tej pory polskie wydanie. Przynajmniej ja o nowszym nic nie wiem. Już wtedy była to stara książka i praktycznie nie do zdobycia. Jednak mój Ojciec się nie poddał i któregoś dnia, rok czy dwa lata później, przywiózł mi ją, cudem zdobytą w jakimś antykwariacie gdzieś w Polsce. Od tej chwili ogarnęła mnie fascynacja, trwająca do dziś. Noce, miesiące, lata wspólnych gorączkowych dyskusji, marzeń, domysłów i hipotez. Wszyscy moi

najbliżsi zostali w nią wciągnięci: poza Tata, którego nie trzeba było „wciągać”, jeszcze brat, przyjaciółka, chłopak (obecnie mąż). Nawet Mamie nie zostało oszczędzone, choć była najodporniejsza z nas wszystkich i mocniej stąpająca po ziemi.

Swoje przemyślenia i emocje opisałam w tej powieści. Bardzo żałuję, że Ojciec nie doczekał tej chwili, jednak pocieszam się myślą, że tam, gdzie teraz jest – a wierzę, że jest – już wszystko wie...

Moja historia jest subiektywna. Staralam się jednak zachować fakty zapamiętane z zapisków Fawcetta. Prawdziwa jest większość zdarzeń podanych w warstwie historycznej. Percy Harrison Fawcett rzeczywiście przez większość swojego życia poszukiwał zaginionego w dżungli tajemniczego miasta, prawdą jest też, że podczas swej ostatniej wyprawy w 1925 roku zginął bez wieści razem ze swoimi towarzyszami. Czy znalazł to, czego szukał? Tego się już zapewne nigdy nie dowiemy. Prawdziwa jest też występująca w tekście figurka, rzeczywiście należąca do Fawcetta. Tyle że ta „oryginalna” nie została wykonana z żadnego stopu metalu, lecz z czarnego bazaltu. Możecie ją znaleźć w Internecie, do czego serdecznie Was zachęcam. Szukajcie, czytajcie, dyskutujcie. Nie będę udawała, że nie chcę i Was zarazić swą obsesją. To właśnie obsesja i pasja są motywami przewodnimi mojej książki. I bardzo będę się cieszyć, jeśli jej choć na chwilę ulegniecie. Oczywiście – z umiarem!

Podobnie w opisanym przeze mnie Gdańsku – niektóre miejsca są wymyślone. Na przykład na osiedlu Matemblewo nie ma domu seniora „Pod Modrzewiem”, podobnie jak nie istnieje w rzeczywistości osiedle Arkadia (choć wiele podobnych znajdziecie wszędzie). Inne miejsca, na przykład ulica Do Studzienki w Gdańsku-Wrzeszczu, odpowiadają rzeczywistości. Ponieważ napisałam powieść, a nie przewodnik po Gdańsku, pozwoliłam sobie skorzystać z prawa fikcji.

Reszta jest zmyśleniem, a raczej moją prywatną wizją wydarzeń, osobistą interpretacją, odbiciem marzeń i myśli. Natomiast warstwa kryminalna jest już całkowicie fikcyjna, stworzona wyłącznie na potrzeby opowieści.

W trakcie pracy nad książką dowiedziałam się, że Amerykanie zamierzają nakręcić film opowiadający o życiu Fawcetta, ale nie na podstawie jego autentycznych dzienników, tylko książki Davida Granna

Zaginione miasto Z. Cóż, mnie nie starczy odwagi, by go obejrzeć. Wizja Granna nie do końca do mnie przemówiła. Wolę zachować własną, przez te wszystkie lata już „odchowaną”. Wam jednak polecam, bo może w ten sposób zachowa się pamięć o odważnym człowieku, odkrywcy, marzycielu. I o „jego” zaginionym mieście, wciąż czekającym gdzieś tam, w dalekiej puszczy, na swego odkrywcę. Jednak – jak Emil – nadal uważam, że niektóre tajemnice powinny nimi pozostać.

Niech Was więc, kochani, Emil Żądło prowadzi.

Pozdrawiam serdecznie wszystkich Czytelników!

Anna Klejzerowicz

Podziękowania

Winna je jestem wielu osobom. Na wstępie Ojcu – za książkę, za pasję, za marzenia. Rodzinie i Przyjaciołom, za towarzyszenie mi od samego początku w drodze do „zaginionego miasta”.

Lucynko – kiedyś je jeszcze znajdziemy! W innym życiu.

Mężowi Krzysztofowi za rozmowy, pomoc przy gromadzeniu dokumentacji, cierpliwość, za rysunki zamieszczone w tekście, szczególnie za mapę, nad którą oboje długo się głowiliśmy.

Bratu Pawłowi – za nieustające porady informatyczne, bez których pewnie zaginęłabym w internetowej dżungli.

Obecnym przyjaciołom za wsparcie. I tutaj muszę wyszczególnić zespół portalu „Książka zamiast kwiatka” za to, że zawsze jesteście ze mną. Grażynko – Tobie dodatkowo za trzymanie mnie w ryzach.

Krzysztofowi Maciejewskiemu, mojemu znakomitemu koledze po

piórze – za to, że zgodził się przeczytać tekst jeszcze surowy, w pliku. Krzysiu, dziękuję. Wiem, że w temacie Miasta jesteś zorientowany i że dzielisz ze mną tę pasję.

Zbrodniczym Siostrzyczkom – dzięki, siostry, że zawsze mogę na Was liczyć.

Markowi Okońskiemu z klubu MOrd (jest to znany klub miłośników powieści milicyjnej i ogólnie literatury kryminalnej, a nie klub morderców!) – za konsultacje w kwestiach policyjnych.

Elżbiecie Sip, sąsiadce i koleżance publicystce, za informacje związane z tematyką opieki nad osobami starszymi i domami opieki.

Agnieszce Gryciuk – za porady w warstwie obyczajowej.

Wydawcy – za wieloletnią dobrą współpracę, za zaufanie i zrozumienie. Taka współpraca to prawdziwy skarb.

Pracownikom Redakcji, a w szczególności Pani Paulinie Wierzbickiej – za ich wkład pracy oraz zrozumienie intencji autorki.

Wreszcie – na koniec, ale tylko dlatego, że to oczywistość – Czytelnikom. Za to, że jesteście, że czytacie, szukacie, że pozwalacie się „zarażać”. Bez Was nie byłoby sensu pisać!

Jeszcze raz bardzo, bardzo Wam wszystkim DZIĘKUJĘ!

*Głos tak zły jak sumienie do ciągłej wzywał odmiany
I nieprzerwanym szeptem powtarzał noc i dzień:
„Odnajdź to, co ukryte. Pójdź, szukaj za gór pasmami,
Coś kryje się za górami. Zgubione – czeka cię!”*

*R. Kipling, *The Explorer**

Prolog

Brazylia, Amazonia, dorzecze Xingu, rok 1937

Spoglądał z nienawiścią na brodatego starca, który najwyraźniej czuł się w tym piekle jak u siebie w domu. Najchętniej by go zabił. Nie mógł jednak tego zrobić. Nie teraz. Jeszcze nie teraz...

Do osady doprowadzili ich wynajęci przewodnicy, stamtąd dopiero przejął go przesłany przez starego drania mały dzikus, który ni w ząb nie rozumiał żadnego cywilizowanego języka. Zupełnie jak małpa – pomyślał z obrzydzeniem. Na dodatek musiał pozostawić w osadzie swoich towarzyszy: staruch uparł się, że będzie gadał tylko z nim. W cztery oczy. Bez świadków.

Kluczyli przez dżunglę co najmniej ze dwie godziny. Białą

z niepokojem obserwował, jak sprawnie dziki radzi sobie z maczetą. Gdyby przyszło co do czego... Na szczęście miał broń. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, Niemiec przeżył kolejne rozczarowanie. Spodziewał się jakiejś hacjendy, czegoś choćby przypominającego cywilizację, gdzie będzie mógł napić się kawy albo herbaty, odpocząć przed czekającymi go pertraktacjami, zapanować nad sytuacją. Tymczasem ujrzał jedynie prowizoryczny namiot z lian. Sam nawet by go nie zauważył w tej ścianie zieleni. Stary mężczyzna już tam czekał. Mały dzikus ukucnął w kącie, dłubiąc w nosie. Na szczęście i tak niczego nie zrozumie. Ci Indianie są jak zwierzęta. To jasne, że nie mogli stworzyć żadnej cywilizacji.

Niemiec obserwował starca. Wysoki i chudy, żylasty, z długą białą brodą, w zasadzie cały zarośnięty. Gdyby nie europejskie ubranie, przypominałby człowieka pierwotnego... choć Niemiec wiedział, że to tylko pozory. Ogorzały na twarzy, pomarszczony jak mocno przejrzałe jabłko. Jednak jasne oczy patrzyły bystro. Nie było po nim znać zmęczenia, wilgotne niczym mokra wata powietrze nie utrudniało mu oddychania. Z powodu zarostu trudno byłoby odgadnąć wiek tego człowieka. Na pierwszy rzut oka wyglądał znacznie starzej, niż wynikałoby z metryki. Trzymał się jednak nadzwyczaj prosto. Spokojny jak głaz. Nieprzenikniony.

Gość otarł dłonią spocone czoło. Nie mógł znieść odgłosów dżungli, parnej zawiesiny unoszącej się wręcz namacalnie w tym upiornym gąszczu, oblepiającej go jak mokry kokon. Chwilami miał wrażenie, że zaraz zwariuje. Każdy ruch, każdy szelest budził strach. Wszędzie coś się mogło czaić, ukrywać, zaatakować. Całe ciało piekło i swędziało, pomimo odzieży ochronnej opracowanej przez najlepszych wojskowych specjalistów. A tymczasem ten obleśny Angol...

Niemiec wyjął manierkę i upił łyk wody.

– No więc, Herr Officer... – wysyczał, starając się okazać swą wyższość, nawet w tych niesprzyjających mu warunkach. – Dość już tej zabawy w ciuciubabkę. Pan wie, że przed nami nikt się nie ukryje. Nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie mógłby się pan schować.

Dopadliśmy pana przed laty, dopadliśmy teraz, dopadniemy zawsze i wszędzie. Innych może pan wodzić za nos, ale nie nas. Odzyska pan

spokój dopiero wówczas, gdy doprowadzi nas pan do ruin.

Starzec przyglądał mu się przez długą chwilę w milczeniu. Wreszcie rozciągnął usta w drwiącym uśmiechu.

– To czemu sami nie znajdziecie miasta? – wycedził z rozbawieniem. – Skoro jesteście tak skuteczni?

Przybysz poczuł, że zalewa go ślepa furia. Najchętniej wyjąłby rewolwer i zmusił starego skurwiela do ustępstw, choćby wałąc kolbą w skroń. Znał jednak tego podróżnika. Zdechłby, a nie wyjawiał nic.

– Herr Officer. – Zmusił się do zachowania spokoju. – Pan z nami nie gra. Na co to panu? Przecież zależy panu na bliskich. Nie tęskno panu do małżonki, do syna? Już tyle lat oczekują pańskiego powrotu...

– Moja rodzina nic nie wie. Nie wiedzą nawet, czy żyję i czy moja misja się powiodła. Być może nigdy się tego nie dowiedzą. Niczego nie wskóracie, zostawcie ich w spokoju! – uniósł się starzec.

– Pan nie daje nam wyboru, mein Herr...

W oczach starego człowieka pojawił się wreszcie błysk niepokoju.

– A gdzie wasz oficerski honor? – prychnął.

Niemiec parsknął wystudiowanym śmiechem.

– My dbamy o wyższy interes, o interes białej rasy – odparł. – To miasto to nasze dziedzictwo.

– Pan doprawdy w to wierzy?...

Przybysz kolejny raz otarł pot z czoła. Podrapał się po policzku. Niemal do krwi. Pełno tu tych przeklętych moskitów! Niech szlag trafi tego pieprzonego brytyjskiego snoba! Żyje wśród dzikusów, jak dzikus, a udaje wielkiego pana... Ręka sama powędrowała do ukrytej za pazuchą broni.

– Nie radzę – odezwał się Anglik. – Beze mnie nigdy nie traficie do miasta. Poza tym w pewnej indiańskiej wiosce czeka mój starszy syn wraz ze swoją nową rodziną. Jest we wszystko wtajemniczony. I jeśli tylko nie wrócę, dostarczy wiadomość do najważniejszych światowych gazet. Pan natomiast pozostanie tutaj na zawsze, bo ten oto chłopiec prędzej da się pokroić, niż wyprowadzi pana z dżungli bez mojego rozkazu. Rychło stanie się pan pokarmem dla dzikiej zwierzyny – uśmiechnął się dobrodusznie.

Niemiec zaklął w myślach, nim się odezwał:

– Herr Officer... to dla nas żadna tajemnica. My wiemy, gdzie znaleźć również pańskiego małego indiańskiego wnuka, jego ojca i matkę. Mało tego, myśmy już ich znaleźli. Moi podwładni właśnie tam na mnie czekają. Więc lepiej dla pańskich bliskich, żebyśmy również powrócił cały i zdrowy. Możemy przecież rozmawiać jak cywilizowani ludzie, prawda? Dobić targu. Pan nam wskaże lokalizację, my zostawimy w spokoju pana i pańską rodzinę. Tylko tyle. Pozostawimy panu nawet status odkrywcy, o ile nie będzie pan szkodził aryjskiej nauce. Pańskie nazwisko to zaszczyt. Czy to nie dobra propozycja?

Starzec zamyślił się.

– Dobrze, Mister Officer...

– Herr Obersturmfuhrer – przerwał gość.

– Herr Obersturmfuhrer – poprawił się gospodarz. – Czego dokładnie pan ode mnie oczekuje? Bo przecież nie wybiera się pan na wyprawę... z tym ekwipunkiem? – Obrzucił Niemca pogardliwym spojrzeniem.

– Mapa, zdjęcia i jakiś dowód. O resztę niech pana głowa nie boli.

Starszy mężczyzna myślał przez długą chwilę, podczas której przybysz również rozmyślał: o rodzinnym mieście, o Danzig, gdzie czekały na niego awanse, wygody i... kochanka. No i sukces. Teraz już niemal pewny.

W końcu stary skinął na małego Indianina i zagadał do niego coś w dziwacznym, gardłowym języku. Porozumiewają się jak zwierzęta – ponownie stwierdził z niesmakiem młody Niemiec. Dzikus bez słowa wymknął się z namiotu.

– Cieszy mnie, że dobiliśmy targu, Herr... – wyszczerzył się esesman, nie kryjąc satysfakcji.

Stary człowiek pokiwał głową w milczeniu. On również się uśmiechał...

Gdańsk, luty, 1945 roku

Młody oficer wstał i zamknął od środka drzwi swego gabinetu na

klucz. Zbliżał się wieczór, gmach już prawie opustoszał, jednakże ostrożność nie zawadzi. Nie miał teraz ochoty z nikim rozmawiać. Musiał w spokoju pomyśleć. Nadszedł już czas. Front był coraz bliżej, wkrótce Rosjanie bezsprzecznie zaatakują miasto. Nie da się tego uniknąć, trzeba działać. Od pewnego czasu Niemcy masowo opuszczali swoje domy i uciekali na zachód, najczęściej drogą morską – choć była ryzykowna – byle dalej od dzikich sowieckich hord. Esesman także postanowił się ewakuować. Rozmyślał nad tym już od tygodnia, taki zresztą od początku był jego plan awaryjny. Są w końcu sprawy ważniejsze od innych. Nie miał nic do stracenia, a wiele do zyskania. Tylko co zrobić z pakunkiem? Brać ze sobą? Ryzykowne. Utrata depozytu oznaczałaby kres wszystkiego, koniec wszelkiej nadziei na przyszłość. Jego koniec. Lepiej zatem dobrze go ukryć, nie tylko przed ruskimi, którzy z pewnością będą plądrować budynki, ale również przed swoimi. Niby niewielu było wtajemniczonych, bo cała sprawa od początku została utajniona. Jednak wieści i tak rozchodzą się szybko niezbadanymi kanałami, szczególnie w obecnych burzliwych czasach. Niejeden by się skusił, niejeden tylko na to czyha. Zdawał sobie sprawę z tego, jak wielu ma wrogów. Niejeden raz, szczególnie w ostatnich latach, czuł ich oddech na karku. Miernoty. Zawistnicy. Wszędzie ich pełno...

Trzeba więc się ukryć i nie dać się wyśledzić. Przeczekać. Potem po niego wróci, później, gdy już będzie po wszystkim, gdy Niemcy odzyskają miasto. Bo przecież nie przegrają wojny, to niemożliwe. To jedynie chwilowe załamanie. Może nawet przemyślana strategia. Führer z pewnością doskonale wie, co robi.

Zapalił papierosa z amerykańskiej paczki, jeszcze ze starych zapasów zakupionych od marynarzy. Kończyły się. Wszystko się kończy – szepnął ponury głos w jego głowie. Dość! Otrząśnij się i działaj! – odpowiedział mu drugi, ten sam, który kierował nim przez całe lata. Lata tryumfu, nadziei i czynu.

Młody człowiek wstał zza biurka i kopnął krzesło. Odetchnął głęboko, gasząc niedopałek w kryształowej popielnicy. Już wiedział, gdzie ukryje depozyt. W piwnicach domu Helgi będzie bezpieczny, nawet jeśli sama Helga nie będzie. Ale nie może zabrać jej ze sobą.

O świcie opuści miasto – sam.

Następnie wykonał jeden telefon, po czym już spokojny otworzył sejf...

Część I

Gdańsk, współcześnie

Obudził się w środku nocy i już nie mógł zasnąć. W ustach czuł gorzki piwny posmak i było mu gorąco, choć ogrzewanie działało na pół gwizdka. Sięgnął w ciemnościach po komórkę, po omacku. Zawsze zostawiał ją w tym samym miejscu, na stoliku u wezglowia składanej kozetki. Tym razem nie udało mu się wymacać telefonu. Zaklął, w końcu zwłókł się z polówki i włączył światło. Kanciapa była malutka, normalnie służyła za magazynek, kantorek, w którym redakcja gromadziła stare papiery, wliczając w to archiwalne numery gazety. Nocami zmieniała się w sypialnię Emila Żądło. Zaśmiał się gorzko pod nosem. Telefon leżał na jednej z chwiejących się półek, widocznie

zapomniał o nim, kładąc się spać. Zerknął. Była 3:45. Nie pospał zbyt długo. Pracował do późna, by zabić głupie myśli. Potem wypił dwa piwa i zasnął, jakieś dwie godziny temu. No i co teraz? Nie miał ochoty męczyć się, leżąc bezsennie w ciemnościach. Noce stawały się coraz dłuższe – dosłownie i w przenośni. Odkąd rozstał się z Martą, jego życie w ogóle ciągnęło się jak flaki z olejem. Nie chciało mu się nawet poszukać sobie mieszkania do wynajęcia, lepiej było mu tutaj – w redakcji „Rozgwiadzy”, gdzie zaproponowano mu tymczasowy dach nad głową. Korzystał z niego już trzeci miesiąc: przynajmniej miał wrażenie, że nie wychodzi z pracy, co dawało mu poczucie przydatności, a współpracownikom nie przeszkadzało, przeciwnie: zawsze ktoś czuwał nad biurem.

Emil z przyzwyczajenia włączył komputer i przegryzł sucharka. Nic innego tu nie miał. Był głodny, wieczorem zapomniał o kolacji. Bez wyrzutów sumienia otworzył sobie kolejną puszkę piwa. Kiedy mieszkał z Martą, nie byłoby o tym mowy. Nie pozwalała na takie rzeczy. Piwo piło się, owszem, towarzysko lub do posiłków, podobnie jak wino, ale gdyby zobaczyła, że chla dla samego chłania, w dodatku w środku nocy... Nieważne. Cóż, to już i tak bez znaczenia. Marta wyrzuciła go ze swojego życia, może więc sobie chlać do woli, i tak nikomu na nim nie zależy. Od dawna nie miał już nikogo bliskiego, może z wyjątkiem syna, ale ten mieszkał z matką i ojczymem w Szwecji. Chłopak dorastał, planował swoją przyszłość – ale też nie było w niej jakiegoś szczególnego miejsca dla biologicznego ojca nieudacznika...

Czas umierać – westchnął. Po czym zabrał się do poprawiania najnowszego reportażu o szkolnictwie wyższym. Już po chwili jego myśli ponownie odpłynęły. Jak doszło do tego, że po tylu wspólnych latach rozstał się z Martą, jedyną osobą, która – jak mu się zdawało – rozumiała go bez słów? Nie wiedział. Nie było konkretnego powodu. Od pewnego czasu się nie dogadywali, wołąc przemilczeć urazy czy zawiedzione nadzieje, zamiast o nich pogadać. Emil nie mógł jej darować braku zaangażowania w ich związek, jak nazywał upartą niechęć Marty do zalegalizowania go. Ona czuła się naciskana, a do tego nie przywykła. W końcu sytuacja stała się tak napięta, że mieszkali już nie tyle razem, co obok siebie, jak niezbyt przychylni sobie nawzajem

sublokatorzy. Pewnego dnia doszło do otwartej kłótni – o jakąś głupotę – po której on ostentacyjnie spakował swoje manatki. Nie zatrzymywała go, więc wyszedł. Nie zadzwoniła, więc nie wrócił. Liczył na to, że to przejściowe, chwilowe, że wyjaśni sobie wszystko lada dzień. Upłynęły jednak miesiące bez kontaktu. Tęsknił. I za nią, i za kotem. Wciąż widział Bolera na parapecie okna, zdeorientowanego i zaniepokojonego, gdy on odchodził powoli zadrzewioną uliczką z plecakiem na ramieniu. Smutna ruda plama na tle okna.

Już nie jego kot, tylko Marty. Jak dawniej, zanim się poznali... Kiedy to było? Lata temu. Policzył. Prawie dziesięć. Kawał czasu, kawał życia.

Zapalił papierosa. Powinien wyjść z nim na zewnątrz, jednak nie miał na to siły. Trudno, w końcu na dworze lało. Włączył wentylator, licząc, że do rana dym się ulotni, a może nawet smród. Zresztą i tak przebywał tu ostatnio głównie sam, ewentualnie z Marią Zebłą. Ewa niańczyła dziecko, a Szymon wpadał z doskoku, bo załatwiał sprawy redakcyjne na mieście, no i pomagał żonie. Większość tematów zlecali ostatnio freelancerom. Marysia przychodziła na dziesiątą, nie wcześniej. Zajmowała się sekretariatem i księgowością. Dobrze im się razem pracowało, w ciszy, bez napięć.

Żądło odpędził złe myśli, dopił piwo i spróbował skupić się na tekście. Jak dobrze pójdzie, to przed jej przyjściem zdąży jeszcze uporać się z robotą, wywietrzyć kanciapę, a może nawet trochę się zdrzemnąć.

Zanim zacznie się kolejny dzień bez znaczenia...

I w tym momencie rozległ się gong oznaczający, że na pocztę redakcyjną dotarł nowy e-mail. W panującej ciszy był jak wystrzał. Emil aż podskoczył: o tej porze nie spodziewał się żadnych wiadomości. W pierwszej chwili pomyślał, że to zapewne spam, kliknął jednak w skrzynkę dla świętego spokoju, a może po prostu po to, by zabić czas. Wiadomość pochodziła z nieznanego mu adresu. Przeczytał ją dwa razy, zanim dotarła do niego jej treść:

Szanowni Państwo,

Mam ważne informacje, które chciałbym przekazać. To pilna sprawa, nawet bardzo pilna. Dlatego prosiłbym o jak najszybszy kontakt pod podany niżej numer telefonu. Proszę dzwonić o każdej możliwej porze. Rzecz ma konotacje historyczne, dlatego – jeśli to możliwe – prosiłbym skierować sprawę do pana red. Emila Żądło.

Z poważaniem

Zygmunt Milczanowski

(telefon)

PS. Może zabrzmiało to dziwnie i nazbyt dramatycznie, jednak chciałbym dodać, że moje życie prawdopodobnie jest zagrożone. Dlatego bardzo mi zależy na tym kontakcie. Nic więcej napisać nie mogę, proszę o wybaczenie.

zm

Żądło zastanowił się. Mail brzmiał niepokojąco, lecz poważnie. Nie sprawiał wrażenia żartu ani oszustwa. Napisany więcej niż poprawną polszczyzną, nawet nieco staroświeckim językiem. Dopisek zabrzmiał jak ledwie powstrzymany krzyk rozpacz. Wariat? Histeryk? Mitoman? Możliwe. Ale równie dobrze człowiek naprawdę mógł potrzebować pomocy. Postanowił zadzwonić do niego rano. Coś mu jednak nie dawało spokoju. Coś w tonie wiadomości. Była w niej jakaś... determinacja. W zasadzie na co czekać? Przecież facet napisał wyraźnie „o każdej możliwej porze”. Maila przesłał dosłownie przed chwilą, więc zapewne wciąż jeszcze nie śpi. Dziennikarz wahał się tylko kilka sekund, w końcu złapał za telefon i szybko wystukał podany numer. Nie musiał czekać długo na odpowiedź, bo abonent odebrał już po pierwszym sygnale:

– Halo? – w słuchawce rozległ się niepewny męski głos. Niski, matowy. Modulowany. Wytworny.

– Dzień dobry, a raczej... cóż, w zasadzie jeszcze ciemna noc za oknem. – Emil odchrząknął, zaciągając się papierosem. – Moje nazwisko Emil Żądło. Z redakcji tygodnika „Rozgwiezda”. Przed chwilą napisał pan do mnie wiadomość, zgadza się? Tak się złożyło, że też akurat nie spałem, pozwoliłem sobie więc oddzwonić od razu.

Przysięgłby, że po drugiej strony linii usłyszał westchnienie ulgi...
Po którym nastąpiła cisza.

– Halo? Proszę pana? Jest pan tam? – spróbował, gdy milczenie się przedłużało.

– ...

– Halo, panie Zygmuncie? – Emil nie wiedział, czy się rozłączyć, czy czekać. Lekko się zaniepokoił.

Dopiero po dłuższej chwili w słuchawce rozległy się jakieś dźwięki.

– Tak, tak, jestem – odpowiedział wreszcie modulowany głos. Tym razem jakby lekko drżący i zadyszany. – Proszę darować, ale... zdawało mi się... zaraz... chwileczkę!... Nie, wszystko w porządku. Bardzo przepraszam. Już jestem...

– A więc o jakiej sprawie chciał mi pan opowiedzieć? – odparł zbity z tropu Żądło.

– Ja... Widzi pan... Czy pan naprawdę jest Emilem Żądło? Tym dziennikarzem?

– Tak, to ja. Nie wylegitymuję się przez telefon, ale mogę odczytać maila, którego pan przed chwilą przesłał.

Zaczynał pomалу żałować, że zdecydował się zatelefonować. Ten człowiek ewidentnie sprawiał wrażenie niezrównoważonego.

– Nie trzeba – zawahał się rozmówca. Po czym kontynuował, wciąż jeszcze nieco drżącym głosem: – Wierzę panu. Widzi pan... mam taki problem. Trudno o tym mówić, ten chaos w głowie... Nie sądziłem, że zadzwoni pan tak szybko, nie przygotowałem się – zaśmiał się nerwowo. – Otóż jestem w posiadaniu pewnych... arcyważnych materiałów. Powiedziałbym: sensacyjnych. Dotyczą one pewnych odkryć dokonanych w latach przedwojennych... Nie u nas. To była głośna sprawa, zaginione miasto, zagadka poruszająca wielu... Otóż posiadam dowody na to, że to miasto istniało i zostało odnalezione. Bardzo ważne dokumenty! Ukryłem je. Ale to nie wszystko...

Emil zdecydował się mu przerwać.

– Rozumiem. Ale jakiego miasta dotyczą te dokumenty? Gdzie ono się znajduje? Czy mógłby pan podać więcej szczegółów?

– Nie teraz. Nie mogę. Obawiam się o swoje życie, od pewnego

czasu jestem prześladowany. Miałem włamanie. To nie wszystko. Ktoś próbuje... ktoś mnie próbuje zastraszyć. Rozumie pan? Dlatego postanowiłem do pana napisać. To nie na telefon. Gdyby pan mógł... Ale zaraz, to jeszcze nie wszystko! – rozgorączkował się nagle rozmówca. – Była jeszcze statuetka. Figurka, bardzo stara egzotyczna figurka... bardzo cenna...

– Była?

– Właśnie. Od tego się wszystko zaczęło. Była u mnie, ale...

– Zniknęła?

– Tak, właśnie! Lecz ona wypłynie! Już wkrótce. Przekona się pan!

Wypłynie na aukcji. Zagranicznej. To będzie dowód na to, że mówię prawdę. Proszę zapamiętać: stara figurka niewiadomego pochodzenia. Unikat. Cenniejsza od samego złota. Ozdobiona napisami, których nikt nie potrafi odczytać...

– Panie Zygmuncie, to wszystko brzmi dość... niepokojąco – wtrącił Żądło. – Czy poinformował pan policję o tych incydentach? Włamaniu, zastraszaniu? Oraz o swoich podejrzeniach?

– Absolutnie nie! – usłyszał w odpowiedzi. W głosie rozmówcy zabrzmiała determinacja. – Absolutnie nie życzę sobie jeszcze w tym wszystkim policji! Żadnej policji nie ufam. Właśnie dlatego zwracam się do prasy!

Dziennikarz rozmasował skronie. Ale się wpakowałem... – pomyślał. Po dwóch piwach lekko szumiało mu w głowie i miał trudności ze skupieniem uwagi. Odezwał się po chwili pełnego napięcia milczenia:

– Rozumiem. Panie Zygmuncie, czy mógłby pan opowiedzieć mi to wszystko jeszcze raz, od początku?

Westchnienie.

– Dobrze, ale tylko tyle, ile mogę przez telefon – zastrzegł mężczyzna. – Od wielu lat kontynuuję badania, które rozpoczął jeszcze mój ojciec. Znaleźisko przypadkiem wpadło w jego ręce. Legalnie. Wyjaśnię to później. Wracając do ojca... dopiero gdy doszedł do tego, czym ono w istocie jest, zrozumiał jego prawdziwą wartość. Po jego śmierci sam się tym zająłem. Widzi pan, jestem historykiem, nauczycielem historii, od dwóch lat na emeryturze. Zamierzałem ogłosić

wyniki swoich i ojca badań, ale wtedy się zaczęło... prześladowanie. Teraz już za daleko to zaszło. Muszę je szybko komuś powierzyć. Może wtedy uda mi się przeżyć. A przy okazji zabezpieczyć te materiały. Wybrałem pana, bo pan ma już na swoim koncie sukcesy w podobnej dziedzinie...

– Panie Zygmuncie, musiałbym najpierw obejrzeć te dokumenty. Ponownie chwila wahania.

– Rozumiem. W tym celu powinniśmy się spotkać. Czy jest pan gotów zaryzykować? – zapytał nauczyciel.

– Kiedy i gdzie?

– Jak najszybciej! W przeciwnym razie...

– Proszę wobec tego podać miejsce spotkania i wyznaczyć termin.

Dostosuję się.

– Może... może... Nie potrafię tak od razu. Panie redaktorze, zadzwonię do pana. Pański numer mam już zapisany w komórce. Zadzwonię. Dobrze?

– Oczywiście... Do usłyszenia. Proszę na siebie uważać. – Emil się uśmiechnął, choć rozmówca nie mógł tego zobaczyć. Ale może to i lepiej. Zapewne nie byłby zadowolony z takiej reakcji.

Żądło był jednak coraz bardziej przekonany, że rozmawia z mitomanem. Te przedziwne historie nie brzmiały zbyt przekonująco. Z drugiej strony... nigdy nic nie wiadomo. Zdarzały mu się już dziwniejsze rzeczy. Nie zawadzi sprawdzić. I tak nie ma nic lepszego do roboty, temat szkolnictwa wyższego trudno nazwać pasjonującym, zresztą został wyczerpany. Po korekcie tekst może lecieć do druku. Innych pilnych tematów Emil na razie nie przewidywał. Życia prywatnego nie posiadał. Czas – owszem. Mnóstwo wolnego czasu do zabicia. Równie dobrze mógł go poświęcić na „spotkanie z dziwnym człowiekiem”. Tym bardziej, że facet naprawdę sprawiał wrażenie ciężko wystraszonego. Panika w jego głosie – w przeciwieństwie do wygłaszanych sensacji – brzmiała aż nazbyt przekonująco. Emil znał dobrze ten ton, niemal namacalny lęk pomiędzy słowami. Trudno go było zlekceważyć. Nawet jeśli okazałby się nieuzasadniony.

– Tak – odezwał się jeszcze Milczanowski. – Tak. Zadzwonię wkrótce. Dziękuję panu raz jeszcze, bardzo dziękuję. Wobec tego do

usłyszenia. – Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Żądło – wciąż z uśmiechem na ustach – otworzył sobie ostatnią tej nocy puszkę piwa. Na dobry sen.

Dochodziła piąta nad ranem.

* * *

Pięć dni później

– Emilku, telefon do ciebie! – Maria Zebra zastukała w drzwi kanciapy, w której Emil odpowiadał właśnie na listy do redakcji. Zwykle robił to Szymon, teraz Żądło sam zaproponował, że przez jakiś czas może go w tym zastąpić.

– Kto? – rzucił, odrywając się od ekranu komputera.

Maria uśmiechała się tajemniczo.

– No kto? – Odwzajemnił uśmiech. Trudno było nie uśmiechnąć się do tej kobiety: zawsze pięknej, zawsze pogodnej, z nieodłączną klasą.

– Sam pan komisarz Marek Zebra. – Mrugnęła. – Zdaje się, że to coś ważnego. Oby nie to, co myślę, bo już całkiem sama zostanę w redakcji. Nie daj mu się!

Emil odebrał od niej słuchawkę.

– Siedzisz w redakcji? Nigdzie nie wychodź. Za pół godziny u was będę – usłyszał. Zanim zdążył odpowiedzieć, komisarz przerwał połączenie.

Dziennikarz darował sobie domysły. Wiedział, że jeśli Marek Zebra go szuka, to ma powód. Raczej nie było jego zwyczajem wpadać ot tak sobie, w godzinach pracy, na ploty. Co to za powód – za chwilę się wyjaśni. Oczekując na Zebkę, obserwował jego małżonkę. Skupiona, wpisywała właśnie jakieś obliczenia do pamięci komputera. Jasne włosy upięła starannie w kok na karku, na nos włożyła okulary do czytania. Rozczulające było to, że samych obliczeń dokonywała ręcznie, w zeszycie, który trzymała zawsze pod ręką. Emil zastanowił się, ile lat

już się znają, i doszedł do wniosku, że prawie przez całe życie. Poznał Marię – Majkę, jak z czułością nazywał ją mąż – jako młody chłopak, była wtedy sąsiadką jego babki. Samotnie wychowywała małą córeczkę. Westchnął. Ich drogi się później rozminęły i złączyły z powrotem, niestety, w tragicznych okolicznościach: córkę Marii zamordował szaleniec, a Emil zaangażował się w śledztwo, które prowadził Zebra, wówczas podkomisarz. W policji zaczynali razem, Emil nie potrafił się przystosować i odszedł, Zebra... wręcz przeciwnie. Spełniał się w swojej pracy do dziś, rasowy glina, dla którego życie to śledztwo. No i jeszcze Marysia. Zatwardziały stary kawaler ożenił się kilka miesięcy po zakończeniu dochodzenia. Zakochał się na zabój, stanowili wzorowe małżeństwo. Maria, posągowa piękność, była wcieleniem prawdziwej damy. Przez lata nie zmieniała się ani trochę, choć musiała już przekroczyć sześćdziesiątkę: była o kilka ładnych lat starsza od męża. Żądło zerknął w wiszące na ścianie kanciapy lustro. Dobrze, że zmatowiało, przynajmniej łagodziło bruzdy na jego twarzy. I przekrwione od braku snu i nadmiaru używek oczy. Napił się gorzkiej kawy rozpuszczalnej. Marysia proponowała mu rano lepszą, zaparzoną w ekspresie, ale odmówił. Espresso kojarzyła mu się z Martą. Dopiero w tej chwili uprzytomnił sobie, że Martę także poznał w tym samym czasie, co Zebra swoją Majkę. W dramatycznych okolicznościach, gdy w Gdańsku szalał stuknięty „naśladowca Memlinga”. Myśleli wtedy, że obaj zdołali ułożyć sobie życie. Niestety, tylko jednemu z nich się to udało...

Zaklął w myślach, a w tym samym momencie stuknęły drzwi wejściowe do biura redakcji. Komisarz. Już z daleka rzucał się w oczy ogniście „rudy łeb”, choć od paru lat dało się na nim dostrzec także nitki siwizny. Dziennikarz odczuwał z tego powodu satysfakcję, bo jego własna czupryna wciąż była czarna. Tylko zarost zrobił się szpakowaty. Inna kwestia, że Zebra miał parę lat więcej od niego na karku. Spokojna głowa – gorzko przywołał się do porządku Emil – i mnie to czeka w najbliższym czasie.

Pomachał koledze, który witał się właśnie ciepło z żoną. Policjant uniósł dłoń w geście pozdrowienia:

– Idę właśnie do ciebie, Żądło! Majeczko, kochanie, wybaczysz?

Mam sprawę...

– Zaparzyć wam kawy? – zapytała Maria, zanim zniknęła w kanciapie.

– Nie, skarbie, nie przeszkadzaj sobie. Długo nie zabawię, mamy kocioł.

Maria wróciła do swojej pracy. Komisarz usiadł ciężko na krześle, które przysunął mu Emil. Zamknął za sobą drzwi. Żądło nigdy tego nie robił, gdy byli w biurze sami z Marysią. Normalnie Zebra też by tego nie zrobił. Domyślił się, że sprawa, z którą pojawił się w redakcji, ma charakter poufny.

– Mam do ciebie kilka pytań... – zaczął komisarz, rozglądając się.
– Wolno tu jarać?

Emil wzruszył ramionami.

– Teoretycznie nie, ale jaraj sobie. Też zapalę. – W charakterze popielniczki postawił na biurku pusty słoik po kawie. – Będzie na ciebie, a glinom się nie podskakuje.

– Racja – zgodził się Zebra, wyjmując z kieszeni paczkę mocnych papierosów. – Tylko okno uchyl. Bo wiesz... Majeczka...

– Tchórze! – Dziennikarz otworzył luft i wyjął z miniaturowej lodówki butelkę coli. Odrobina kofeiny też nie zawadzi. – No to gadaj wreszcie, o co chodzi.

Przyjaciel przyglądał mu się krytycznie.

– Fatalnie wyglądasz, Żądło. Jak stary trup. Chlejesz? Nie sypiasz?

– Pracuję.

– Tęskno ci do Marty, co? Zasrałeś sprawę, to teraz masz nauczkę. Debil. Stary, a głupi. A ile razy ci mówiłem...

– Dobra, zamknij się, palancie. Gadasz, z czym przychodzisz, albo poproszę Maryskę, żeby cię stąd zabrała.

Marek Zebra nalał sobie coli do szklanki i zapalił.

– Człowiek się o niego martwi, a ten... Zresztą okej, masz rację, jestem tu w innej sprawie. Poważnej. Twoja uroda i tak nigdy na mnie nie działała. Tylko naiwne panienki...

– Gadaj do rzeczy, rudy capie!

Komisarz zaciągnął się dymem i spoważniał. Znak, że część prywatna wizyty została zakończona, a za moment nastąpi oficjalna.

Służbowa.

- Zygmunt Milczanowski – rzucił. – Mówi ci coś to nazwisko?
- Dziennikarz odczuł to niemal jak policzek. Mówiło mu, ale...

Zmieszał się.

– Tak jakby... Coś mi świta, tylko nie bardzo kojarzę. A powinno mi coś mówić? Zdradź coś więcej, to może załapię, bo wiesz, nazwisk to się u nas przewija tysiące.

- Belfer. Nauczyciel historii. Z Gdańska.
- Cholera, jasne! Już pamiętam. A o co chodzi? Zmalował coś?
- Zimny trup.
- Jak to?...

– Ktoś faceta załatwił. Znalezione go dziś rano, w jego mieszkaniu, w stanie... no, leżał tak już od paru dni. Z billingu wynika, że ostatnie zrealizowane połączenie telefoniczne miał z tobą. I to ty do niego dzwoniłaś, nie na odwrót. A przynajmniej dzwoniło z twojej komórki. Zgadza się?

Żądło podniósł się z krzesła, przespacerował po ograniczonej powierzchni kanciapy, usiadł z powrotem. Zapalił kolejnego papierosa, po czym pokiwał głową. Wciąż czuł się lekko zaszokowany.

- To możliwe – przyznał.
- Znałeś go?
- Zaczekaj...

Emil przysunął sobie laptopa, wszedł szybko w redakcyjną pocztę, przeszukał skrzynkę odbiorczą. Kliknął, odwracając komputer ekranem w stronę komisarza.

- Przeczytaj tego maila – poprosił.

Zebra zmarszczył czoło, wczytując się w treść wiadomości.

- Rozumiem. Oddzwoniłaś?
- Jasne. Ty byś nie oddzwonił?
- O czwartej nad ranem?!

– On o tej porze przysłał maila. – Wzruszył ramionami. – Możesz sobie sprawdzić godzinę. Czyli jeszcze nie spał. Ja też nie spałem, pracowałem. Kiepsko sypiam ostatnio. Wiadomość brzmiała nagląco, więc zadzwoniłem od razu. Co w tym nadzwyczajnego?

Policjant pokiwał głową z politowaniem.

– No fakt. Zapomniałem, z kim mam do czynienia.

– Podejrzewasz mnie czy co? Jak zginął? I kiedy? Cholera jasna...

Wtedy? Zaraz po tej rozmowie?...

– Przymknij się i odpowiadaj na pytania. To ja je zadaję, nie ty, jasne? Będziesz sobie mógł pytać później. – Zebra zmiękł.

– Okej. Jasne.

– No więc co to były za informacje? Co on ci powiedział przez ten telefon?

Dziennikarz pomasaował skronie, usiłując przypomnieć sobie szczegóły tamtej rozmowy.

– Szczerze, to bredził jak pokręcony – powiedział z goryczą. – Tak mi się przynajmniej zdawało. Uznałem, że gość jest nawiedzonym fantastą. Rodzaj nieszkodliwego wariata. Zignorowałem go. Teraz pluję sobie w brodę. Nie pierwszy raz, kurwa. Człowiek jakoś nie uczy się na własnych błędach. Miał jeszcze raz zadzwonić, ale...

– Nie zadzwonił?

– Nie. A ja całkiem o tej historii zapomniałem.

– Streść mi całą gadkę.

Emil zrobił to, starając się dokładnie odtworzyć z pamięci dialog.

– No cóż. Wygląda na to, że facet wcale nie bredził – skonstatował komisarz. – Ktoś rozwalił mu głowę ciężkim przedmiotem i przeszukał mieszkanie.

– Przypominam sobie... nie jestem pewien, ale może to ważne. On się dziwnie zachowywał. Tak jakby w trakcie naszej rozmowy... jakby coś się tam działo. Nasłuchiwał, przerywał rozmowę. Jakby coś sprawdzał. Był przestraszony. Podejrzewacie, że właśnie wtedy ktoś go stuknął? To możliwe?

Policjant pokiwał głową w milczeniu.

– Coś jeszcze zauważyłeś?

– Nie. Chyba nie.

– Pomyśl jeszcze i jakbyś na coś wpadł, to dzwoń. – Zebra podniósł się ciężko. – Może dojdiesz, co to za historia z tym całym... no, tym jego zaginionym miastem. Czy czymś tam. O jakie dowody mu chodziło. Ja spróbuję się dowiedzieć, nad czym ostatnio pracował. Córka chyba powinna coś na ten temat wiedzieć, poza tym zabezpieczyliśmy

do zbadania jego sprzęt. Ta figurka ze złota – nie złota mnie szczególnie niepokoi. Niby dlaczego tak unikał policji? W każdym razie liczę na ciebie, stary. Bo jakoś za blisko tego się znalazłeś. Jeśli to nie ty go załatwiłeś, to kombinuj, o ile jeszcze jesteś w stanie, to znaczy: o ile twoja mózgowica jeszcze trybi. No, na mnie już czas.

– Ktoś się do niego włamał? – zapytał szybko Emil, zanim policjant dotarł do drzwi.

– Nie ma śladów włamania. Prawdopodobnie sam wpuścił napastnika.

– Coś zginęło? Został okradziony?

– Właśnie nic na to nie wskazuje – westchnął komisarz. – Ciało odkryła córka zaalarmowana przez sąsiadów. Twierdzi, że raczej niczego nie skradziono. Przynajmniej na tyle, na ile się orientuje. A nasz klient do biednych nie należał. Nie był bogaczem, ale wypracował sobie całkiem przyzwoitą emeryturę, posiadał dwa niezłe komputery, ponadto w domu były antyki, jeszcze po przodkach. Dziwne, co?

Wyszedł.

* * *

Emil przez cały dzień nie mógł się uspokoić. Im dłużej myślał, tym bardziej sprawa go dręczyła. Po pierwsze, nos mu mówił – słynny dziennikarski nos Emila Żądło – że kryje się za tym coś ciekawego. Zagadka. Obok tego rodzaju zagadek nigdy nie potrafił przejść obojętnie. Nawet jeśli cała historyjka z zagonionym miastem i tak dalej była czystą fantazją – ktoś jednak faceta zabił, w dodatku splądrował mieszkanie, niczego przy tym nie kradnąc. To znaczy: niczego, czym interesują się normalni złodzieje: Telewizor, sprzęt muzyczny, komputerowy, antyki, oszczędności... Według córki nic z tych rzeczy nie zginęło. Jak już zauważył Zebra, było to co najmniej dziwne.

Po drugie, Żądło miał poczucie winy. Coraz uporczywiej do głosu dochodziła myśl, że zawalił sprawę. Człowiek mu zaufał, napisał do niego – właśnie do niego – zwierzył mu się, a on... cóż, zlekceważył go. Olał, dufnie przeświadczony, że ma do czynienia z kolejnym świrem. Bo

nawet jeśli, cóż z tego?! Nie powinien był zostawiać tego faceta na łodzi. Może gdyby zareagował, gdyby od razu do niego pojechał, a przynajmniej zaalarmował Zebra, ten człowiek żyłby jeszcze...

Już raz, mniej więcej przed rokiem, przeżył podobną historię. Wówczas też pewien mężczyzna zadzwonił do niego w środku nocy, oczekując na pomoc, tymczasem Emil go spławił, odkładając spotkanie do rana. Niestety rano znalazł swego rozmówcę z poderżniętym gardłem. Nigdy sobie tego nie darował. Nie lubił tamtego faceta. Był niesympatyczny, zadufany w sobie i śmierdział. Ale jednak był człowiekiem, którego on – Emil Żądło – zawiódł. Wolałby nie przeżywać czegoś podobnego drugi raz. Musiał upewnić się, że nie ponosi winy za śmierć nauczyciela.

Wypalił paczkę papierosów, przypalił grzanki, wypił pięć kubków mocnej kawy i dwa piwa, skończył odpisywać na redakcyjną pocztę. Aż wreszcie pod wieczór sięgnął po telefon i wystukał numer komisarza.

– Dowiedzieliście się czegoś? – zapytał, nie wdając się w szczegóły. Od lat rozumieli się niemal telepatycznie.

W głosie Marka zabrzmiało zniechęcenie:

– Prawdę mówiąc, gówno. Ta córka nic nie wie. Chyba nie byli zbyt blisko, każde żyło swoim życiem. Znała pasje papy, w końcu był historykiem, ale nad czym ostatnio siedział, nie ma pojęcia.

Wypytałiśmy sąsiadów, ale w większości to stare babcie, zero przydatnych informacji. Był tam jeden facet, taki w średnim wieku, koło sześćdziesiątki, niby się znali, czasem grywali razem w szachy. O tych szachach mi nawijał, poza tym był w szoku. Pierwsze słyszy o figurce, przynajmniej przy tym się upiera. Podejrzewa jakichś chuliganów. Komputerów jeszcze nie zdążyli dokładnie przebadać, ale tak na oko wszystko czyste. Albo wyczyszczone. Wygląda na to, że gość miał z kimś na pieńku. Możliwe, że zginął w wyniku porachunków. Jeśli szybko czegoś ciekawego nie znajdziemy, na tym zapewne stanie i sprawę będziemy musieli odłożyć na półkę.

– Pozwolisz mi powęszyć?

Zebra zarechotał.

– A czy niezbyt wyraźnie ci to zasugerowałem?

– Wolę się upewnić.

– Węsz, byle szybko. I nie muszę ci chyba gadać, że ostrożnie. Pamiętaj, w razie czego: gość kontaktował się z tobą, dlatego jesteś zainteresowany. Prasa jest wścibska. Masz doskonale wytłumaczenie.

– Daj mi namiary: adresy, telefony. Nie wiem, gdzie ten facet mieszka. To znaczy, mieszkał. Chciałbym się tam rozejrzeć, pogadać z ludźmi. I do tej córki przede wszystkim...

Gdy zakończyli rozmowę, przysunął sobie laptopa i otworzył pocztę. Raz jeszcze przeczytał maila od Milczanowskiego, notując sobie jednocześnie zapamiętane szczegóły tamtej nocnej rozmowy telefonicznej.

Zanim zaczęło świtać, miał już w głowie wstępny plan...

* * *

Dominika Wyszowska, córka ś.p. Zygmunta Milczanowskiego, nerwowo pchała załadowany zakupami wózek. Jej szczupła sylwetka i pięknie wyrzeźbiona blada twarz wyróżniały się w tłumie. Rasowa szatynka, w wieku około trzydziestu lat. Elegancko, choć sportowo ubrana, zadawała szyku mimo ponurej wczesnojesiennej aury na zewnątrz, niezbyt sprzyjającej modnym strojom. Rozpięła granatową kurtkę przeciwdeszczową; w sklepie było gorąco. Jej mąż, przystojny młody brunet, dreptał parę kroków za nią, podając z półek zapisane na kartce produkty. Wyglądał na zakłopotanego. Emil zastanawiał się, czy z jego powodu, czy po prostu nie lubi robić zakupów. Umówili się w Auchanie, dziewczyna nie chciała rozmawiać w domu. Być może mu nie ufała – cóż, miała prawo. A może po prostu musieli zrobić zakupy i nie zamierzali tracić czasu? Cóż. Też mieliby do tego prawo. Dziennikarz nie wiedział wcześniej, że spotkają się we trójkę, ale mąż sprawiał korzystne wrażenie: spokojny, nieco flegmatyczny, rzeczowy, chyba działał na żonę uspokajająco.

– Wie pan, mój ociec był dziwakiem, cała rodzina tak uważała, odkąd pamiętam – powiedziała Dominika, nie patrząc na Emila. Pilnie wczytywała się w etykietę na butelce jakiegoś egzotycznego sosu. – Pytał pan, czy byliśmy blisko. Z nim nikt nie był blisko! Nawet matka,

choć słabo pamiętam, bo byłam mała, kiedy umarła. Tata zawsze żył w swoim świecie. Tylko książki i książki... Niezbyt się mną interesował, więc i ja nie bardzo się interesowałam jego sprawami. Nie było u nas tak, jak w innych rodzinach: że ojciec i córka mają wspólne pasje, razem jedzą, rozmawiają ze sobą... My żyliśmy obok siebie, lecz osobno. Wcześniej wyszłam za męża. – Zerknęła przelotnie na męża, który z czułością ją objął. – Marzyłam o własnym domu i prawdziwej rodzinie. Chcemy mieć dzieci, z którymi będziemy naprawdę blisko. Wracając do ojca: tak, wiem o jego obsesji. Ale nie orientuję się, na czym dokładnie polegała. Nie wnikałam. Z dzieciństwa pamiętam, że miał fioła na punkcie indiańskich starożytności. Po dziadku odziedziczył książki i jakieś papiery, które podobno dziadek znalazł w skrzynce zamurowanej w naszej piwnicy, za schowkiem na kartofle. Pewnie ponemieckie. Był tam też posążek, ojciec twierdził, że z jakiegoś szlachetnego kruszcu, choć moim zdaniem wcale takiego wrażenia nie sprawiał. No ale widocznie ja się nie znam. Choć złoto bym raczej rozpoznała. Figurka wyglądała na starą, brzydką i bałam się jej, kiedy byłam mała. Widziałam ją raptem ze dwa, trzy razy, więc nawet panu nie opiszę. Przedstawiała w każdym razie ludzką postać, tak mówił ojciec, bo dla mnie był to raczej jakiś maskaron, miała wstrętną kwadratową twarz, wypukłe oczy, jakieś napisy. Tylko tyle mogę powiedzieć. Ojciec trzymał ją w zamknięciu i dosłownie ślinił się do niej. Przepraszam. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam w ten sposób mówić, ale czasem naprawdę trudno się powstrzymać. – Zapakowała na wózek dwie duże, markowe bomboniery.

Dziennikarz słuchał uważnie, a na wzmiankę o figurce jego ciekawość wzrosła.

– Czy te materiały oraz posążek zaginęły? Sprawdzała pani po tym, co się stało pani ojcu? – zapytał ostrożnie. Wiedział od Zebry, że niczego takiego nie znaleziono w mieszkaniu po zmarłym, jednak formalnie nie miał prawa tego wiedzieć. Był ciekawy, co dziewczyna na to odpowie.

– Tak. Nie znalazłam ich. Policja kazała mi wszystko dokładnie sprawdzić, więc to zrobiłam. Żadnych dokumentów ani posążka nie było. Możliwe, że mogły zostać skradzione. – Wzruszyła ramionami.

– Ale niekoniecznie – wtrącił jej małżonek. – Teść mógł sam

gdzieś ukryć te rzeczy. Kiedyś nawet coś takiego sugerował. Czasem rozmawialiśmy – dodał, chwytając w locie zdziwione spojrzenie żony.

– Miał pan dobry kontakt z teściem?

– Tego bym nie powiedział – zaśmiał się młody człowiek. – Choć chyba lepszy niż Dominika, bo starałem się go słuchać, jeśli już się odezwał...

– No wiesz, dałbyś spokój, Miśku – prychnęła kobieta. – To naprawdę niedobry moment na wygłupy.

– Przepraszam, kochanie. – Wziął ją za rękę, pochylił się i cmoknął pół żartem, pół serio. Zażenowana, wyrwała mu dłoń i schowała ją do kieszeni.

Zmierzali już w stronę kas. Emil zauważył na półce duże opakowanie cebulowych krakersów i wrzucił je do swojego koszyka.

– Tata był przekonany, że ta figurka jest bardzo cenna – dodała drwiącym tonem Dominika Wyszowska. – Tyle, że chyba wyłącznie w jego przekonaniu. Wiem, że kilka lat temu zawracał nią głowę różnym ekspertom. Pieklił się, bo po kolei go spławiali.

– Uznali, że to falsyfikat – uzupełnił Wyszowski.

– Rozumiem... – Emil pokiwał głową. – Czy państwo wspomnieli o tym policji?

– O czym? – zapytała.

– O tych dokumentach i o posążku.

– Nic nie mówiłam. Po co? Żeby namącić? Wyśmialiby mnie tylko. To mogły być przecież bzdury i, jak wspomniał mój mąż, ojciec mógł sam to gdzieś schować, przehandlować, wymienić się na coś, nie mam pojęcia. Nie widziałam tych rzeczy od lat! Szczerze mówiąc, nawet już o nich nie pamiętałam. A ty coś mówiłeś policji, Michał?

– Też nie. Nie pytali mnie o to – odparł z widocznym poczuciem winy, przejmując od niej wózek z zakupami. – Może powinniśmy?

– A daj spokój. To nie ma nic do rzeczy. Nie wierzę w to. Ojca z pewnością zamordował jakiś włamywacz, którego coś po prostu spłoszyło. Może nawet któryś jego były uczeń. W końcu przez wiele lat pracował w ośrodku dla nieprzystosowanej młodzieży. Różne męty tam były.

To coś nowego. Żądło zanotował sobie tę informację w myślach.

Gdy stanęli w ogonku przy kasie, Wyszkowski przeprosił i oznajmił, że chciałby jeszcze zajrzeć do optyka.

– Bardzo wstrząsnęła panią śmierć ojca? – zapytał Emil, towarzysząc dziewczynie w kolejce. Sam słyszał, że pytanie zabrzmiało głupio. Nie wiedział, jak je sformułować. Bał się, że ją uraził, jednak młoda kobieta wzruszyła tylko ramionami:

– I tak, i nie – odpowiedziała szczerze. – Niby nie mieliśmy najlepszego kontaktu, ale zawsze to ojciec. Odwiedzaliśmy go zwykle co niedzielę. Teraz to się skończyło. Tata się w ostatnim czasie zmienił. Stał się... jeszcze dziwniejszy. Chyba bał się czegoś lub kogoś, dosłownie wpadł w manię prześladowczą. Zlekceważyliśmy to, i teraz źle mi z tego powodu. Myślałam, że to ta jego obsesja – usprawiedliwiła się. – Tymczasem...

Westchnęła.

– Mógłbym obejrzyć jego mieszkanie?

– Ale po co? – Spięła się w sobie.

– Może mnie zainspiruje, może na coś wpadnę. Czasem pobyt na miejscu zbrodni pozwala więcej zrozumieć.

– Fluidy? – Dochodzili do kasy. – Jeśli o mnie chodzi, nie przeszkadzałoby mi to. Tylko że policja opieczętowała mieszkanie...

Żądło pokiwał głową ze zrozumieniem i – znieruchomiał. Po drugiej stronie kas dojrzał znajomą sylwetkę. Zielona ortalionowa kurtka, kasztanowe włosy upięte w koński ogon. Zdumione zielone oczy, utkwione w nim.

Marta?!

W tym samym momencie ona odwróciła się nagle i zniknęła w tłumie.

Gdy żegnał się z Wyszkowskimi na parkingu, nie był już pewien, czy mu się tylko nie zdawało. Możliwe, że ją z kimś po prostu pomylił...

– Jeśli pan chciałby obejrzyć mieszkanie ojca... – Dominika Wyszkowska cofnęła się od auta, do którego już prawie wsiadła. – Klucze ma sąsiad, piętro nad tatą. To prawie rodzina, od dziecka nazywam go wujkiem, choć jest tylko... to znaczy był... przyjacielem ojca. Więc jeśli tylko policja zdjęła już te swoje taśmy, może pan wejść tam razem z nim. Zadzwoń do niego i go uprzedzę. Bo sama jakoś nie

mam ochoty na razie tam jechać. Pan wie, gdzie tata mieszkał? Znajdzie pan naszą kamienicę?

– Kochanie! – Michał Wyszowski wychylił głowę przez okno.

– Już, już! Zaczekaj chwilkę!

– Ulica Do Studzienki, zgadza się? – powiedział szybko Żądło.

Wiedział to od Zebry, numer domu także już znał.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Tata na parterze, a wujek Zenek na pierwszym piętrze. To się nawet dobrze składa – dziewczyna ożywiła się – bo on będzie mógł panu o wiele więcej o ojcu opowiedzieć niż my. Przyjaźnili się, odkąd pamiętam. Jeśli tata komuś się z czegoś zwierzał, to właśnie jemu... No już idę, idę!

Odwróciła się, czując na ramieniu dłoń męża, który tymczasem zniecierpliwiony wysiadł z samochodu. Coraz mocniej lało. Pożegnali się jeszcze raz, już w strugach deszczu.

– Da pan znać, gdyby się pan czegoś dowiedział? Bo policja niczego nie chce zdradzić – dodała już z wozu.

Dziennikarz obiecał i podziękował obojgu za pomoc.

– To do usłyszenia! – Wyszowski z uśmiechem pomachał mu przez uchylone drzwi, po czym zatrzasnął je i powoli wycofał samochód z parkingu. Emil z podziwem obserwował piękną sylwetkę nowiutkiej, srebrzystej limuzyny Alfa Romeo. Rozpadało się na amen, zarzucił więc na głowę kaptur i rozejrzał za swoim starym rękodem. Zdążył już zapomnieć, gdzie go zaparkował. Zdaje się, cholera, że po drugiej stronie placu. Niech to szlag, całkiem zmoknie, zanim tam dojdzie...

W pamięci miał za to zielone oczy, wpatrzone w niego z wyraźną niechęcią...

– Myśmy już wszystkie ślady zabezpieczyli – oznajmił przez telefon Zebra – więc spokojnie tam włącz. Nie wiem, czy jeszcze są taśmy, jakby co, to po prostu zerwij. I tak rodzina już może tam wchodzić, wydaliśmy pozwolenie, a wy macie z kolei pozwolenie od córki, to prywatna sprawa. W razie czego, gdyby ktoś na przykład wezwał dzielnicowego, powołaj się na mnie, załatwię to. Ale jak będziesz z tym gościem, to raczej nikt nie będzie się stawiał. W tej

kamienicy nie ma zresztą zbyt wielu lokatorów, same starszawe babcie. Przy okazji... zwróć uwagę na tego faceta, poobserwuj go trochę. Może twój długi dziennikarski nos coś ci mądrego podpowie.

– Cieszę się, że doceniasz moją intuicję – odparł zjadliwie Emil. – A co, gościu jest podejrzany?

– Wychodzi na to, że poza tą córką i jej mężem, jako jedyny miał klucz do mieszkania ofiary. Siłą rzeczy musimy go podejrzewać. Poza tym dziwny jest. Taki jakiś... nazbyt gadatliwy. Jakby próbował coś ukryć. Zagadać, rozumiesz...

– Może po prostu gaduła?

– Może. Ale przyjrzyj mu się. Zresztą co ci będę gadał, i tak wiem, że go przemaglujesz do suchej nitki. A jakie wrażenie zrobiła na tobie córeczka?

Żądło zastanowił się przez chwilę.

– Sam nie wiem. Jeszcze jej nie rozgryzłem. Atrakcyjna, bystra dziewczyna, raczej szczerza. Tyle że jakaś taka... zimna? Pozbawiona uczuć? Jednak póki co nie wyciągałbym z tego wniosków. Jest młoda, to takie pokolenie. Skupione na sobie, mniej od nas wrażliwe. Przynajmniej tak mi się wydaje, ale może jestem stary.

– Jesteś.

– Dzięki. Nawzajem.

– A tak serio, oni też pewnie różni są, ci młodzi. Chociaż co do niej masz rację. Na nas zrobiła podobne wrażenie. Zero emocji. Znalazła trupa rodzzonego ojca, ale jakby to do niej nie dotarło.

– Może szok?

– Nie wyglądała na zaszokowaną. Raczej na obojętną. Inaczej ten jej mąż. Sympatyczny chłopak, wpatrzony w nią jak w święty obraz.

Emil przywołał w pamięci obraz Wyszkowskiego.

– Trochę snobistyczny – powiedział.

– To mu akurat wolno.

– Kim oni są z zawodu?

– On dyrektor handlowy dużej firmy farmaceutycznej. Dobrze mu się powodzi, robi karierę. Ona pracuje w aptece, na pół etatu. Poznali się na studiach, na medyku, tu w Gdańsku. Oboje są po farmacji. Chodzili ze sobą od drugiego roku, pobrali się zaraz po stażu. On już miał

załatwioną posadę, prezes tej firmy to jego stryj. Choć chłopak zastrzega się, że normalnie przeszedł przez wszystkie rozmowy kwalifikacyjne bez żadnych chodów czy ulgowego traktowania. Ona załapała się na te pół etatu w tej samej aptece, w której miała staż. Marzy jej się sklep zielarski. Wiesz, zioła i kosmetyki naturalne. Jeśli to jej się uda, to zrezygnuje z pracy w aptece. Chciałaby poprowadzić taki sklepik razem z koleżanką. W każdym razie całkiem nieźle im się wiedzie.

Przedsiębiorczy młodzi ludzie, samodzielni, niewiszący na rodzicach.

– Wspominała, że chciała jak najszybciej założyć rodzinę – wtrącił Emil.

– I spieprzyć od tatusia. Nie za bardzo się chyba kochali.

– No ale to nie świadczy, że go zabiła.

– Ano nie. Ale różnie w życiu bywa. To kiedy tam jedziesz?

– Za chwilę. Wiesz co?... Zdawało mi się, że widziałem...

Zebra czekał.

– No? Co widziałeś? – zniecierpliwiał się.

– Nie, nic. Nieważne.

– Gdzie ty w ogóle jesteś?

– Przez cały czas na parkingu przed sklepem. Musiałem sobie zapalić. I czekałem, aż przestanie lać. Ruszam już, na razie. Odezwę się.

* * *

Marta Zabłocka pożegnała się z koleżanką, z którą okazji zabrała się na zakupy, wysiadła z jej samochodu i taszczyła do domu swoje torby. Czuła ciężar większy niż ich realna zawartość. Mieszkanie wydało się puste, ponure, ciemne i zimne, pomimo serdecznie witającego ją kota. Wzięła Bolera na ręce i skierowała się od razu do kuchni, gdzie rzuciła zakupy na blat. Tu przynajmniej było najprzytulniej: małe, jasne pomieszczenie, które włączony w kuchence gaz błyskawicznie ogrzewał. Nastawiła wodę na herbatę. Pomyślała, że powinna przyrządzić sobie coś na obiad, ale nie chciało jej się jeść. Prawdę mówiąc – nic jej się nie chciało. Wsypała tylko chrupki do kociej miski i poszła do łazienki. Gdy zerknęła w lustro, ze zdumieniem

i niesmakiem spostrzegła, że po policzkach spływają jej łzy, rozmazując nałożony od wielkiego dzwonu makijaż. Raczej nie miała zwyczaju się malować, tego dnia zrobiła wyjątek. Teraz ta tapeta ją zdradziła. Nawet nie zauważyła, że ryczy. Wymyślając sobie na głos od idiotek, opłukała twarz zimną wodą, rozczesała włosy, przebrała się w wygodne znoszone ciuchy. Ponownie spojrzała w lustro: lepiej. Trochę lepiej. Kretynko – powiedziała do swego odbicia, tym razem w duchu – ty żałosna kretynko. Robisz z siebie idiotkę z powodu głupiego dziada? Łkasz z jego powodu? Bo to przecież nie tusz podrażnił ci spojówki, nie wmawiaj sobie, to poniżej twojej godności. Co za cholerny pech, swoją drogą, żeby raz na kilka miesięcy, korzystając z okazji, wybrać się na zakupy do zasranego centrum handlowego, i akurat nadziać się na gnojka! I to w takich okolicznościach. Szybko się pocieszył. Laseczka była młoda, bardzo młoda, bardzo ładna. Wciąż lecą na niego takie gówniary. Biedne naiwne panienki, bladego pojęcia nie mają, jak się z takim beznadziejnym truchłem żyje...

Stop. Poczula, że się zagalopowała. Sama nie była wiele młodsza, więc jeśli on truchło, to i ona truchło. No dobrze – pocieszyła się w myślach – ale on jest truchłem moralnym. Starym fiutem z umysłem dziecka. Raz jeszcze rzuciła okiem w lustro. Tym razem zobaczyła to, co chciała. Zła ruda wiedźma z błyskiem wściekłości w oku. Złość jest o wiele zdrowsza niż litowanie się nad sobą. Zadowolona wyszła z łazienki. Nalała sobie herbaty i poszła z nią do pokoju. Włączyła komputer. Popracuje trochę. Nie chciało jej się siedzieć zbyt długo w muzeum, w dodatku umówiła się do tego sklepu, więc teraz trzeba będzie nadrobić zaległości. Może to i lepiej. I tak nie potrafiła skupić się na niczym innym niż praca. Bolero siedział na parapecie, tęsknie wyglądając przez zalaną deszczem szybę. Był smutny. Ostatnio stale był smutny. Wystraszona Marta zabrała go nawet do weterynarza, zrobili rudzielcowi wszelkie możliwe badania, jednak wyniki okazały się dobre – nawet bardzo dobre jak na kilkunastoletniego, długowłosego, półrasowego kocura. Nie był chory, tylko smutny. Oboje byli smutni.

– Tęsknisz, co? – Podrapała go za uchem. – Czekasz na Emila?

Na znajomy dźwięk kot podniósł głowę i zamruczał.

– Nie czekaj – dodała bezlitośnie. – On ma nas w dupie. Znalazł

sobie już inną miłość. Nastawię ci Ravela, Kochany...

Puściła płytę, lecz kot nie zareagował zgodnie z przewidywaniami. Jakby zubożył. Przymknął oczy i chyba zapadł w drzemkę, nie ruszając się z miejsca. Marta zabrała się do inwentaryzacji, jednak nie mogła się skupić. W jej głowie wciąż buzowały gniew, bunt, żal. Na co jej to było? Tyle zmarnowanych lat... zainwestowanych w człowieka bez charakteru, który na to nie zasługiwał. A dziwiła się jego byłej żonie, zamiast jej posłuchać, pogadać z nią, zamiast się po prostu zastanowić. Przecież zanim go poznała, żyła sobie spokojnie, jak u Pana Boga za piecem: miała wymarzoną pracę, swoje sprawy, fajnych przyjaciół, z którymi od czasu do czasu mogła się niezobowiązująco umówić na kawę albo na piwo, ukochanego kota przy boku w charakterze najbliższej rodziny. Żadnych stresów, zero toksycznych emocji. Wszystko zepsuła, bo nagle zamarzył jej się związek. Idiotka. I to z kim? Ze zblazowaną gwiazdą lokalnego dziennikarstwa – śmiechu warte! Zakochanym w sobie degeneratem! Mięczakiem bez kręgosłupa moralnego! Ku... jego mać!

Zgniotła leżącą przy komputerze kartkę i rzuciła ją w ścianę. Bolero otworzył jedno oko, spojrzał, po czym dalej przysnął. Chyba już przywykł do jej wybuchów.

Ochłonęła.

Nie potrafili się dogadać, choć z początku wydawało im się – obojgu – że są dla siebie stworzeni. Szybko jednak okazało się, jak głęboko różnią ich priorytety. To było nie do pogodzenia. Nalegał na małżeństwo, któremu ona była przeciwna – jako instytucji, nie personalnie przeciwko niemu, wyjaśniała mu przecież, że to nic osobistego. Nie chciała się wiązać, nigdy nie akceptowała formalizmów. Było to wynikiem jej świadomej decyzji. Światopoglądu. Przekonań! Tłumaczyła mu to wielokrotnie, lecz widocznie nie szanował jej zdania. Nie słuchał, co ona ma do powiedzenia, lekceważył jej uczucia, robił wszystko po swojemu. Nawet bywał opryskliwy... Narażał ją.

Stop! – zmitygowała się. Stop. To akurat niesprawiedliwe. Sama się narażała, na własne życzenie, trzeba to jednak przyznać uczciwie. Więc przyznaje. Mimo to powróciła do swojej litanii pretensji: palił śmierdzące fajki za jej plecami, trąbił piwo do lustra, choć doskonale

wiedział, że tego nie akceptuje. Z drugiej strony... Z drugiej strony było różniej, było weselej. Ciekawiej. No i myślała, że się kochają. Że to właśnie jest miłość.

Myliła się.

Nieważne. Trudno. Było, minęło. Pani żelazna doktor Zabłocka nie pęka – pomyślała szyderczo. Słodki Emilek ma teraz młodą uroczą laseczkę. A ona, Marta, ma własne życie. Swoje własne odzyskane życie.

Tylko czemu tak w nim, cholera, nijako?

Znowu zachciało jej się płakać. Nienawidziła tego, nie znosiła słabości i użalania się nad sobą. Do diabła z tym! W dupie. Da sobie radę.

Raz jeszcze włączyła „Bolero” Ravela. Tym razem rudy kocur podszedł i położył się – jak dawniej – obok odtwarzacza. Jakby zrozumiał, że jego uwielbiana opiekunka rozpaczliwie tego potrzebuje.

Tego złudzenia, że jest normalnie...

Że da się zawrócić czas.

* * *

Kamienica stała bezpośrednio przy ulicy, od której dzielił ją tylko bardzo wąski chodnik. Dość zaniedbana, choć nosząca ślady znacznie świetniejszej przeszłości. Dodatkowo oszpecała ją – niczym nowotworowa narośl – dobudówka z lat pięćdziesiątych, brzydka niczym koszmar senny Bieruta. Emil wszedł do środka przez bramę. Na parterze już czekał na niego mały, szczupły, szpakowaty człowieczek z siwym wąsem. Przedstawił się jako Zenon Modry, sąsiad i przyjaciel tragicznie zmarłego Zygmunta Milczanowskiego.

– A pan jest tym detektywem? – zapytał, prowadząc go do mieszkania denata, znajdującego się po lewej stronie klatki schodowej. Można je było od razu rozpoznać po biało-czerwonych taśmach policyjnych, wyraźnie już przez kogoś zerwanych.

– Niedokładnie detektywem – uśmiechnął się Żądło. – Raczej dziennikarzem. Dziennikarzem śledczym – wyjaśnił.

– To będzie pan o tym pisał? – zaciekawiał się mężczyzna, wyraźnie przejęty, wkładając klucz do antywłamaniowego zamka.

– Możliwe. Na razie chciałbym się przyjrzeć sprawie, coś z niej zrozumieć. Ktoś już wchodził do tego mieszkania, odkąd opuściła je policja?

– Ano nie wiem. – Modry przepuścił gościa przodem, zapalając światło w ciemnym korytarzu. – Bo nie ja. Nawet zadowolony byłem, gdy Dominisia, znaczy się córka Zygmunta, zatelefonowała, ulżyło mi, że w czyimś towarzystwie tam wejść. Zawsze to różniej na wstępie. Wie pan, człowiek się wzdyga, jak wchodzi do domu nieboszczyka, w dodatku kogoś znajomego, bliskiego nawet. A obiecałem Dominice, że uporządkuję tam wszystko, zanim ona przyjedzie rzeczy po ojcu pakować. Będą pewnie chcieli sprzedać mieszkanie... A tę taśmę to pewnie dzieciaki z podwórka zerwały. Ciekawskich nam tu nie brakuje.

Idąc długim i wąskim korytarzem, minęli drzwi do kuchni i łazienki. Z przeciwnej strony, na wprost kuchni, znajdowały się jeszcze jedne drzwi, uchylone, prowadzące do pokoju będącego najprawdopodobniej sypialnią. Na wprost znajdował się duży kwadratowy pokój, z którego przechodziło się do dwóch kolejnych. Wszystkie – jak to często bywało w starych domach – były przechodnie. Ostatni – sypialnia, bo z zaścielonym łóżkiem – miał drugie drzwi, te wychodzące na korytarz. Urządzone gustownie antycznymi meblami – zadbanymi, choć niekonserwowanymi – miały klimat, pomimo widocznych śladów pozostawionych przez techników policyjnych. Na ścianach wisiały olejne obrazy w ciężkich drewnianych ramach. Ogrzewanie było wyłączone, w powietrzu czuć było wilgoć, pachniało stęchlizną. Panował tu niemal cmentarny spokój, tak przynajmniej odczuł go Emil, a wrażenie potęgowało miarowe tykanie ściennego zegara z kolumnkami. Był wciąż na chodzie. Opuszczone rolety w wąskich oknach nie dopuszczały światła. Modry podniósł je, lecz mieszkanie nadal pozostawało ciemne. Zresztą na dworze też było raczej ciemno, smętnie i ponuro: deszcz przestał już wprawdzie padać, ale niebo pokrywały sine, nabrzmiące chmury. Żałobna aura nieproszona wpełzła do środka. Pomimo to – a może tym bardziej dlatego – w oczy rzucał się przede wszystkim zaznaczony kredą obrys ciała w środkowym

pokoju, tuż pod pięknie rzeźbioną gdańską biblioteką, masywną i ciężką, zajmującą całą boczną ścianę obszernego pomieszczenia, a także widoczne jeszcze ślady krwi. Z drugiej strony, pod oknem, stała komódka z telefonem... Zapewne z niego rozmawiał tamtej nocy – pomyślał Emil.

– Nasze mieszkania, moje i Zygmunia, to jedyne tutaj własnościowe, reszta należy do kwaterunku – wyjaśnił pan Zenon. – Całe szczęście, że wykupiliśmy je w swoim czasie, bo teraz przynajmniej, choć to przykro mówić, Dominiczka skorzysta. Może za to kupi sobie wreszcie ten swój sklepik... – westchnął, stojąc niepewnie w progu, podczas gdy Emil się rozglądał.

– Nikt niczego nie słyszał, nie zaobserwował? Pan mieszka piętro wyżej, bezpośrednio nad tym mieszkaniem? – zapytał dziennikarz.

Wąsacz niepewnie pokiwał głową.

– No tak. Ale słowo daję, niczego nie słyszałem. Kto by się zresztą spodziewał. Spałem w tym czasie, co go ponoć zabijali. To noc była, a może nad ranem, dokładnie nie wiem, tylko tyle, co z pytań tych policjantów sam wywnioskowałem. A inni też nic nie słyszeli. Zresztą kto niby miał słyszeć? Oprócz nas tu same stare babcie mieszkają, po osiemdziesiątce, dziewięćdziesiątce, to i głuche jak pień. Może pan z nimi pogadać, ale policja już to zrobiła. Nikt nic nie wie. Nawet ten taki, co często u nas w suszarni sypiał, taki bezdomny, narkoman. Akurat wtedy go tu nie było.

– Jak to narkoman?

– A tak to. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Młody człowiek, nieszczęśliwy. Poczciwina w ogóle. Zygmus mu czasem parę groszy dawał albo jedzenie. Nikomu nie przeszkadzał, a nawet raźniej z nim było, bo tak jakby za stróża robił. Może gdyby był tutaj wtedy, to nie doszłoby do tej tragedii. Uwielbiał Zygmunia.

– Mówił pan o tym policji?

– Nie pamiętam... Ale jego i tak wtedy już tu nie było. Pewnie sobie znalazł inną metę, jak to się mówi.

– I do tej pory się nie pokazał?

– Ano nie. Ale teraz to by się nie pokazał, jak się tu policja wciąż kręci. To może przejdźmy do tego pierwszego pokoju? Nie będziemy

musieli oglądać tego... – Wskazał na obrys po zwłokach gospodarza. – Co jak co, ale ja nie mogę na to spokojnie patrzeć. Siądziemy sobie, włączę piecyk gazowy, kawki zaparzę, wiem, gdzie Zygmunt co trzymał. Dominisia nie miałaby nic przeciwko temu. Opowiem panu, co wiem. A trochę wiem, bo przyjaźniliśmy się od... zaraz... od ponad trzydziestu lat. Smaat czasu. Obaj zajmowaliśmy się nauczaniem, on historii, ja matematyki. Co prawda w innych szkołach. Tak się zbliżyliśmy do siebie, bo zamieszkałem w tej kamienicy znacznie później niż Milczanowscy. Oni tu byli od samego końca wojny.

Pierwszy pokój służył najwyraźniej za jadalnię, bo stał w nim jedynie okazałych rozmiarów stół, nakryty haftowanym obrusem, oraz ozdobny kredens. Także tutaj ściany pokrywały obrazy, przede wszystkim martwe natury oraz realistyczne, melancholijne pejzaże. Na serwantce przy oknie stało oprawione w mosiężne ramki zdjęcie posępnego mężczyzny o posiwiałych skroniach, w garniturze i okularach, sprawiającego wrażenie intelektualisty. Zapewne samego świętej pamięci gospodarza, bo przy jego boku stała sztywno Dominika Wyszowska, bez uśmiechu, młodsza o kilka lat, lecz rozpoznawalna. W dobie, gdy zdjęcia przechowywane są głównie w komputerowych folderach, miało to w sobie coś trącającego myszką, staroświeckiego, lecz urokliwego. Rozczulającego wręcz. Żądło usiadł przy stole. Czekając na pana Zenona, zanotował sobie w swym podręcznym notesie wszystko, czego się tego dnia dowiedział.

– No, mamy kawusię! – Modry wniósł do pokoju tacę z filiżankami i cukiernicą. Wnętrze zapachniało, tłumiąc nieco przykrą grobową atmosferę. Jakby na powrót wkroczyło tu życie, a przynajmniej jego namiastka. Pan Zenon strzepnął z krzesła resztki środka do pobierania odcisków palców. Dopiero wtedy usiadł. Emil uśmiechnął się pod nosem, bo sam o tym nie pomyślał.

– Dominika wspominała, że pan się kontaktował z Zygmuntem jeszcze za jego życia i że dopytywał pan o te jego badania. Ona to nic na ten temat nie wie, nie dlatego, że ojciec nie chciał jej powiedzieć, ale z tego powodu, że się tym nie interesowała. Młoda jest, a młodym nie w głowie stare dzieje. Jednakże faktem jest, że Zygmunt niechętnie się swoimi sprawami dzielił. Taki dość tajemniczy był z niego człowiek.

Więc nawet ja dobrze nie wiem, ile miał rzeczywiście do ukrycia, a ile wynikało z jego charakteru. Długie lata pracował nad pewną historią. W zasadzie życie na to poświęcił. A zaczęło się jeszcze od jego ojca, a nawet ojca jego ojca, bo kiedy Milczanowscy się tu wprowadzili, pod koniec wojny, jak tylko ruskie sobie poszły, to ojciec Zygmunta był jeszcze chłopakiem. Pewnego dnia razem ze swoim ojcem, czyli dziadkiem Zygi, natrafili w swojej piwnicy na dziwny pakunek. Bo te kamienice są ponemieckie, to pan zapewne wie, i tylko część została przez kacapów zniszczona. Mieszkanie nienaruszone zajęli po Niemcach, z calutkim wyposażeniem, meblami, wszystkim. Te rzeczy, co pan tutaj widzi, nawet obrazy, to jeszcze z tego okresu. Szkopy, co tu wcześniej mieszkali, zostawili wszystko, w popłochu uciekali gdzie pieprz rośnie. Na tej ulicy miało swoją siedzibę Gestapo, było tu też wiele obiektów wojskowych, Milczanowscy podejrzewali więc, że pakunek miał coś z nimi wspólnego. Szczególnie, że na teczce z tektury, w której były dokumenty, figurowało odręcznie napisane nazwisko jakiegoś franca, a brzmiało, dobrze to sobie zapamiętałem: Kriminalinspektor Hans Schoch. – Emil szybko otworzył notes, by zapisać sobie to nazwisko. – Gestapowiec, znaczy – kontynuował Modry. – Pakunek ten został starannie ukryty w metalowej kasetce i zamurowany w ścianie piwnicy za schowkiem na kartofle. Zdaje się, że stary Milczanowski chciał poszerzyć schowek i w ten sposób na to trafili, a było to jakoś pod koniec lat czterdziestych. Od tamtej pory oszalał na tym punkcie ojciec Zygmunta i on sam... Bo o dziadku to nie wiem. Fakt, że zabrali te rzeczy do siebie do domu i tak to się zaczęło. W skrzynce znajdowały się szczegółowe plany oraz mapy, a także zdjęcia jakichś ruin w dżungli, jakby piramid, a do tego niewielki posążek odlany z metalu, być może ze srebra, trudno powiedzieć, Zygmunt różnie gadał. Widziałem go parę razy, ale pojęcia nie mam, poczerniały był mocno. Wyglądał jak jakiś prehistoryczny totem, nawet tak o nim żartobliwie mawiałem, co mojego przyjaciela strasznie denerwowało – uśmiechnął się z nostalgią. – Po śmierci ojca Zygmunt przejął te rzeczy i latami je badał. Na czym polegały te badania, nie wiem, sporo w każdym razie podróżował i korespondował, mnóstwo czytał, co podobno w końcu przyniosło efekty. Że niby rewelacja to była.

Przed wojną ponoć głośna historia, jakiś wielki odkrywca, Anglik bodajże, co szukał zaginionego starożytnego miasta w dżungli amazońskiej. I nikt do dziś nie wie, czy znalazł, bo już z tej dżungli nie wrócił. No i Zygmunt ważne dowody niby znalazł, ale jakie i na co, to już nie wiem, bo mi się z tego nie zwierzył. To właśnie wtedy zaczął się dziwnie zachowywać. Stał się jeszcze bardziej skryty, czujny, podejrzliwy. Bał się. Twierdził, że jest prześladowany, szantażowany, że ktoś dybie na jego skarb. Bo nie o siebie tak dbał, odważnym był człowiekiem i wierzył w sprawiedliwość dziejową. A może po prostu nie spodziewał się, że z tego powodu można zabić. Bo i któż by się spodziewał... Przecież w cywilizowanym świecie podobno żyjemy. Nie potraktowałem tego poważnie, za co teraz mogę tylko pluć sobie w brodę. Bo ewidentnie ktoś się koło tego kręcił, ktoś, kto w końcu z zimną krwią pozbył się mojego przyjaciela i wykradł owoce jego pracy wraz z tamtym pierwotnym depozytem znalezionym w piwnicy...

– Czyli pan wiąże to zabójstwo z tamtą sprawą? – wtrącił Żądło. – Jest pan tego pewien?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– A co innego mam myśleć? To mi się wydaje logiczne. Te dokumenty oraz figurka znikły. Tak samo notatki Zygmunta. Miał taki gruby zeszyt, w którym wszystko sobie zapisywał. Nie ma go, policja go też nie znalazła. A nic innego z mieszkania nie zginęło.

– Więc dlaczego od razu nie poinformował pan o tym policji?! Przecież przesłuchiwali pana, tak jak wszystkich sąsiadów? – zirytował się dziennikarz.

Modry upił łyk kawy i ponownie wzruszył ramionami:

– Bo, rozumie pan, głupio mi było. – Wyglądał na zakłopotanego. – Zygmunt tak zawsze nalegał na dyskrecję w tej kwestii. Przyzwyczylił mnie do myśli, że to bardzo ważna tajemnica i nie mam na ten temat szastać gębą do obcych. Oszołomiony byłem jego śmiercią, nie myślałem logicznie. Zresztą co miałem mówić? Sam pan przyzna, że to wszystko brzmi jak z księżyca. Żadnych dowodów, tylko bajdy dwóch podstarzałych dziadów... tak by to zostało odebrane – dokończył z rezygnacją.

– Bo dowody zaginęły – powiedział Emil.

– No tak. Właśnie. Nie chciałem też w nic wplątywać małej, to znaczy Dominiki. No i... no i...

– Też się pan boi?

– Mam stracha, przyznaję – przytaknął niechętnie Modry. – Raz, że kto wie, być może ryzykowałbym własne życie – albo, co nie daj Bóg, jeszcze Dominiki! – gdybym się z tym wydał, a dwa, że Zygmunt sam mógł to gdzieś zawczasu ukryć. A wtedy może... tak sobie kombinowałem, że może mógłbym to osobiście odnaleźć i wtenczas dopiero iść z tym na policję. Z czymś konkretnym, a tak to tylko słowa...

Dziennikarz zachnął się w duchu, słysząc te oczywiste bzdury, zdawał sobie jednak sprawę z tego, że większość ludzi na całym świecie nie ufa policji. Z różnych zresztą powodów. Czasem nawet uzasadnionych.

– Poza tym Zygmunt nie chciał tego ujawniać. Taka była jego wyraźna wola – dodał po chwili Modry. – A ja czułem się w obowiązku to życzenie uszanować. Teraz, po jego śmierci, te rzeczy stanowią własność jego córki. Tylko ona ma prawo decydować o ich dalszym losie.

– Owszem, gdyby nie zostało popełnione morderstwo – wyjaśnił dziennikarz. – Czy ma pan jakieś przypuszczenia co do miejsca, w którym pański przyjaciel mógł schować depozyt, albo zna pan kogoś, komu mógłby go powierzyć?

Pan Zenon z nieprzeniknionym wyrazem twarzy pokręcił stanowczo głową. W tym momencie Emil pomyślał, że facet nie jest z nim do końca szczerzy. Być może nie kręci, ale nie chce też powiedzieć całej prawdy.

– Gdybym znał, to bym już to miał – usłyszał tylko w odpowiedzi. – Pan wypyta Dominikę. Może ona ma jakiś pomysł.

– Pani Wyszowska twierdzi, że najbardziej zaufanym człowiekiem w otoczeniu jej ojca był... pan – odparował Żądło.

Modry uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem, lecz nie skomentował tego. Rozłożył tylko ręce w geście bezradności.

– A ten bezdomny, o którym pan wspominał... czy to mógł być któryś z dawnych wychowanków albo uczniów pana Milczanowskiego?

– Ten młody narkoman? Nie, nie sędzę. Zygmunt by mi o tym powiedział. Zresztą Zygmunt w ośrodku dla nieprzystosowanych pracował lata temu, ostatnimi laty uczył w liceum. Jeśli pan myśli, że on to zrobił albo że ma ten depozyt, to z pewnością się pan myli. To chłopak zupełnie nie z tej ziemi. Nie, nie, czysty absurd.

– Pamięta pan jego imię, nazwisko?

– Nie znałem jego personaliów. Chyba nikt ich nie znał, tacy się nie przedstawiają. Ale to był po prostu przypadkowy włóczęga. Sporu tu takich kryje się po bramach.

– To jednak ciekawe, że akurat w tym samym czasie się ulotnił.

– Bo ja wiem? – Modry wydał wargi i dołał resztki kawy do filiżanek. – Na jego miejscu każdy by się ulotnił. Oni wolą nie wchodzić w oczy policji.

Z tym akurat dziennikarz musiał się zgodzić, porzucił więc temat bezdomnego.

– Proszę mi jeszcze powiedzieć... – Rzucił okiem na zegar, nie było jeszcze aż tak późno, więc ze spokojnym sumieniem kontynuował: – jak układały się stosunki pana Milczanowskiego z córką? Bo nie mam jasnego obrazu. Czy Dominika Wyszowska była skłócona z ojcem?

– Skłócona? Nie, tak bym tego nie ujął. Ale ich wzajemne relacje faktycznie nie należały do zbyt ciepłych. Oboje zawsze byli zamknięci w sobie, każde żyło w swoim świecie. Często się kłócili, owszem. Potem godzili. Dominiczka regularnie odwiedzała Zygmunta, choć niezbyt często. Czasem przyjeżdżała z mężem, czasem sama. On też czasem wpadał, większe zakupy teściowi przywoził, bo Zygmuś samochodu nie miał, nie jeździł ze względu na wzrok. Może nie była to idealna rodzinka, ale pewien jestem, że się kochali. Wie pan, jak to jest: dopóki wszystko jest normalnie, póki ktoś żyje, nie przywiązuje się wagi do pewnych rzeczy. Do głosu dochodzą różne urazy i animozje. Dopiero w obliczu śmierci... Po Dominice może tego nie widać, ale ja ją znam i wiem, że bardzo przeżyła to, co się stało jej ojcu – dokończył wyraźnie wzruszony.

– To ona znalazła zwłoki?

– W zasadzie to ja je znalazłem. A raczej, można powiedzieć, znaleźliśmy razem. Zygmunt długo nie wychodził z mieszkania, nikt go

nie widział, nie było z nim kontaktu, nie odbierał telefonu. Jak już wspomniałem, dość często wyjeżdżał, więc za bardzo się tym nie przejąłem, choć czułem się nieco urażony, że nawet mnie nie powiadomił. Zwykle podlewałem mu kwiaty pod jego nieobecność, zwykle o to prosił, a tym razem nic... No ale cóż powiedzieć, zdziwaczał ostatnio, myślałem zatem, że to dlatego. Jednakże po kilku dniach... z mieszkania czuć było fetor. Nawet sąsiadki z góry się zaniepokoiły, że może szczury się załęgły czy coś. I to mnie dopiero zaalarmowało. Zadzwoiłem do Dominiki, żeby przyjeżdżała, bo coś jest nie tak. Jej męża akurat nie było w kraju, więc wzięła taksówkę i przyjechała sama. Razem otworzyliśmy drzwi do mieszkania, ale Dominice zrobiło się słabo, więc wszedłem bez niej, ona czekała w progu. Tylko zajrzałem do pokoju, zobaczyłem na podłodze ciało, i od razu wiedziałem, że Zygmunt nie żyje. Wycofałem się. Uciekłem, szczerze mówiąc. To było naprawdę straszne przeżycie, cieszę się, że zostało oszczędzone córce. Wróciliśmy do mnie i Dominika od razu wezwała policję...

– Pan bardzo lubi Dominikę, prawda? – zapytał, a właściwie skonstatował zyczliwie Emil, próbując lepiej zrozumieć relacje zachodzące pomiędzy tymi ludźmi.

Sąsiad uśmiechnął się ciepło.

– Traktowałem ją jak córkę, odkąd się urodziła. Jestem kawalerem. Milczanowscy byli dla mnie rodziną – odparł z prostotą i zabrzmiało to szczerze.

W zasadzie nie było już nic do dodania. Dziennikarz podziękował za kawę i za rozmowę, schował notes do kieszeni i pożegnał się. Modry odprowadził go do wyjścia. Sam postanowił zostać jeszcze przez jakiś czas w mieszkaniu przyjaciela, by trochę posprzątać. Po drodze pokazał Emilowi bibliotekę Milczanowskiego: było w niej mnóstwo starych książek, pewnie jeszcze przedwojennych, ale także wiele nowych – w szczególności liczne w tej kolekcji albumy oraz różnojęzyczne opracowania o sztuce i kulturze iberoamerykańskiej. Emil miał wielką ochotę poszperać w nich dłużej, czuł jednak, że w tej chwili wyczerpałby zasoby cierpliwości tymczasowego gospodarza. Może później poprosi Dominikę Wyszowską o możliwość przejrzenia zbiorów ojca.

Gdy tylko opuścił kamienicę, nabuzowany informacjami,

postanowił niezwłocznie porozmawiać z komisarzem Zebra...

– No to mamy sensację, a raczej zagwozdkę – skwitował Marek Zebra po dłuższej chwili milczenia, gdy Emil zrelacjonował mu w słuchawkę dopiero co zdobyte newsy. – Sprawa się komplikuje i to w sposób, którego moi zwierzchnicy raczej nie lubią.

– No cóż, nie moja wina, że nie przycisnęliście wcześniej gościa jak należy – odparł Emil, zapalając pierwszego od kilku godzin papierosa. Siedział w zaparkowanym w zatoczce samochodzie, zdążył już kupić sobie na kolację kefir i cztery grahamki, zjeść dwie, no i zadzwonić do przyjaciela.

– Też racja. Że też ci ludzie zawsze muszą się tajniaczyć. Dobrze, że przynajmniej tobie wyśpiewał. Ludziska do mediów polecą ze wszystkim, parcie na szkło to się nazywa. Choć teraz dopiero dowalił nam roboty. Będziesz musiał wziąć coś na siebie, wiesz, te sprawy... Może dałbyś radę z Martą poszperać dla nas trochę?

Dziennikarz aż się zakrztusił.

– Ty jaja sobie robisz?! – wykrztusił wściekły.

– Żadnych jaj, tak tylko pytam. Sam za głupi do tego jesteś.

– Spokojna głowa. Poradzę sobie. Bartka poproszę, żeby pogrzebał w necie.

– Syna?! Ani się waż – zaoponował komisarz. – Nie wciągaj chłopaka do śledztwa. Jeszcze tego brakowało. Debil.

– No to sam pogrzebię. Mam dość danych.

– Tylko żeby nic nie wyciekło. Żadne sensacje. Pismaki na razie nie bardzo interesują się tym zabójstwem, niech tak pozostanie. Może za to później będziesz miał co sprzedać.

– Musisz zawsze z tą samą śpiewką do mnie uderzać?

– My się zajmiemy bezdomnym – zmienił temat Zebra.

– A co z komputerem, komórką, listami papierowymi? Modry wspominał, że Milczanowski wymieniał korespondencję...

– Na razie nic ciekawego, same pierdoły. Korespondencji w papierze brak. Widocznie ulotniła się razem z tym jego zeszytem i tak dalej. Jak coś ciekawego znajdziemy, dam ci znać.

– Sprawdźcie jeszcze, kto go odwiedzał – przypomniał sobie Żądło. – Bo o to zapomniałem zapytać tego matematyka.

– Sprawdzaliśmy. Poza rodziną i Modrym praktycznie nikt. Prawie nie przyjmował gości. Ale sam często wyjeżdżał, zwykle pociągiem. Może na tych wyjazdach spotykał się z kimś podejrzanym.

– Tak myślałem. A... jeszcze jedno! Czy przeszukaliście piwnicę? Bo może Milczanowski schował depozyt w pierwotnej skrytce?

– Piwnicę sprawdzono dokładnie. Nic tam nie ma, żadnych śladów niedawnych prac murarskich, żadnych tajnych schowków, zwykła piwnica. W ogóle wygląda na to, że od dawna nikt tam nie wchodził. Same słoiki z marynowanymi grzybkami plus stary rower. Czysto. To znaczy brudno, ale czysto – zaplątał się Zebra.

– Dobra. Rozumiem. To ja jeszcze raz pogadam z tymi młodymi. I będę obserwował Modrego, bo mnie on też jakoś nie przekonuje. Coś kręci, piernik. Teraz muszę kończyć, bo mnie zaraz drogówka dupnie, tu nie wolno za długo stać! Jadę do domu. To znaczy... do redakcji.

– Tylko bądź w kontakcie!

– Ty też. Cześć. – Żądło rozłączył się, wycofując rękę z prowizorycznego parkingu. Dopiero teraz poczuł się zmęczony. Marzył już tylko o jednym: żeby się wyspać. I czuł, że tym razem nareszcie mu się to uda. Bezczynność nigdy mu nie służyła, adrenalina wręcz przeciwnie. Wreszcie ma coś do roboty.

* * *

Przespał całą noc bez snów. Gdy się zbudził, był dopiero wczesny i mglisty poranek, lecz nie chciało mu się dłużej wylegiwać w betach. Czuł się rześki i przytomny, zwłaszcza gdy przypomniał sobie, że nie musi już pisać o szkolnictwie wyższym czy jakimkolwiek innym, tylko ma temat, o jakim marzył od roku z okładem. Po raz kolejny przyłapał się na wyrzutach sumienia: żeby on mógł poczuć się dobrze, najwyraźniej ktoś musi kogoś zabić. Była to nieco gorzka myśl, choć już do niej przywykł. Marta nieraz wypominała mu ironicznie, że jeśli nikt w Trójmieście przez dłuższy czas nie popełni morderstwa, będzie musiał

chyba zrobić to sam. Marta...

Otrząsnął się. Wstał i opłukał się nad umywalką w maciupeńskiej łazience, po czym nastawił wodę na kawę. Tymczasem spenetrował równie mikroskopijną redakcyjną lodówkę, w której trzymał swoje zapasy, w poszukiwaniu czegoś przydatnego na śniadanie. Natknął się jedynie na resztki topionego serka i keczup. Z wczorajszego dnia zostały mu jeszcze dwie grahamki. Będzie jak znalazł. Zalał wrzątkiem trzy łyżeczki kawy rozpuszczalnej i pociągnął długi łyk. Poparzył sobie usta, jak zwykle. Zaklął. Zjadł bułki, a następnie swoim zwyczajem wyszedł na zewnątrz, by pod okapem zapalić porannego papierosa. Miasto już żyło, choć wciąż senne, otulone mgłą, z której co jakiś czas wypływały niczym zjawy sylwetki ludzi i pojazdów. To wszystko sprawiało wrażenie nierealności. Dźwięki tłumy mleczne opary, rozświetlone barwnymi światłami ulicy Grunwaldzkiej. Wrócił do środka i z kubkiem w ręku schował się w swojej kanciapie. Kawa nareszcie wystygła, letnia smakowała mu o wiele lepiej. Włączył komputer, by sprawdzić pocztę, prywatną i redakcyjną. I od razu natknął się na niespodziankę: mail od Zebry, wysłany godzinę i piętnaście minut temu z wysokim priorytetem:

My nie próżnowaliśmy, w załączniku masz efekt całonocnej ciężkiej pracy policji: zdjęcia tego bezdomnego. Z monitoringu przed sklepem całodobowym, w którym bywał, gdy dostał od kogoś parę groszy. Na szczęście nie skasowali jeszcze starych nagrań. Chłopaka rozpoznali już mieszkańcy kamienicy, których złapaliśmy bladym świtem: to na pewno ten sam. Jeszcze go nie zidentyfikowaliśmy, możesz też próbować.

Zebra

Zdjęcia w kilku ujęciach przedstawiały dwudziestolatka (mniej więcej) o wychudłej twarzy, z długimi tłustymi włosami w odcieniu – jak się zdaje – ciemny blond, ubranego w wytartą kurtkę paramilitarną i mocno sprane dżinsy z dziurą na kolanie lewej nogawki. Emil wybrał dwa zbliżenia i wydrukował je sobie. Odpisał komisarzowi, by potwierdzić odbiór wiadomości. Już wiedział, co ma dziś do zrobienia. Sięgnął po komórkę, by wystukać numer Dominiki Wyszowskiej...

* * *

Emil zaparkował na parkingu w centrum osiedla i rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu numerów domów bliskich temu, który miał zapisany na kartce. Osiedle Arkadia, na którym mieszkali Wyszkowscy, ulokowane zostało na obrzeżach Gdańska, przy obwodnicy. Administracyjnie należało już do sąsiedniej gminy, choć znajdującej się nadal w obrębie powiatu gdańskiego. Osiedle jak każde inne, wybudowane w nowej epoce – stwierdził – wygodna zbiorowa sypialnia. Nowoczesne, pastelowo pomalowane niewielkie bloki i otaczająca je infrastruktura sprawiały wrażenie czystych, estetycznych, zadbanech, lecz martwych. Trawniczki i klomby, owszem, ale bez drzew. Nawet ludzi mało, dzieci i psy nie bawiły się tu na podwórkach, babcie nie siedziały w oknach. Jakby ludzie wracali tu tylko po to, by spać. Wrażenie potęgowały rozkopy, ciągnące się jeszcze gdzieś dookoła. Skupisko lukrowanych pudełek dla lalek, pomyślał. Cukierkowe bombonierki. W ogóle nie znosił osiedli, ale chyba jednak wolał dawne blokowiska, z okresu „słusznie minionego”, które – choć przerośnięte, szare i brzydkie – mimo wszystko sprawiały bardziej ludzkie wrażenie. Żyły swoim życiem. Na przykład jego niezbyt urodziwe, lecz swojskie Przymorze, gdzie spędził długie lata swego małżeństwa, a potem samotności. Nie miał tam wrażenia izolacji. Stare osiedla to były dzielnice: wchłonięte przez miasto, stanowiące jego część. Te nowe wyglądały jak zabawki, domki z piernika, makiety pozbawione ciepła i pulsu. Bez krwioobiegu. Taki świat pod kloszem. Ale może to kwestia czasu albo... znak czasu – pomyślał.

Wypatrzył zapisany numer i pospieszył w kierunku jednego z wielu identycznych pastelowych klocków. Naprawdę można się tu było zgubić. Po chwili dzwonił do domofonu. Dominika Wyszowska chyba na niego czekała, bo otworzyła natychmiast. Klatka schodowa była równie sterylna jak wszystko tutaj. Nie pachniała niczym. Gdy wszedł schodami na pierwsze piętro, młoda kobieta czekała już na niego w otwartych drzwiach:

– Nie spodziewałam się pana tak szybko. – Przywitała go

wystudiowanym, chłodnym, lecz uprzejmym uśmiechem, również pasującym do otoczenia. – Mam na myśli, że tak szybko po naszej pierwszej rozmowie. Zapraszam do środka, przygotowałam kawę. A może pan by wolał herbatę?

– Dziękuję, kawa w zupełności wystarczy.

Mieszkanie także pasowało. Niewielkie, ale przestrzenne, czyste, eleganckie, bez wyrazu. Ściany w tonacji jasnego beżu, na nich tylko jeden obrazek, zapewne z Ikei: reprodukcja *Słoneczników* Van Gogha. Banalnie. Dużo nowoczesnego sprzętu. Po co obrazy na ścianach, kiedy może tam wisieć wielki telewizor plazmowy... Szklany stolik bez serwetki. Meble także z Ikei – ocenił. Wygodne, standardowe. Wszystko nijakie, bez śladów indywidualizmu. Całkowite przeciwieństwo mieszkania jej ojca. Ale może to znamienne – ocenił w duchu.

– Bardzo proszę, tutaj usiadziemy, tylko wszystko przyniosę. – Dziewczyna znikła w kuchni, by po chwili wnieść tacę z dzbankiem i kolorowymi kubkami, najwyraźniej firmowymi, promującymi suplementy diety. – Jaka to pilna sprawa? Bardzo przepraszam, ale jak już mówiłam przez telefon, jestem sama, mąż w delegacji. I ja niestety też muszę zaraz zmykać do pracy. O piętnastej zaczyna się moja zmiana, a wcześniej chciałabym jeszcze zdążyć coś załatwić – dokończyła, siadając w niskim pastelowym fotelu naprzeciwko gościa. Gdy stawiała przed nim napełniony kawą kubek, zauważył starannie wypielęgnowane paznokcie, polakierowane na fioletowo. Emil pomyślał z rozbawieniem, że pewnie idzie do kosmetyczki. Albo do fryzjera. Widać było, że sprawy związane z własnym wyglądem to ważny punkt w programie dnia tej sympatycznej skądinąd młodej dziewczyny. Spojrzała na niego wyczekująco.

– Nie zajmę pani dużo czasu. – Dziennikarz sięgnął po kubek. – Mam w zasadzie tylko dwie sprawy...

Streścił jej rozmowę z Modrym.

– Czy to się zgadza? Pani to wszystko potwierdza? – zapytał na koniec.

– Tak, oczywiście. – Lekko się zmieszała, co nie uszło jego uwagi. – Przecież to samo panu wcześniej w skrócie powiedziałam. Ja wiem o wiele mniej niż wujek Zenek. To też już mówiłam. Tyle, co mi się tam

latami obijało o uszy. Niewiele mnie obchodziły obsesje ojca. Wujek o wiele częściej bywał u taty, dużo ze sobą rozmawiali, od zawsze. Z całą pewnością, jeśli o czym mówi, to tak właśnie musiało być. A jeśli chodzi o znalezienie ciała taty, to też się zgadza, przyznaję. – Napiła się kawy, spoglądając na niego nieco wyzywająco. – Nie widziałam zwłok na własne oczy. Nie mogłabym. Chyba bym zemdląła. Ale to chyba nie ma wielkiego znaczenia?

Emil obrzucił ją sceptycznym spojrzeniem. Nie wyglądała na aż tak wrażliwą, a do ojca miała stosunek raczej chłodny. Ale w ogóle to nawet polubił tę zasadniczą dziewczynę. Podobała mu się, miała nieskomplikowany charakter, proste normy moralne, a do tego fizycznie też niczego sobie. Tego dnia, w dopasowanym szaro-liliowym kostiumie, wyglądała jeszcze atrakcyjniej niż wtedy w supermarkecie.

– Sądziłem, że pani, jako służba zdrowia...

– Jestem farmaceutką, nie patologiem – przerwała mu. – Podobno kiedyś na farmacji były obowiązkowe zajęcia z prosektorium. Ale nie za moich czasów. Naprawdę boję się oglądać nieboszczyków. Wiem, że to brzmi głupio, trudno. Nie przeskoczę tego. Policji powiedziałam, że sama znalazłam ciało, żeby tego nie komplikować i nie wciągać w to wujka. No i żeby sobie nie myśleli, że zaniedbywałam tatę. Choć tak naprawdę to raczej on mnie przez całe życie zaniedbywał.

– Rozumiem. Nic się nie stało, to nic takiego. A o tym bezdomnym co pani wie?

– Nic. – Wzruszyła ramionami.

– Kompletnie nic? Ojciec pani o nim nie wspominał?

– Nie przypominam sobie. – Zerknęła na zegarek, miniaturowe elektroniczne cacko, które nosiła na przegubie jak bransoletkę.

Emil wyciągnął z teczki wydruki zdjęć z monitoringu i rozłożył je przed nią na stoliku, przesuwając naczynia.

– Niech mu się pani przyjrzy. Nigdy go pani nie widziała?

Pochyliła się i zerknęła, jedno ze zdjęć nawet wzięła do ręki. Na koniec pokręciła głową przecząco.

– Nie, nigdy – odparła stanowczo.

– Czy to mógłby być jeden z byłych uczniów pani taty?

– Mógłby być, ale nie mam pojęcia, czy był. Przecież to może być

każdy. Skąd mam wiedzieć?

– Pamięta pani, w jakich placówkach pracował ojciec? – zadał kolejne pytanie. – Mogłaby mi pani dać taki wykaz? Powiedzmy, z ostatnich dziesięciu lat...

Pokiwała głową, podniosła się i zapisała coś szybko na karteczce wyrwanej z kolorowego bloczku, leżącego przy laptopie, na dwupoziomowym chromowanym regale. Podała mu ją z tym samym uprzejmym uśmiechem, z jakim go przywitała:

– Bardzo proszę. Czy to już wszystko, proszę pana? Bo... – Ponownie zerknęła znacząco na zegarek.

– Spiesz się pani do pracy, wiem. – Wstał i odwzajemnił uśmiech. – To już wszystko, dziękuję za pomoc. A może panią podwieźć?

– Nie, nie. Nie trzeba, mam samochód. Mąż pojechał służbowym wozem. – Odprowadziła go do drzwi. Pożegnali się zdawkowo. Emil nie ukrywał, że być może będzie ją dalej niepokoił, o ile zajdzie taka potrzeba. Nie przyjęła tego źle, raczej obojętnie.

Wracając do samochodu, rzeczywiście zablądził. Gdy go w końcu odlaźł, z ulgą opuścił tę bezosobową kolonię uroczych sześcianów. Spieszył się, żeby na obwodnicy nie trafić na typowy w godzinach szczytu korek.

* * *

Podczas gdy Emil, korzystając z wczesnej pory, objeżdżał szkoły, w których w trakcie swej kariery zawodowej uczył Zygmunt Milczanowski, Marta tłukła się tramwajem do Oliwy, do domu, ponuro obserwując przez brudne okna zamglony świat. Wydawało jej się, że jedzie tak już od wielu godzin, irytowało ją, że pojazd co chwilę przystaje, wypluwając z siebie ludzi i przyjmując nowych, zniecierpliwionych, gadających przez telefony komórkowe. I do czego tak się spieszą. Jakie to beznadziejne... – skrzywiła się, przymykając oczy. Wracała z muzeum, tego dnia wcześniej, bo pracowała od rana. Coraz gorzej znosiła monotonię swojego życia, samotność także jakoś bardziej jej ostatnio doskwierała. Odwykłam, przyznała się niechętnie

sama przed sobą. Zgorzkniałam. Nawet kot się ze mną nudzi.

Na klatce schodowej spotkała sąsiadkę, panią Renię, która z nawyku codziennie pod jej nieobecność zaglądała do Bolera. Marta czuła się bezpieczniej, wiedząc, że ktoś ma na oku jej pupila. Tym razem jednak nie miała ochoty gadać ze starszą panią. Jeszcze znowu zapyta o „pana Emilka”. Zawsze pyta. Przerwała więc od razu na wstępie potok jej wymowy. Uśmiechając się blado, wymówiła się złym samopoczuciem. Nie był to jednak zbyt dobry pomysł:

– O matko święta! – przejęła się sąsiadka. – Pani Martuniu, na litość boską, może grypa panią rozbiera? Pani taka blada i wymizerowana. A bo to wszyscy teraz chorzy, wszystko przez tę wilgoć. Mnie też brało, ale zrobiłam sobie gorącej herbaty z miodem i z malinami, cytrynka do tego, no i przeszło, odpukać... To może ja pani zrobię. A pani się położy z Bolerkiem do łóżka? On taki smutny, biedaczek, odkąd...

– Pani Reniu, dziękuję! – przerwała jej Marta w panice. – Mnie tylko głowa trochę boli. Nic mi nie będzie, poradzę sobie, naprawdę. Przepraszam, spieszę się, bo... bo czekam na telefon z pracy!

Uciekła za drzwi jak oparzona. Mało brakowała, Renia już miała Emilka na końcu języka. Marta zdjęła płaszcz, przywitała się z kotem i – jak zwykle – pierwsze kroki skierowała do kuchni, by nastawić sobie wody na herbatę. Bez żadnych malinek, cytrynek i miodów, dodała przekornie w myślach. Prawdziwą mocną, czarną herbatę z łyżeczką cukru. Popijała ją małymi łykami, siedząc przy stole i gapiąc się bezmyślnie w okno. Odruchowo drapała za uchem łaszącego się Bolera, który swoim zwyczajem wskoczył na blat i mruczał. Pomyślała, że poczytałaby książkę, może jakiś dobry kryminał, może obejrzałaby film... ale nie chciało jej się kiwnąć palcem. Przysnęła.

Obudziła ją znajoma melodyjka telefonu. Dzwoniła jej komórka. Raptownie wyrwana z drzemki, zapomniała spojrzeć na wyświetlacz, zdziwiła się więc, słysząc głos komisarza Marka Zebry:

– Marta? Witaj, to ja, twój przyjaciel glina – zaczął rażno. – Co u ciebie, co porabiasz?

– Cześć, Mareczku... Prawdę mówiąc, nic takiego. Wróciłam z pracy, trochę spałam – wyjaśniła, próbując się jak najszybciej ocknąć

z oblepiającej ją sennej waty.

– Obudziłem cię?

– Tak jakby, ale to dobrze, bo szyja mi zdrętwiała! – zaśmiała się.

– To dobrze, bo mam do ciebie sprawę. – Zebra zawiesił znacząco głos.

– Jaką sprawę?

Odchrząknął.

– Mamy sprawę o morderstwo faceta, który zajmował się dziwnymi rzeczami. Podobno był w posiadaniu oryginalnych dokumentów powiązanych z jakąś historią sprzed lat, dotyczącą poszukiwań nieznanego miasta, gdzieś w dżungli. I sam prowadził na ten temat własne badania. Niestety, zarówno te stare dokumenty, jak i notatki z jego pracy zaginęły. Faceta ktoś stuknął, a wcześniej prześladował. Co ważne, miał także starą figurkę, o której twierdził, że jest bardzo cenna. Ta figurka także zniknęła. Wiemy o tym z relacji świadków, kilku osób. To był emerytowany nauczyciel historii...

– Chyba czytałam o tej sprawie – odpowiedziała Marta. – O zabójstwie nauczyciela w Gdańsku. To było niedawno, jakiś tydzień temu, prawda? Dziwna historia z tym zaginionym miastem.... Możesz powiedzieć coś więcej?

– Właśnie chodzi o to, że niewiele więcej wiemy – przyznał komisarz. – A podejrzewamy, że te badania mogły być motywem zbrodni.

– Ciekawe...

– Na to liczę, że to będzie dla ciebie ciekawe, bo chciałbym cię prosić o pomoc. Rozumiesz, żebyś trochę w tym pogrzebała, może tobie uda się wpaść na jakiś pomysł?

– No dobrze, ale mam za mało informacji! Gdzie to miasto, w jakiej dżungli, kiedy to się działo, te poszukiwania, przez kogo... I co miał z tym wspólnego, na litość boską, nauczyciel z Gdańska?!

– Tyle ci powiem, ile wiem. Dokumenty ten gość znalazł przypadkiem, a raczej jego rodzina, ukryte w piwnicy. Być może ponemieckie. Z kolei facet, który poszukiwał tych ruin, to był Angol. Podobno znany podróżnik. W trakcie tych poszukiwań sam zaginął bez śladu, jeszcze przed wojną. Zdaje się, że chodziło o Amerykę

Południową, świadek wspominał coś o dżungli amazońskiej. Nie mamy pojęcia, jak i dlaczego na terenie Gdańska znalazły się te dokumenty. Wiemy tylko z relacji świadków, że miały to być mapy i zdjęcia, może też jakieś listy. No i ten cholerny posążek. Może by trzeba aukcje internetowe obcykać? Choć trudno szukać, jak się nie wie czego... Według tego nauczyciela były to w każdym razie sensacyjne materiały. Oczywiście, gość mógł się mylić, mógł też być szaleńcem, choć nie wygląda na to. Tyle mogę ci zdradzić na tę chwilę, bo sam więcej nie wiem. Ale wierzę, że ty coś z tym zrobisz. Znam cię i wierzę w ciebie.

Marta zamyśliła się.

– To niewiele, ale...

– Resztę omówisz z Emilem.

– Co?! – wykrzyknęła i zaniemówiła.

– No...

– Nie, mowy nie ma!

– Żądło prowadzi własne dziennikarskie śledztwo, pomaga nam.

No daj spokój, Marta! Przecież nie jesteście dziećmi. Rozumiem wasze osobiste nieporozumienia, to znaczy nie rozumiem ani nawet nie akceptuję, ale szanuję. Tu chodzi jednak o coś ważniejszego, przecież ktoś jeszcze może stracić życie, o ile szybko nie wyjaśnimy, co się za tym kryje. Potraficie chyba dalej ze sobą współpracować jak normalni dorośli ludzie? Niezależnie od osobistych animozji?

– Ale...

– Okej, załatwione. Nie ma żadnych „ale”. Zajmiecie się tym jak dawniej. Tło historyczne należy do ciebie, nikt nie jest w tym lepszy. No i mogłabyś mi wreszcie wyjaśnić, o co wam poszło. Bo od tego idioty nic nie można wyciągnąć. Dlaczego ja przez cały czas o niczym nie wiem? W końcu chyba jesteśmy przyjaciółmi?

Westchnęła.

– Marku... Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Po prostu nie układało się nam. Mijaliśmy się. Tyle.

– Bzdury! – zachnął się. – Jesteście dla siebie stworzeni! Jedno i drugie tak samo porąbane. Pokłóciliście się jak para szczeniaków, a żadne z was w życiu nie przyzna się do winy, żadne pierwsze nie wyciągnie ręki do zgody. Para uparciuchów. Nie docenicie tego, co

mieliście. Znasz moją historię z Majeczką?

– Znam, znam... Pozdrów ją ode mnie przy okazji.

– No. To przynajmniej ty bądź rozsądniejsza. Pozdrowię.

– On już i tak kogoś ma – wyrwało jej się. – Dopiero co spotkałam go przypadkiem w Auchanie. Z jakąś laską, bardzo młodą i bardzo ładną. Robili wspólne zakupy. Więc o tym, żebyśmy do siebie wrócili, nawet nie myśl. Było, minęło. Zresztą już nie wyobrażam sobie powrotu do przeszłości.

W słuchawce rozległ się tubalny śmiech komisarza.

– Co cię tak śmieszy, do cholery? – zapytała urażona.

– Bo ta laska z supermarketu to był nasz świadek! – Marek śmiał się dalej. – Córka tego zamordowanego belfra! Żądło spotkał się z nią na moją prośbę. A mieszka kątem w swojej redakcji. Widzisz, jak łatwo można wyciągać błędne wnioski?

– Serio? – Zmieszła się. – Ale to i tak niczego nie zmienia...

– A to już wasza sprawa, nie moja. Dam znać Emilowi, skontaktuje się z tobą. I, jeśli możesz, to najlepiej od razu zabieraj się do roboty! Czas nas goni: ktoś, kto ma te dokumenty, wie znacznie więcej od nas. Wyprzedza nas o cały dystans. Rozumiesz przecież, co to może oznaczać?

Odłożyła słuchawkę, zbyt oszołomiona, by racjonalnie myśleć. Do kuchni z godnością wszedł Bolero i otarł się o jej kolano: zamruczał, upominając się o jedzenie. Nasypała chrupek do miseczki, po czym nastawiła czajnik elektryczny. Koniecznie musiała napić się herbaty, zanim włączy komputer. Pociągając elektronicznego papierosa, czekała, aż woda się zagotuje. Tylko przelotnie zerknęła w lustro – po raz pierwszy od wielu miesięcy ujrzała w nim własny uśmiech...

* * *

Wieczorem

Emil kartkował swój notatnik, przenosząc zdobyte i zapisane w nim w ciągu dnia informacje do pliku komputerowego, by wysłać go

w spakowanym załączniku do Marka Zebry. Objechał wszystkie szkoły, w których pracował Milczanowski, za zgodą dyrekcji rozmawiał z nauczycielami, którzy go pamiętali. Najwięcej problemu miał z odszukaniem dyrektora placówki opiekuńczo-wychowawczej, ponieważ zmieniła lokal. Milczanowski był tam wychowawcą w internacie oraz nauczycielem historii w szkole należącej do ośrodka. Wszystkim pokazywał zdjęcie bezdomnego, jednak nikt go nie rozpoznał. Wyglądało na to, że chłopak nie jest dawnym uczniem denata. Dowiedział się natomiast paru ciekawostek dotyczących samego nauczyciela. Nie miał w pracy zbyt wielu przyjaciół, jednak z paroma osobami pozostawał w dość zażyłych stosunkach, choć nie na tyle, by im się zwierzać. Z wyjątkiem jednej: nauczycielki łaciny w jednym z liceów, która nadal uczyła na pół etatu, choć powinna już od roku być na emeryturze. Tyle że kochała swoją pracę i nie wyobrażała sobie bez niej życia. Nie znała wprawdzie szczegółów, lecz orientowała się mniej więcej w zainteresowaniach Milczanowskiego. Mało tego, parę razy tłumaczyła mu coś z łaciny, zazwyczaj stare teksty, dotyczące eksploracji Ameryki Łacińskiej z czasów wielkich odkryć geograficznych. Pamiętała, że było tam coś na temat legendarnego Eldorado, oczywiście między innymi, ale to jej akurat zostało w głowie, bo znana nazwa. „Zygmunt pasjonował się tym” – zauważyła. Na emeryturze planował napisać książkę, takie dzieło życia. Kobieta – mniej więcej w wieku Milczanowskiego – nie wiedziała dokładnie o czym, ale była pewna, że związaną z tą właśnie tematyką. Taki w każdym razie miał plan. W Internecie buszował po bibliotekach cyfrowych z całego świata, odwiedzał najróżniejsze archiwa, czytał tam stare manuskrypty. Owszem, można to nazwać obsesją – odparła sugestię dziennikarza – ale ona zawsze bardzo ceniła takich pasjonatów. Zapamiętała, jak opowiadał, że jeszcze jako chłopiec wraz ze swym ojcem podróżowali palcem po mapie, w marzeniach odkrywając nieznanne, tajemnicze ruiny. Jego ulubioną zabawką nie była piłka, lecz... globus (zaśmiała się z rozrzewnieniem). „Odkąd Zygmunt odszedł na emeryturę, w szkole zrobiło się nudno” – przynajmniej dla niej. Nie, nie spotykali się zbyt często, tylko sporadycznie, a potem w zasadzie już prawie wcale. Czasem, z rzadka, dzwonił, by wyjaśnić znaczenie trudniejszych

łacińskich zwrotów. Sam uczył się łaciny, a nawet innych języków, więc coraz rzadziej potrzebował jej pomocy. Bywają takie znajomości... związane z miejscem. Ta do takich widocznie należała, zauważyła ze smutkiem. Przyjaźń z pokoju nauczycielskiego, dodała bez spodziewanej goryczy. Bardzo przeżyła śmierć kolegi. „To takie niesprawiedliwe” – dodała. Emil zapytał ostrożnie, czy Milczanowski posiadał może jakieś artefakty związane ze swoimi zainteresowaniami. Łacinniczka odpowiedziała po zastanowieniu, że to prawdopodobne, bo wspominał kiedyś o rzeczoznawcach od egzotycznej sztuki. Wyjeżdżał na spotkanie z takim ekspertem. Nie wie dokąd. Ale dosyć często podróżował, co prawda tylko po Polsce, dalej nie – bo choć pasjonował się różnymi słynnymi podróżnikami, sam bał się obcych krajów. Zabawny paradoks, podsumowała z odcieniem czułości. Emil pomyślał, że podkochiwała się skrycie w koledze, a także, że mają oto wyjaśnienie licznych wyjazdów Milczanowskiego: przypuszczalnie jeździł z figurką do znawców tematu. Zapewne trudno będzie ich odszukać, bo nie podejrzewał, by byli to działający oficjalnie specjaliści. Jednak policja mogłaby spróbować.

Sprawdził jeszcze raz, czy o czymś nie zapomniał, po czym wysłał maila. Zebra przeczyta go rano. Akurat gdy kliknął w „wyślij”, usłyszał w telefonie sygnał otrzymanego esemesa. Sprawdził:

Marta zgodziła się nam pomóc. Znaczy, tobie pomóc. Jutro o 17 masz umówione spotkanie. Nie spóźnij się.

Zebra

Jasny szlag go trafił. Od razu oddzwonił, lecz po drugiej stronie włączyła się jedynie poczta głosowa.

Do Zebry dodzwonił się dopiero rano.

– Ty mi nie zawracaj dupy teraz, nie mam czasu, prowadzę przesłuchania – usłyszał na wstępie. – Odezwij się po spotkaniu...

– Nawet nie myśl, że pojedę do Marty! – wybuchnął dziennikarz. – Umawiasz mnie za moimi plecami, choć wiesz doskonale, jak wygląda sytuacja, wiesz, że nie utrzymujemy kontaktów, co ty sobie, do cholery,

wyobrażałeś?! W swatkę się zabawiasz?!

– Uspokój się. Egocentryk cholerny. Myślisz tylko o sobie, a ja muszę myśleć o śledztwie. Marta jest nam potrzebna, a wy oboje macie już od lat wypracowane schematy działania. Nie chcesz chyba, żebym znalazł kogoś, kto cię w tym zastąpi?

– Skurwysyn – rzucił Emil wściekle.

– Zresztą możesz ją olać – dodał komisarz mściwie. – Tyle że ona czeka. Ciekawe, co sobie pomyśli. Ale co ja się będę...

– Zamknij się już lepiej. Gnojek z ciebie, Zebra.

Policjant się roześmiał.

– Masz z nią tylko pracować – wyjaśnił pogodnie. – Nic więcej. Reszta to już nie mój zasrany interes. Przekonanie Marty kosztowało mnie sporo wysiłku, więc mi tego nie spartol. Aha, przy okazji, dzięki za maila. To istotne informacje. Spróbujemy znaleźć tych rzeczoznawców, może w billingach będą jakieś numery, tyle że jeszcze ich nie dostaliśmy. Trzeba czekać. I jeszcze jedno. Pojutrze ma być pogrzeb Milczanowskiego, możemy wreszcie wydać ciało rodzinie, ale...

– No właśnie, ta łacinniczka też pytała o pogrzeb – wtrącił Emil.

– Ale ktoś z policji powinien tam być. Padło na mnie. Przyjdiesz też?

– Przyjdę. Byle nie z samego rana.

– Na jedenastą. Wcześniej ma być nabożeństwo, ale tego już od ciebie nie wymagam. Spotkamy się na cmentarzu.

– Którym?

– Na Srebrzysku. Szczegóły jeszcze dogadamy. A teraz spadaj, muszę wracać do roboty. Owocnego spotkania, czekam na efekty! – zarechotał, a zaraz potem połączenie zostało przerwane.

Emil czuł się bardziej nawet oszołomiony niż zdenerwowany. Zanim usiadł do komputera, ogolił się i wyjął z plecaka czyste ubrania. Koszula, przyzwoity sweter zamiast znoszonej bluzy z polaru. Przyjrzał się sobie w lustrze: jako tako. Nic więcej nie uda się zrobić, gęba to gęba, rzecz wrodzona, nie nabyta. Wreszcie odpalił laptopa, na niczym jednak nie potrafił się skupić. Wpisał w wyszukiwarkę słowa kluczowe: dżungla, Amazonia, Ameryka Południowa, miasto, odkrywcy.

W różnych konfiguracjach. Wyskoczyło ponad 20 700 wyników, co

przyprawiło go o czarną rozpacz. Porady dla podróżników, recenzje jakiejś książki, oferty biur podróży, amatorskie blogi, reportaże... Nie miał w tej chwili do tego głowy. Zarejestrował tylko, że dość często i regularnie powtarza się hasło: Eldorado. Przypomniał sobie, że właśnie o nim wspominała nauczycielka, czyli coś jest na rzeczy. Warto zajrzeć. Wszedł w jeden z takich linków, ale guzik zrozumiał, może z powodu zamętu w głowie. Tekst wydał mu się mętny, jakby nieco nawiedzony. Drugi w kolejności był niemal jota w jotę identyczny. Zdecydował, że poczyta to sobie po powrocie: w nocy, na spokojnie. Wyłączył laptopa, dołał sobie kawy. Miał jeszcze dużo czasu do spotkania z Martą, ale już zaczął sobie wyobrażać wszelkie możliwe scenariusze. Miłe i niemiłe. Zerwał się z miejsca. Cholerny e-papieros! Gdzie on jest? Od dawna go nie używał. Trzeba go znaleźć, doładować baterię, kupić liquid. Przecież u Marty normalnego papierosa nie zapali (między innymi o to się wiecznie kłócili), a nie wyobrażał sobie tej wizyty tak... całkiem bez fajek. Na szczęście naprzeciwko jest Manhattan, tam na pewno znajdzie wszystko. Co jeszcze? Kwiaty? Może jakieś wino?... Puknij się, durniu – zreflektował się. To nie randka! Ale z pustymi łapami też nie bardzo wypada. Co by tu... Czekoladki? Ciasto? Ciastka? Ciastka. Tak chyba będzie dobrze.

Do redakcji weszła Marysia. Korzystając z tego, włożył kurtkę i mamrocząc coś pod nosem, poleciał do marketu...

* * *

Stali w korytarzu, oboje sztywni i spięci. Nawet Bolero zachowywał się nienaturalnie: obserwował Emila z daleka, a gdy ten wyciągnął do niego rękę, odwrócił się i czmychnął do pokoju.

– Daj kurtkę – powiedziała Marta. – Powieszę...

– Nie, daj spokój, sam powieszę...

– Wejdz, proszę, znasz drogę. Pójdę po herbatę. A co to?...

– Pączki. Z różą, takie, jakie lubisz. – Emil powiesił swoją kurtkę na wieszaku i niepewnie skierował się w stronę pokoju, skąd ze swojego ulubionego miejsca na parapecie czujnie obserwował go Bolero.

– Aha, no to super. Dzięki. Przydadzą się. Ale może ty wolisz kawę? – zawahała się Marta, przyjmując od gościa torbę z ciastkami.

– Nie, nie – zaproponował. – U ciebie herbata jest najlepsza na świecie. Kawę piję całymi dniami.

– Dalej tę swoją rozpuszczalną lurę? – dodała z nieco sztucznym luzem.

– Tak – zaśmiał się kurtuazyjnie.

Wszedł do pokoju. Niemal słyszał, jak w przyspieszonym rytmie uderza jego serce. Szalało tak już od chwili wyjazdu z redakcji. Rozłożone na parapecie rude kocisko wbiło w niego wzrok. Nie było w nim przyjaźni, raczej coś nieodgadnionego. Zrobiło mu się przykro: czyżby kot go już nie poznawał? Przystanął w progu, by się rozejrzeć. Nic tu się nie zmieniło, odkąd się wyprowadził. Te same obrazy na ścianach, znajome sterty książek, czasopism i papierów na każdym kawałku wolnej przestrzeni. Miał wrażenie, jakby cofnął się czas, choć wiedział jednocześnie, że to niemożliwe: nie odpychał od siebie bolesnej prawdy. Przeciwnie, w tym miejscu tym bardziej do niego docierała. Odczuł jeszcze większą przykrość: do niedawna był to przecież i jego dom. Przez te wszystkie lata przywykł do tej myśli, bo pokochał nie tylko Martę, ale także wszystko, co się z nią wiązało. To przecież tutaj toczyło się ich wspólne życie. Jak to możliwe, że teraz rozmawiają ze sobą jak całkiem obcy sobie ludzie?...

Usiadł na wersalce, przez cały czas obserwowany przez kota. Miał ochotę podejść do niego, wtulić twarz w miękkie futro, jak zawsze robił, dawniej, usłyszeć wibrujące mruczenie. Nie odważył się. Wziął do ręki jakąś książkę, starą i wytartą, leżącą obok na małym stoliku. Zerknął na tytuł: *Śladami Inków*. Odłożył ją, słysząc z korytarza kroki Marty. Po chwili weszła z tacą. Starannie rozstawiła na stoliku dzbanek, filiżanki, talerzyki, cukiernicę, talerz z pączkami. Przyglądał jej się ukradkiem: nie wyglądało, by jakoś specjalnie przygotowywała się do jego wizyty. Miała na sobie spodnie i luźną koszulę, była bez makijażu, gęste włosy spięła na karku. Przypomniawszy sobie, że dokładnie taką samą fryzurę nosiła, gdy się poznali. Zauważył, że schudła, twarz miała bladą, ale może to dlatego, że jesień tego roku nie rozpieszczała pogodą. Jedli i pili w milczeniu, tylko od czasu do czasu rzucając jakieś zdawkowe uwagi

w stylu: „Co u ciebie?”, „A co w muzeum?”, „Bolero nieźle się trzyma”.

– No dobra – rzuciła zniecierpliwiona, gdy cisza zrobiła się nazbyt kłopotliwa, ścierając serwetką resztki lukru z ust. Odwrócił wzrok, by zbyt intensywnie nie wpatrywać się w jej wargi. – Nie udawajmy, że to kurtuazyjne spotkanie. Jesteśmy tu, by razem pracować. Więc może na wstępie wyjaśnijmy sobie najważniejsze rzeczy?

– Co powiedział ci Zebra? – zapytał.

– Tylko ogólnie wprowadził mnie w temat, mówił, że od ciebie dowiem się więcej. Po prostu opowiedz mi wszystko po kolei.

Gdy już zrelacjonował wydarzenia, zamyśliła się.

– Wiesz, to naprawdę ciekawe. Choć tych danych mamy niewiele. Ale musi się za tym coś kryć, skoro ktoś tego faceta jednak załatwił. Gdyby nie ten fakt, nie uwierzyłabym w ani jedno jego słowo.

– Tak samo uważam – zgodził się. – Dlatego na początku wziąłem go za fantastę. Może gdybym od razu potraktował człowieka serio...

Marta przerwała mu, kręcąc głową:

– Hola, hola, mój drogi! Tylko bez obwiniania się! Każdy by go wziął za mitomana. Nie traćmy czasu. Poszperam w źródłach, zresztą już zaczęłam i nawet... nawet chyba mam pewien pomysł. Ale o tym jeszcze za wcześnie gadać. Ty się zajmij tym, co robiłeś do tej pory, czyli rozmowami z ludźmi, może do czegoś dojdiesz. Ktoś przecież musiał się koło tego nauczyciela od dłuższego czasu kręcić... Fajnie by było, gdyby policja dotarła do rzeczoznawców, z pomocy których korzystał. Niepokoi mnie szczególnie ta figurka. To jest trop, jej należy się łąpać.

– Ale nawet nie wiemy, co to za figurka. Same mętne opisy, zero konkretów. Cholernie to wszystko niejasne.

– Zgadza się. Jednak wygląda na to, że figurka i dokumenty są kluczowe. To z ich powodu zginął.

– No zgadza się. Prawdopodobnie ktoś stuknął go i ukradł te rzeczy. I zapewne po to, żeby zrobić z nich użytek.

Marta Zabłocka wstała i przespacerowała się wokół pokoju. Zawsze tak robiła, kiedy intensywnie myślała, szczególnie na tematy, które ją pasjonowały. Temperament nie pozwalał jej siedzieć zbyt długo w jednym miejscu.

– Jest w tym jednak pewien szkopuł – oznajmiła, zatrzymując się

w końcu naprzeciw niego. – Coś tu się nie zgadza. W tym rozumowaniu. Wspomniałeś, że facet uprzedzał, że ten posążek za jakiś czas wypłynie, gdzieś na jakiejś aukcji...

– Fakt. Mówił nawet, o ile sobie dobrze przypominam, że nie tutaj, tylko za granicą. – Emil czujnie nadstawił ucha.

– No właśnie. Z tego by wynikało, że figurki już wtedy nie miał. Bo przecież chyba nie był jasnowidzem.

– Masz rację...

– Pytanie tylko, czy mu ją skradziono już wcześniej. A na to wygląda.

– Czyli, pomyślmy. Czekaj... Figurkę skradziono najpierw. Facet domyślał się, że będą ją chcieli upłynnić. Potem, z jakiegoś powodu, mordują go i kradną dokumenty. Widocznie nie chodziło tylko o motyw rabunkowy. Sama figurka, choćby nie wiem jak cenna, nie była celem mordercy.

Pokiwała głową:

– Otóż to. I jeszcze jedno. Udało im się? Mają te dokumenty? Bo jeśli tak, to trzeba na gwałt przeciwdziałać skutkom, czyli skupić się na tym, co by to mogło być w tych papierach, żeby ewentualnie uniemożliwić złodziejom dalsze działania. Bo rozumiem, że za ich pomocą chcą coś osiągnąć, nie wnikajmy na razie co. Natomiast, jeśli tych dokumentów nie udało im się zdobyć, a są zdeterminowani...

– To ktoś jeszcze może zginąć – dopowiedział.

– Właśnie. – Umilkła.

Zrobiło się późno, Emil niechętnie podniósł się do wyjścia. Przez moment zapomniał o przepaści, która ich dzieliła. Przez moment było jak dawniej. Nawet Bolero spokojnie zasnął, posapując i strzygąc przez sen wąsami. Jak dawniej. Rzeczywistość była jednak zupełnie inna.

– Będę się zbierał – oznajmił krótko. – Więc jak się umawiamy?

– Rób swoje, przyciśnij tę córkę. – Mówiąc to, odwróciła wzrok. – Nie wierzę, żeby nic nie wiedziała, w końcu żyła w tym samym domu przez dwadzieścia kilka lat. No i tego sąsiada. A ja poszperam w historii.

– Sprawdziałem w necie, ale tam są same ogólniki. – Zniechęcony, z ochotą odstąpił jej to pole.

– Nie martw się, ja się tym zajmę. Dam ci znać, jak na coś wpadnę.

Mam nadzieję, że nie zmieniłeś adresu mailowego i numeru telefonu?

– Są te same.

– Okej. Skontaktuję się z tobą – uśmiechnęła się. – Niedługo, mam nadzieję. A... gdzie teraz mieszkasz?

– W... nieważne. W pewnej kanciapie, nie ma się czym chwalić. – Tym razem to on odwrócił wzrok.

– Jak uważasz. – Wzruszyła ramionami. – Więc do usłyszenia.

Podszedł do parapetu, by pogłaskać Bolera. Tym razem kocur pozwolił mu na to, choć nie poruszył się, a nawet wyraźnie zeszywniał pod jego dotykiem. Idąc do samochodu, widział w oknie jego nieruchome, utkwione w sobie, pełne wyrzutu spojrzenie...

* * *

Miał ochotę się upić. Urznąć do nieprzytomności, aż film by się urwał, zasnąć, zapomnieć, nie myśleć. Przez chwilę kusiła go ta możliwość. O tej porze w redakcji będzie już sam, może robić, co zechce. Co najwyżej obrzygałby kanciapę, ale to się da posprzątać, i tak nikt tam już prócz niego nie wchodzi.

Zreflektował się jednak. Dziwne, ale w jego umyśle pojawił się obraz siebie samego widziany oczami Marty. Jedynej kobiety na świecie, na której opinii mu zależało, nawet jeśli w tym momencie bardziej ją nienawidził niż kochał. Ona się nic nie zmieniła: wciąż piękna, silna, inteligentna, opanowana. Zawsze tak samo fascynująca, chyba żadne zewnętrzne okoliczności nie były w stanie jej pokonać. Tym razem w jego głowie – niczym na ekranie – wyświetlił się jej wizerunek, jak żywy, zaraz obok własnego: pijanego, zarzyganego, słabego flaka. Jej spojrzenie pełne wzgardy, której tak naprawdę nigdy dotąd mu jeszcze nie okazała. Ale on ją czuł.

I Bolero, którego zawiódł. Nikomu nie wolno bezkarnie zawieść zaufania kota.

Nie, nie robi z siebie szmaty. Nie po raz kolejny. Nigdy więcej. Może zdechnąć, proszę bardzo, w każdej chwili – ale z godnością. A najlepiej będzie od razu zabrać się do pracy, przemknęło mu przez

myśl, gdy parkował na tyłach biura. Bo tylko wtedy, kiedy działał, jeszcze czuł się człowiekiem.

Zanim wysiadł, wygrzebał z paczki ostatniego papierosa i z ulgą zaciągnął się wonnym dymem, odpędzając złe myśli. Skupił się wyłącznie na tym, co należy zrobić jutro.

* * *

Marta bezsilnie opadła na fotel. Zaciskała powieki, by powstrzymać głupie łzy, te jednak tym razem nie dały za wygraną i popłynęły – po raz pierwszy od lat. Zawsze była dumna z siebie, że nie ryczy z byle powodu, że panuje nad sobą, nie pozwalając emocjom zawładnąć swym umysłem. No to teraz masz, pomyślała szyderczo i mściwie. Nie mogła znieść pełnego wyrzutu spojrzenia Bolera. Zawiodła go. Zawiedli go oboje. Zafundowali mu na stare lata cichy dramat. Zwierzak się przecież nie poskarży, nie pójdzie do sądu, nie ucieknie z domu. Będzie cierpiał w milczeniu. Kurwa mać. Zwykle starała się nie przeklinać, ale w tej chwili jedynie w ten sposób mogła zmienić beznadziejny smutek w konstruktywną złość, powstrzymać łzy, idiotycznie i upokarzająco ciekące po twarzy, czerwonej, napuchniętej, rozmazanej. Zniweczyły cały wysiłek, jaki włożyła w swój wizerunek przed spotkaniem, by wyglądać dobrze, a zarazem naturalnie. Nie przypuszczała, że widok tego faceta aż tak nią wstrząśnie. Zdawała sobie sprawę, że nie będzie to łatwe, ale było jeszcze trudniejsze niż mogła się spodziewać. Gdyby w tym momencie dorwała cholernego Zebkę, chyba by go zabiła. Biedny Marek – zaśmiała się cicho – przecież chciał dobrze. Bo była pewna, że nie chodziło mu tylko o śledztwo, doskonale poradziłiby sobie bez niej. A jeśli nawet nie, to i tak by pomogła, nie musiała koniecznie spotykać się w tym celu z Emilem. Komisarz ukartował to, kto wie, czy nie do spółki ze swoją ukochaną Marysią. Oboje zamartwiali się ich poronionym związkiem.

Szczęściarze. Im to się udało...

Wstała, przeszła do kuchni, zapaliła papierosa. Prawdziwego, nie elektronicznego. Cholera, od odrobiny dymu od razu nie umrze. A jeśli

nawet, co za strata. Każdy w końcu umrze. Emil wyglądał kiepsko. Błady, wychudzony, oczy podkrążone, jakby od dawna nie spał. Taki nie budził w niej agresji. Co budził? Czyżby dawno zapomnianą czułość? Otrząsnęła się: o tym wołała nie myśleć.

Wiedziała tylko, że przez mniej więcej dwie godziny w tym domu na powrót zagościło życie. A teraz znów siedziała sama w pustym i martwym domu, przypominającym grobowiec. Bo nawet kot nie chciał już być dla niej towarzyszem...

Westchnęła, wstała, włączyła komputer. Nie myśleć, nie rozczulać się nad sobą – upomniała samą siebie. Zabierać się do roboty, i tyle!

Część II

Dwa dni później

Pogrzeb Zygmunta Milczanowskiego nie był specjalnie okazały, raczej skromny, lecz pomimo wszystko uroczysty. Emil dołączył do Zebry, gdy ten wraz z grupką innych osób opuścił kaplicę po nabożeństwie żałobnym. Właśnie formułował się kondukt. Siąpiło, wiał przejmujący wiatr. Jak chyba zawsze na pogrzebach – pomyślał dziennikarz. Ludzi nie przyszło zbyt wielu: oboje Wyszkowscy, ona w wysmakowanej czerni, która i tak nie sprawiała wrażenia żałobnej, on w granatowym płaszczu, Modry w ciemnoszarej jesionce, dwie starsze kobiety w kapeluszach, zapewne sąsiadki – te przynajmniej ubrały się odpowiednio do okoliczności – ponadto grupa trzymających się razem

kilku osób w różnym wieku, przypuszczalnie, jak domyślił się Emil, nauczycieli ze szkoły lub szkół, w których pracował zmarły. Upewnił się, gdy rozpoznał wśród nich łacinniczkę. Ona także go poznała, gdyż na jego niepewny ukłon odpowiedziała smutnym uśmiechem. Ksiądz był młody i wyraźnie bardzo się spieszył, pewnie niedługo miał kolejny pogrzeb. Trumna została podwieszona karawanem, a następnie poniesiona dalej na ramionach pracowników firmy pogrzebowej, ze sto metrów w bok od głównej alei. Zmarznięta grupka ludzi, milcząc, podążyła za nią. Tam, pod drzewami, przynajmniej mniej odczuwało się ostre podmuchy wiatru, trzeba było za to piąć się pod górkę, mijając opustoszałe tego dnia nagrobki i grobowce, niektóre ozdobione kamiennymi figurami, które od zawsze fascynowały Emila. Nie przepadał za tymi klimatami, a jednak oddziaływały na niego. Bezwiednie się im poddawał. Żałobne pieśni dodawały niewielkiemu orszakowi dramatyzmu, dźwięk dzwonów i dzwonek przebijał się poprzez szum wiatru w koronach drzew. Milcząca procesja z wieńcami kwiatów posuwała się z wolna, tylko kapłan zdawał się nieco przyspieszać ślimacze tempo ciągnącego za nim pochodu. Rozpryskujące się błoto zostawiało ślady na butach i nogawkach, prawie bezlistne konary trzeszczały złowroźnie nad ich głowami. Grabarze czekali już na miejscu, przy wykopanym dole, na widok którego Emil się wzdrygnął. Obaj z Zebrą stanęli z tyłu, między drzewami, by nie kłuć swą obecnością oczu żałobników, nie peszyć rodziny, a zarazem dyskretnie obserwować otoczenie. Nic się jednak nie wydarzyło, nikt obcy ani podejrzany nie kręcił się w pobliżu. Żądło wypatrywał bezdomnego, ale z całą pewnością go tu nie było. Jeśli prawdziwa jest teoria, że morderca zawsze uczestniczy w pogrzebie swojej ofiary, to albo się w tym przypadku nie sprawdziła, albo... zabójca był wśród obecnych tu żałobników.

Sama uroczystość nie trwała zbyt długo. Po odprawieniu stosownych obrzędów głos zabrał jeden z nauczycieli, jak się okazało – wicedyrektor liceum, z którego Milczanowski odszedł nie tak dawno temu na emeryturę. Po kilku zdaniach, które miały brzmieć ciepło, lecz wybrzmiały sztywno, trumnę opuszczono i zasypano piachem i kwiatami. Koniec. Amen. Właśnie skończyła się definitywnie czyjaś

przygoda na tym świecie. Starsze panie w czerni pochlipywały, Dominika Wyszowska w ciemnych okularach – założonych pomimo aury – trzymała się nieźle, przynajmniej na pozór zachowując stoicki spokój, podpierana z czułością przez pełnego powagi męża. Na najbardziej załamanego w tym towarzystwie wyglądał Modry. Rzuciło się w oczy, że boleśnie przeżywa ostatnią drogę swego przyjaciela. Dziennikarz zastanawiał się, czy nie była to z jego strony tylko gra, choć jego żal wydawał się szczery. Nauczył się jednak nie dowierzać wrażeniom, a intuicja podpowiadała mu... właściwie sam nie wiedział, co mu podpowiadała. Było coś, co go niepokoiło, jednak nie potrafił tego sprecyzować, ulotne odczucie ulatniało się natychmiast, gdy usiłował skupić na nim uwagę.

Mężczyźni w milczeniu uścisnęli sobie dłonie, po czym, gdy tylko złożyli na świeżo usypanym grobie swoje skromne wiązanki, ustawili się na końcu żałobnego ogonka, by złożyć kondolencje rodzinie zmarłego. Młodzi ludzie przyjmowali je z należytą powagą. Gdy czekał na swoją kolej, rzucił mu się w oczy duży wieniec, przyozdobiony gustownie wielkimi białymi kwiatami o dziwnych kształtach. Wyróżniał się zdecydowanie w gąszczu innych ozdób. Nie zauważył wcześniej, kto go niósł, nie znał nazwy kwiatów, ale były one bardzo piękne: przykuwały wzrok, wręcz hipnotyzowały. Marta by pewnie wiedziała, co to takiego – pomyślał. Znała się na kwiatach niemal równie dobrze jak na obrazach. Znała nawet ich symbolikę, przypomniał sobie z nostalgią. Miało to zresztą wiele wspólnego ze sztuką.

Gdy wreszcie dotarli do celu, wypowiedzieli oszczędne formułki, które Dominika Wyszowska skwitowała skinieniem głowy, a jej mążonek dodatkowo uśmiechnął się blado. Odwrócili się już, by odejść, gdy dziewczyna ich zawołała:

– Może panowie przysliby na... coś w rodzaju stypy? – zaproponowała przyciszonym głosem. – Takie kameralne spotkanie w pubie, nic wielkiego. Skoro panowie już tu są...

Dziennikarz zawahał się przez moment, komisarz jednak grzecznie odmówił i podziękował. Pożegnali się i – ponownie w milczeniu – skierowali pospiesznie w skarpy, ku gwarowi miasta, ku życiu.

Zebra zaproponował, by pojechali we dwóch do jakiejś knajpy pogadać na spokojnie. Akurat była okazja, a do tego obaj byli przemoknięci, porządnie zmarznięci i głodni. Emil uznał, że to dobry pomysł. Będą mogli podzielić się wrażeniami, a także zebranymi w ostatnich dniach informacjami, przedyskutować wszystko, na co zwykle brakowało im czasu. Okazało się jednak, że niewiele znają w mieście nowych lokali, tymczasem stare przestały istnieć. Najwyraźniej wypadli z obiegu. Ostatecznie wylądowali w jakiejś kawiarence w Galerii Bałtyckiej. Zamówili podwójne espresso i ciastka.

– I co sądzisz? – pierwszy odezwał się Zebra. – Córka nie sprawiała wrażenia zrozpaczonej, nie uważasz?

Emil zamieszał swoją kawę i odparł ostrożnie:

– Nie wiem, trudno powiedzieć. Ludzie różnie reagują, nie po każdym widać, co przeżywa. Ona zresztą nigdy nie twierdziła, że czuje się zrozpaczona. Nie ukrywała, że nie byli z ojcem zbyt blisko.

– No wiesz... ale zawsze to ojciec. Najbliższa rodzina w końcu. Nawet jeśli się żarli, to śmierć w końcu zmienia wszystko. – Komisarz wzruszył ramionami. – Przynajmniej mnie się tak wydaje. Do tego ta stypa – prychnął. – W pubie!

Dziennikarz uśmiechnął się pod nosem. Zawsze bawił go swoisty konserwatyzm przyjaciela w niektórych kwestiach obyczajowych.

– Tu bym akurat nie demonizował – orzekł, rozglądając się za popielniczką. Nie było popielniczek. Cholerny zakaz palenia! To po cholerę jeszcze w tym chorym świecie istnieją knajpy? Żeby tylko żłopać w nich piwo i zaszrane drinki? Czyli wódkę, nie czarujmy się, wódę z soczkiem. Chlać wolno, a zapalić nie wolno? Co za podwójna moralność! Nie do końca przemawiały też do niego argumenty „biernych palaczy”. A spaliny oraz inne wyziewy cywilizacji, które non stop bez protestów wdychają, nikomu nie szkodzą? Nie trują? To tak, jakby ktoś żyjący w oceanie uskarżał się, że przeszkadza mu kropla. Ech.

Zirytowany sięgnął po swoją bajaderkę. – Nie demonizowałbym – wrócił do przerwanej myśli. – Jakie to ma znaczenie, pub czy restauracja? To tylko nazwa. Teraz więcej jest pubów niż zwykłych knajp. Taka moda. Nowe czasy. Wszystko się zmienia.

Ugryzł bajaderkę, spodziewając się, że będzie do dupy. W końcu co to za kawiarnia, w takim miejscu. A jednak okazała się całkiem smaczna.

– Gadanie! – Zebra machnął ręką. – Po prostu woleli stawiać gościom piwo i orzeszki zamiast porządnego obiadu.

– Całkiem możliwe, ale co nas to obchodzi. Nie są milionerami. To młodzi ludzie. Czy możemy już zakończyć te ploty? Powiedz lepiej, czy coś ci się rzuciło w oczy na tym pogrzebie?

– Przecież powiedziałem – odparował Zebra.

– A idź ty... A Modry? Myślisz, że jego żałoba była szczerą?

Policjant wgryzł się w drugiego eklera.

– Dla mnie oni wszyscy nie są szczerzy – odpowiedział z pełnymi ustami. – Takie środowisko. Ludzie zresztą z reguły nie są szczerzy. Dopóki nie muszą.

– Policyjne gadanie...

Marek Zebra odpowiedział mu tylko porozumiewawczym uśmiechem. Zawsze uważał, że Żądło się zwyczajnie kryguje. W końcu glina jest się do końca życia. Nawet jak już się nim nie jest.

– Opowiedz lepiej, jak było u Marty – zaproponował niewinnie. Wyjął z kieszeni swoją fajkę, której używał na specjalne okazje, i także rozejrzał się dyskretnie, skrzywił się, po czym z powrotem ją schował.

– Było jak było. – Emil wzruszył ramionami. – Co ci będę gadać. Jakoś poszło. Ale wiesz co, Marta zauważyła coś ciekawego, co nam chyba umknęło...

– No?

– Milczanowski przed śmiercią, kiedy z nim rozmawiałem, pamiętasz... na samym początku, powiedział coś takiego, że figurka wypłynie na jakiejś aukcji, był o tym przekonany. To by znaczyło, że już jej wtedy nie miał, prawdopodobnie została skradziona wcześniej. Potem Milczanowskiego ktoś załatwił. Czyli nie chodziło o posążek. Prosty motyw rabunkowy odpada.

Komisarz zamyślił się, dopijając kawę. Gestem przywołał kelnera i zamówił dwie kolejne.

– Nieduże te filiżanki – zauważył – a jeszcze trochę tu posiedzimy. W sumie masz rację. To znaczy, Marta ma. Nie chodziło raczej

o figurkę. A przynajmniej nie tylko. Coś musiało być w tych papierach. Ale może... czekaj, czekaj. Zaraz. Może figurka była falsyfikatem, w dokumentach Milczanowski miał na to dowód, złodziej nie chciał, żeby ten dowód wyszedł na jaw, bo już wystawił obiekt na aukcję i miał zamiar go dobrze sprzedać, więc stuknął Milczanowskiego i rąbnął papiery? Co ty na to?

– Mogło tak być. Nawet podobno eksperci uważali, że ta figurka to kit, mówiła o tym Wyszowska i chyba Modry. Trzeba by jakoś monitorować te aukcje, choćby wybiórczo, na ile się da. Różne, nie tylko internetowe. Być może chodzi o jakąś poważną firmę aukcyjną. Zwróć uwagę, że tak naprawdę ta figurka nie ma prawowitego właściciela, a przynajmniej trudno dojść, kto nim jest. W sensie formalnym i prawnym ona w ogóle nie istnieje. Milczanowscy znaleźli ją zamurowaną w piwnicy. Do kogo wcześniej należała? Do esesmana?

– Szkopy raczej kradli dzieła sztuki – powiedział Zebra.

– No właśnie. Dupa zimna, każdy może podać fałszywe dane i sprzedać ten posążek bez większego trudu. To taki świątek. Macie kogoś, kto mógłby rozeznac się w tych domach aukcyjnych?

– Masz na myśli Sotheby's, Christie's? O to chodzi? Mierzymy aż tak wysoko?

– Chodzi o różne. W końcu mamy morderstwo, a ta statuetka ma z nim jakiś związek. Trzeba mieć na to oko.

– Ale czego tam szukać?! Nie mamy nawet pojęcia, jak to wygląda!

– Dziwnej, tajemniczej, raczej niedużej figurki o niejasnym pochodzeniu. Cholera wie. – Dziennikarz jeszcze raz wzruszył ramionami. – Wszelkich nietypowych figurek, szczególnie tych odlanych z metalu, też diabli wiedzą jakiego. Może tymczasem Marta na coś wpadnie.

– Okej, zajmiemy się tym. Coś jeszcze?

Kelner przyniósł nowe filiżanki, więc zapachniało świeżą kawą. Emil najpierw skosztował odrobinę, zanim odpowiedział:

– Marta ma zadzwonić, jeśli tylko trafi na coś ciekawego. Ja zamierzam trochę przycisnąć Modrego, bo też mi się zdaje, że ten facet coś ukrywa. Dużo gada, ale tak, by powiedzieć jak najmniej. Wyraźnie

kręci i jest zbyt czujny. Może kogoś kryje? W każdym razie... nie do końca mu ufam.

– Nikomu nie ufaj. Oni wszyscy coś ukrywają, mówię ci.

– Całkiem możliwe – zgodził się Emil i zmienił temat: – A wy? Macie coś nowego?

Komisarz uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Mamy – odparł. – Zidentyfikowaliśmy tego bezdomnego. To młody chłopak, dwadzieścia jeden lat. Bez rodziny, wychowywał się w domach dziecka, potem dostał na starcie pracę w hurtowni sprzętu AGD i pokój w hotelu pracowniczym, ale szybko z roboty wyleciał i od tego czasu żyje na ulicy. Ćpun. Do tego pije, pewnie z tego, co wyżebrze. Bo podobno nie kradnie. Nazywa się Adam Delon.

– Filmowe nazwisko!

– No, powiedzmy – Zebra parsknął. – Chłopaczek nie ma zbyt wielu przyjaciół, choć wśród innych bezdomnych jest nawet dość lubiany. O ile można tak powiedzieć. W każdym razie nie nagrabił sobie. Uchodzi za nieszkodliwego, generalnie nie przeszkadza, nie naraża się, nie pcha się w cudze interesy, cokolwiek miałyby to znaczyć, chadza własnymi drogami. Raczej taki... wyalienowany. Nikomu się nie zwierza, więc nikt nic więcej o nim nie wie. Od pewnego czasu go nie widzieli. Zniknął. Oczywiście kloszardzi uważają, że to jego sprawa, więc go nie szukali. Jest – dobrze, nie ma – drugie dobrze. Normalka. Ale jeden z nich powiedział naszemu wywiadowcy, że przed zniknięciem młody jakby czegoś się bał. Unikał obcych. Dlatego podejrzewali, że być może komuś podpadł i dlatego zmienił rewir, paląc za sobą mosty.

– To już coś. Pamiętają kiedy zniknął?

– Nie za bardzo. Ci ludzie nie korzystają z kalendarza. Każdy miał w tej kwestii inne zdanie. Na pewno ulotnił się wiele dni temu. Więcej niż tydzień, mniej niż miesiąc.

– To by się nawet zgadzało. – Emil podrapał się po brodzie. Swędziała go, jak zawsze po zgoleniu. Lepiej się czuł ze swoim zarostem.

– No. Będziemy go namierzać. Możliwe, że opuścił miasto, ale może się tylko ukrywa. Najwyraźniej lubił piwnice, klatki schodowe.

Znajdzie się. W ostateczności damy zdjęcie i rysopis do mediów. Ale jeszcze nie teraz. Wygląda na to, że to rzeczywiście nie przypadek – dokończył policjant.

– Podejrzewasz, że to on jest zabójcą?

– Nie, raczej nie. Z tego, czego się o nim dowiedzieliśmy, to typek pozbawiony agresji, raczej lękliwy. Ale może coś wie. Poza tym... z ludźmi nigdy nie wiadomo. Zabić można z różnych powodów, nawet przypadkiem.

– Zgadza się. – Żądło pokiwał głową. – Coś jeszcze masz dla mnie ciekawego?

Marek Zebra wertował menu. W końcu z wyraźnym samozadowoleniem podniósł głowę i ponownie przywołał kelnera.

– Jak już tu jestem, to zamówię sobie jeszcze lody – oznajmił. – Majka by mi nie pozwoliła, więc skorzystam z okazji, że nie widzi. Chcesz też?

– Lody? O tej porze roku?

– Na lody każda pora jest dobra. Stawiam, w końcu ja cię tu ściągnąłem. Okej, to o co pytałeś? Czy jeszcze coś mam ciekawego? No mam. Billingi już zostały sprawdzone. Jest kilka nieprzypisanych numerów, z których część może należeć do tych rzeczoznawców, wiesz, tych, z którymi być może kontaktował się Milczanowski. Sprawdzamy to. Jednego już zidentyfikowaliśmy z całą pewnością, bo jest stąd, dokładnie z Gdyni, ale teraz mieszka w Juracie. Widać się dorobił. Doskonale znany policji, bo od lat siedział po uszy w interesie. Taki śliski gnojek, ma swoje za uszami, choć oficjalnie niczego mu nie można zarzucić. Historyk sztuki, jak twoja Marta.

– Marta jest konserwatorem zabytków – sprostował Emil.

– Wszystko jedno. Tyle że ten to stary piernik, dobrze po siedemdziesiątce, już od dawna nie robi w biznesie. Marta go może nawet nie kojarzyć. Nazywa się Leon...

– Zawodowiec!

– Sobie tu nie kpij. Bo on na serio jest zawodowiec. Leon Dutkiewicz. Siedem razy habilitowany za PRL-u. Cwaniaczek. Pojedziesz do niego i wypytasz?

– Czemu ja?

– Bo jeśli jest w to zamieszany, to lepiej go na razie nie niepokoić. Ty jako prasa jesteś bezpieczniejszy. Badasz sprawę hipotetycznej figurki i przypadkiem trafiłeś na niego, znanego i uznanego znawcę od egzotycznych antyków. Staruch będzie z siebie dumny i wszystko wyśpiewa.

– Chyba że akurat nic nie wie.

– Pod jego numer Milczanowski dzwonił kilka razy. Wprawdzie już dawno, będzie ze dwa lata temu, ale byli w kontakcie. Wierzysz w takie przypadki?

– Dobra, daj namiary. Pojadę tam.

– Kiedy?

– Na dniach. Najpierw chcę przycisnąć Modrego i panienkę. To znaczy, naszą Dominiczkę Wyszowską. Dam ci znać. A co znaleźliście w komputerach Milczanowskiego? Może tam jest jakaś podpowiedź?

– A właśnie, zapomniałem. Komputer praktycznie był jeden. Drugi, stary, stacjonarny, służył mu chyba jako przechowalnia, miał tam tylko zarchiwizowane nieaktualne już dokumenty, rachunki, PIT-y i tak dalej. Natomiast z laptopa intensywnie korzystał. Ale nie łudź się, niewiele nam to daje. Natomiast potwierdza się to, o czym mówiła ci ta belferka, która się w nim durzyła. Ta od łaciny. Faktycznie, bardzo dużo buszował po Internecie, latał po stronach bibliotek na całym bożym świecie, ściągał i czytał online stare manuskrypty, bardzo dużo hiszpańskich, portugalskich i łacińskich właśnie, znaczy się pisanych po łacinie, dotyczących w szczególności historii konkwisty i cywilizacji prekolumbijskich. Patrz, jaki się zrobiłem mądry, naukowe terminy nawet zapamiętałem! – pochwalił się z nieskrywaną dumą policjant. – To samo w poczcie. Korespondował z różnymi redakcjami, zamawiał czasopisma i książki z księgarń wysyłkowych, polskich i zagranicznych. Ale to tylko suche maile, konkretów tam nie ma. Jeśli liczyłeś na jakieś notatki z jego badań, o których opowiadał ci Modry, albo na przykład na brudnopis planowanej książki Milczanowskiego, to nic z tych rzeczy. Widocznie zapisywał to wszystko nie w komputerze, tylko w brulionie. Może taki nawyk, a może...

– Ostrożność? – podchwycił dziennikarz.

– Kto wie – przytaknął komisarz. – Wszystkie te linki i adresy

wysłałem Marcie, może wyciągnie z tego jakieś wnioski. No i to by było na tyle... No dobra, gdzie te lody? – zdenerwował się Zebra. – Panie kelner!

Dziennikarz zdecydował się w końcu do niego dołączyć. Również zamówił sobie lody, choć trochę go już mdliło od słodyczy. Wolałby frytki, lecz to nie ten lokal. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Frytki kupi sobie gdzieś po drodze...

* * *

Emil odczekał dwa dni, a trzeciego około południa zatelefonował do Dominiki Wyszadowskiej, by zapytać, czy mógłby przejrzeć, ewentualnie wypożyczyć książki z biblioteki jej ojca – szczególnie te, które dotyczyły zainteresowań pana Zygmunta. Usłyszał na to, że ona sama nie miałaby nic przeciwko temu, jest jednak pewien problem, gdyż większość zbiorów bibliotecznych taty podarowała już „wujkowi” i teraz decyzja należy wyłącznie do niego. Oczywiście nie wszystkie – dodała – ale chyba właśnie te, o które chodzi Emilowi. Resztę, czyli klasykę, zamierza sprzedać do antykwarium, a kilka wybranych współczesnych powieści oraz zbiorów poetyckich pozostawi sobie na pamiątkę. Więc jeśli Emil zechce coś obejrzeć lub pożyczyć, musi się zwrócić bezpośrednio do sąsiada. Na koniec jeszcze raz podziękowała za obecność na pogrzebie i zakończyła rozmowę, tłumacząc się, że mąż właśnie wyjeżdża na kilka dni służbowo do Niemiec i musi mu pomóc w pakowaniu. Po rozłączeniu się reporter od razu zadzwonił do Modrego, który, słysząc prośbę, w pierwszej chwili lekko się jakby zawahał, ale w końcu zaprosił go do siebie do domu.

– Jednak muszę uprzedzić, że nie poświęcę panu zbyt wiele czasu, bo mam dziś jeszcze coś do załatwienia – wyjaśnił. – Przygotuję dla pana kilka książek, z których korzystał Zygmunt. Ale, oczywiście, do zwrotu...

– Panie Zenonie, ma się rozumieć! – zapewnił uradowany dziennikarz i dodał: – W takim razie będę u pana za godzinę. Do zobaczenia.

Gdy Żądło pojawił się na ulicy Do Studzienki, matematyk rzeczywiście już na niego czekał w progu swojego mieszkania. Emil od razu zorientował się, że całkowicie różniło się ono od mieszkania Milczanowskiego. Przede wszystkim było mniejsze, ponieważ – jak wytłumaczył gospodarz – zostało już dawno temu podzielone na dwa lokale. Różniło się także wystrojem: u historyka stare meble, dywany i obrazy, u Modrego ascetyczne wnętrza, skąpo wyposażone w nowoczesne, funkcjonalne meble, niemal pozbawione ozdób. Było tu czysto i bezosobowo. Pomalowane na biało ściany sprawiały, że wydawało się tu znacznie jaśniej niż w mieszkaniu sąsiada. Na biurku, obok włączonego komputera i opróżnionej filiżanki, piętrzył się niewielki stosik kilku książek i albumów.

– Proszę, oto parę pozycji dla pana – objaśnił Modry. – Mam nadzieję, że na początek wystarczy, bo naprawdę nie mam dziś zbyt wiele czasu na szukanie. Proszę wybaczyć, że nie podejmę pana kawą, ale...

– Nic nie szkodzi, i tak jestem panu bardzo wdzięczny! – Emil wziął do ręki pierwszą z brzegu książkę, oprawioną introligatorsko w wytarty granatowy papier imitujący marmur: *Śladami Inków* – przeczytał. Nazwisko autora nic mu nie mówiło, jednak tytuł wydawał się znajomy. Gdzieś już się zetknął z tą książką...

– Następnym razem będzie inaczej – zapewnił matematyk. – Dzisiaj naprawdę... – rzucił okiem na zegarek – muszę za chwilę uciekać, mam spotkanie. Cieszę się, że mogłem panu pomóc. I że ktoś jeszcze interesuje się tą sprawą! Ktoś taki jak pan. Chętnie bym z panem jeszcze na ten temat porozmawiał, bo... – zawahał się. – Ale to już może następnym razem, jeśli się pan zgodzi?

– Naturalnie – odparł dziennikarz, lekko zdziwiony.

Widać było, że mężczyzna naprawdę się spieszy. Wyłączył komputer, sprawdzał czas, nie usiadł nawet na chwilę, wyraźnie czekając, aż gość wreszcie sobie pójdzie. Żądło trochę żałował, gdyż sam chętnie zadałby mu jeszcze kilka pytań, rozumiał jednak, że nie wypada naciskać. Zapakował książki do siatki, którą przygotował dla niego gospodarz, i pożegnał się. Wrócił do samochodu, nie odjechał jednak. Zapalił papierosa, czekając, aż Modry pojawi się na ulicy.

Ciekaw był, dokąd ten tak się spieszył. Z kim był umówiony. Istniało – niewielkie wprawdzie, ale zawsze – prawdopodobieństwo, a przynajmniej możliwość, że przyjaciel Milczanowskiego doprowadzi go do innych osób, które mogły być zamieszane w sprawę. Z tego, co słyszał od Wyszkwowskiej, Modry nie miał zbyt wielu znajomych, był raczej odludkiem, tak jak jej ojciec. Blisko trzymał się tylko z ich rodziną, swojej nie miał. A jednak z kimś zamierzał się spotkać. Emil nie zamierzał przegapić tej szansy. Matematyk nigdy nie widział na oczy jego samochodu, więc nie rozpozna go w szeregu innych.

Wbrew wcześniejszym zapewnieniom Modrego o pośpiechu, czekał dość długo, co najmniej kwadrans. Zdążył wypalić całego papierosa i wysłuchać dwóch radiowych przebojów, gdy zauważył, że z bramy kamienicy wyszedł na ulicę Modry. Nie był ubrany odświętnie, raczej zwyczajnie, w szarą jesionkę oraz czapkę z daszkiem. Pod pachą trzymał niewielką skórzaną teczkę. Podszedł do zabłoconego samochodu – szarej skody starego typu – otworzył bagażnik i wrzucił teczkę do środka. Po chwili cofnął się, by wejść do sklepu ze słodyczami. Wyszedł z okazałą papierową torbą w ręku. Zawrócił do auta i ruszył. Emil odczekał kilkanaście sekund, po czym ruszył za nim...

Skoda Modrego skręciła w ulicę Matejki, skierowała się na Jańskową Dolinę, a następnie – pozostawiając za sobą miejski krajobraz starych kamienic, pałacyków i ogrodów – w stronę osiedla Morena. Żądło trzymał się przezornie kilka samochodów za Modrym, by przypadkiem nie zwrócić na siebie jego uwagi. Cudem jakimś, mimo popołudniowej pory, uniknęli częstych na tej trasie najgorszych korków i po niespełna dwudziestu minutach wjechali do Matemblewa, nie tak dawno jeszcze podmiejskiej wioski ze słynnym sanktuarium Matki Bożej Brzemiennej, zwyczajowo odwiedzanym w szczególności przez kobiety. Obecne Matemblewo to malownicze osiedle, będące częścią gdańskiej dzielnicy Brętowo, położone na terenie Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego, w sąsiedztwie rezerwatu przyrody Lasy w Dolinie Strzyży. Emil pamiętał jeszcze czasy, gdy jako dzieciaki przyjeżdżali tu z kolegami na rowerach w ramach wagarów, z nadzieją, że cel uświęci

środki, a grzeszna dezercja z lekcji zostanie im odpuszczona niejako z automatu. Być może tak właśnie w istocie było, ponieważ nie przypominał sobie jakoś poważniejszych konsekwencji, a szkołę chyba wszystkim wagarowiczom udało się ostatecznie skończyć. Od tamtej pory bardzo się tutaj zmieniło, niemal nie do poznania. Nie miał jednak czasu na wspominki, przede wszystkim musiał się skupić na śledzonym obiekcie, by przez nieuwagę przypadkiem nie stracić go z oczu. Znow zaczęło padać, widoczność była mocno ograniczona. Po chwili szara skoda zatrzymała się przed jakąś posesją otoczoną wysokim parkanem. Modry wysiadł i szybkim krokiem, pewnie by za bardzo nie zmoknąć, podszedł do bramy. Nacisnął przycisk domofonu, brama otworzyła się, wrócił do auta, wjechał. Brama zamknęła się automatycznie. Dziennikarz odczekał dwie minuty, po czym również wysiadł z wozu. Podszedł do ogrodzenia. Posesja wyglądała na prywatną, jednak przy bramie wisiała tablica:

DOM SENIORA

WILLA POD MODRZEWIEM

– odczytał.

A więc to tak. Dziwne. Był przekonany, że Modry nie posiada rodziny. Zerknął w głąb porośniętego nagimi drzewami ogrodu. Poprzedniej nocy szalejący nadmorski wiatr zerwał ostatnie liście, które ścieliły się teraz – pożółkłe, zbrązowiałe, mokre i zgniłe – na trawniku, a także wzdłuż krętej brukowanej alei, prowadzącej do piętrowej willi z tarasem i podjazdem widocznym u jej końca. Oprócz lip i klonów wzdłuż ogrodzenia rosły także cisy oraz zrudziałe o tej porze roku, wysmukłe modrzewie. Stąd zapewne wzięła się nazwa ośrodka. Dom był dość duży, zadbany i elegancki, pomalowany w tonacji koralowego różu. Pomyślał sobie, że może nie jest to pałac ani jakiś szczególnie luksusowy ośrodek, jednak utrzymanie tutaj kogoś bliskiego i tak musi służyć kosztować. Z pewnością nie był to społeczny dom opieki.

Wrócił do samochodu, wyjął komórkę i zadzwonił do Zebry.

– Hej, czy Modry ma jakąś rodzinę? Bo wydawało mi się, że jest samotny? – zapytał bez wstępów.

– Ja również serdecznie cię witam – usłyszał w odpowiedzi. – Modry ma tylko starego ojca, po dziewięćdziesiątce, chorego na demencję. A może na Alzheimera, sam dokładnie nie wiem. Zdaje się zresztą, że to na jedno wychodzi. Od kilku lat przebywa w jakimś ośrodku. A co?

– Nie, nic. Myślałem, że on nie ma żadnej rodziny. Tak chyba mówił, ale nieważne. Chyba właśnie stoję pod tym ośrodkiem. To całkiem elegancki prywatny dom opieki dla seniorów. Musi słono kosztować.

– W utrzymaniu staruszka pomagał Modremu Milczanowski. Tyle wiem. Śledzisz go? To znaczy, Modrego?

– No, tak jakby. Przypadkiem się złożyło. Dobra, stary, wszystko jasne. Dzięki. Spierniczam stąd, zanim mnie namierzy. Nara!

Z rozbawieniem, a może nawet z lekkim zakłopotaniem uświadomił sobie, że użył zwrotu zapożyczonego od swego syna, Bartka. Cóż, uczymy się przez całe życie – stwierdził, wzruszając ramionami. Na szczęście komisarz go nie wyśmiał. Nie zdążył, bo Emil od razu się rozłączył. Zapalił papierosa, obserwując bramę. Zamyślił się. Dlaczego Modry ukrywał ojca? Przecież to chyba, do cholery, żaden wstyd? Widać, że dba o niego, odwiedza, umieścił go w przyzwoitym domu opieki, a choroba w końcu nie wybiera. Dziwne. Naprawdę dziwne, choć równie dobrze może też nic nie znaczyć... Mimo padającego równo deszczu pstryknął kilka zdjęć. Raptem zauważył, że z willi wyszedł właśnie Zenon Modry. Poznał go z daleka, po szarej jesionce. Szary facet w szarej jesionce, w szarym samochodzie – uśmiechnął się pod nosem, włączając silnik, by odjechać kawałek dalej w dół uliczki. Z daleka widać było, że Modry obie ręce ma wolne, gdyż trzymał je w kieszeniach, zanim wsiadł do auta: teczka i torba ze słodyczami musiały zatem pozostać w ośrodku. Chyba że w ogóle nie zabrał ich z samochodu, ale to by było raczej mało logiczne: po coś je przecież ze sobą przywiózł. Torba ze słodyczami wydawała się Emilowi oczywista. Gdy ktoś wybiera się z wizytą do starego, chorego człowieka, zabiera ze sobą kwiaty, ciastka lub czekoladki. A co mogło być w teczce?...

Pierwotnie zamierzał wrócić prosto do domu – czyli do redakcji – coś go jednak podkusiło, by dalej jechać za matematykiem. Może gdzieś jeszcze go zaprowadzi?...

Modry wrócił jednak prosto do domu. W drodze powrotnej jednak dopadł ich korek, trwała więc o wiele dłużej, blisko godzinę. Okazało się, że na trasie była stłuczka. Przy takiej pogodzie wypadki zdarzają się często: ludziom puszczają nerwy, zawodzi wzrok. Deszcz nie ustawał w wysiłkach, by utrudnić i uprzykrzyć ludziom życie, lał zapamiętale, zrobiło się zupełnie ciemno.

Dziennikarz siedział w aucie pod kamienicą Modrego, paląc drugiego papierosa. Czekał. Gdy w oknie mieszkania zapaliło się światło, zdusił niedopałek w popielniczce. Zastanowił się, czy nie byłoby dobrze zajść do matematyka właśnie teraz, gdy ten się tego nie spodziewa. Przycisnął go z zaskoczenia, kiedy nie ma przygotowanych kwestii do wygłoszenia dla prasy. Zrezygnował jednak. To by już było przegięcie. Jest późno. O tej godzinie facet ma prawo do spokoju we własnym domu. A on sam także czuje się zmęczony, niedospany i głodny. W redakcji ma zachomikowane czosnkowe bagietki oraz dwie butelki piwa. Ma też książki do przejrzenia oraz notatki do spisania. Jutro też jest dzień – zdecydował i ruszył w kierunku Grunwaldzkiej.

* * *

Mężczyzna otworzył drzwi kluczem. Zdziwił się lekko, że zostawił je zamknięte tylko na górny zamek. Zazwyczaj zamykał na dolny, chyba że wyskakiwał jedynie na chwilę do sklepu po bułki albo gazetę. Cóż, widocznie tym razem się zapomniał. Od czasu do czasu mu się to zdarzało, choć niezbyt często, zwałił więc swoją nieuwagę na karb ostatnich kłopotów. Ostatecznie nic wielkiego się nie stało. Wszedł do mieszkania, zapalił światło w niewielkim korytarzyku, zdjął jesionkę, po czym skierował się do pokoju, tam również pstryknął włącznikiem i od razu wyczuł, że coś jest nie tak. Jeszcze nie dowierzał. Z narastającym

uczuciem grozy postąpił dwa kroki w głąb pomieszczenia i zatrzymał się jak wryty. To, co ujrzał, zmroziło go. Osłupiały odruchowo wycofał się do przedpokoju.

– Co to ma... – zaczął, lecz nie dokończył. W tym samym momencie poczuł obezwładniający strach i wszechogarniającą ciemność. Przerazenie i rozpacz zawładnęły nim bez reszty. Reszta nie miała już znaczenia...

* * *

Obudziło go stukanie do drzwi kanciapy.

– Emilku! Emilku, przepraszam... Telefon z komendy, do ciebie! – głos Marii z trudem przebijał się przez resztki snu. Zerwał się, pospiesznie wciągając na siebie spodnie i bluzę. Zerknął automatycznie na zegar ścienny z kukułką made in China, który, o dziwo, chodził, pewnie dlatego, że był na baterię. Dochodziło południe. Pracował do późnej nocy, nadrabiając zaległe materiały, potem jeszcze zaczytał się w pożyczonych od Modrego książkach. Kiedy się wreszcie położył – świtało.

– Kto? Marek? – wymamrotał, pociągając coli z butelki, by odświeżyć sobie oddech.

– Tak, ale nie powiedział, w jakiej sprawie... – Marysia sprawiała wrażenie wyraźnie zakłopotanej.

– Nie mógł na komórkę?

– Taki jakiś jest... oficjalny – dodała szeptem.

Odebrał słuchawkę z jej rąk:

– Halo?

– Słuchaj, Żądło... – Komisarz też brzmiał jakoś dziwnie. –

Powiedz mi, czy ty wczoraj gadałeś z tym Modrym?

– Prawie wcale. Tylko o książkach. Spieszył się.

– Nie wystraszyłeś go czymś przypadkiem?

– A co, do cholery? Poskarżył się? Nawiał? – Emil zdenerwował się. Nie lubił takiego kluczenia i owijania w bawełnę. Jedyne na plus, to fakt, że rozbudził się momentalnie. Coś było na rzeczy.

Po drugiej stronie linii zapadło milczenie. Dopiero po dłuższej chwili Zebra odezwał się ponownie:

– Mam kiepską wiadomość. Modry popełnił samobója. Dosłownie. To znaczy, zabił się. I to się stało najprawdopodobniej wczoraj wieczorem, najdalej w nocy. Znalazł go listonosz, drzwi były niedomknięte, to go zaniepokoiło, więc kiedy nikt nie odpowiadał na wołanie, zajrzał, no i od razu w przedpokoju natknął się na nieboszczyka. A ty znowu byłeś ostatnią osobą, ewentualnie jedną z ostatnich, która go widziała przed śmiercią. Modrego, znaczy. Na to przynajmniej wygląda, bo nie licząc personelu domu opieki, nikt więcej się do tego nie przyznaje.

Dziennikarza zatkąło.

– Ale jak to się zabił? Przecież...

– No właśnie. Odwiedził ojca w ośrodku, wrócił do domu i się zabił. Nie żyje od kilkunastu godzin.

– Jak?...

– Powiesił się.

– Jesteście pewni?

– Że nie żyje? Tak, stary. Całkiem nie żyje.

Żądło odruchowo wyjął z kieszeni zmiętą paczkę papierosów, coś mu jednak nie pasowało, bo schował ją z powrotem.

– Pytam, czy jesteście pewni, że to było samobójstwo.

– No wiesz. Taka jest wstępna hipoteza, wszystko na to wskazuje. Pewność będziemy mieli dopiero po sekcji. Ale śladów przemocy nie widać. Mieszkanie wygląda normalnie, choć facet miał tam niezły burdel...

– Burdel? – zdziwił się Emil.

– No, bałagan. Chyba nie za bardzo dbał o porządek, jak to stary kawaler. Książki, papiery wszędzie. Rozumiesz chyba?

– Słuchaj, coś tu się nie zgadza. Ja tam byłem wczoraj, przecież wiesz. Facet miał idealny porządek! Głowę za to daję!

Znów chwila milczenia.

– Mówisz poważnie? Widocznie po powrocie od ojca czegoś szukał.

– I potem się powiesił? Pozostawiając w dodatku niezamknięte

drzwi?

– A czy ludzie postępują zawsze racjonalnie? – skwitował policjant. – Drzwi mógł celowo nie zamknąć, podświadomie oczekując pomocy. Miał pecha, nie doczekał się. Dziwniejsze rzeczy widywałem.

Emil potarł dłonią czoło. Myślenie przychodziło mu z trudem, przede wszystkim czuł się oszołomiony.

– Posłuchaj, to jednak jest dziwne. Poważnie. Mnie tu się nic nie zgadza. Modry jeszcze wczoraj proponował mi spotkanie, chciał mi o czymś opowiedzieć. To jakiś absurd z tym samobójstwem!

– Może wizyta u ojca go zestresowała?

– A czym mógł go zestresować dziewięćdziesięcioletni staruszek z demencją?

– No, wiesz...

– Moim zdaniem to musi mieć jakiś związek ze sprawą Milczanowskiego. Nie wierzę w takie przypadki. Pojadę jeszcze raz do tego ośrodka. Rozejrzę się, popytam. Może się czegoś dowiem tam na miejscu.

– Nie od razu, teraz są tam nasi wywiadowcy. Lepiej, żebyście się nie spotkali.

– Okej. To daj znać, jak będzie wiadomo coś więcej. A ja...

– Marta już na coś wpadła?

– Nie wiem, jeszcze się nie odezwała. – Emil już chciał zakończyć rozmowę i wreszcie się umyć, ale cała ta sytuacja nie dawała mu spokoju. Naraz coś sobie przypomniał: – Hej, Marek! Zaczekaj. Kto dziedziczy po Modrym?

– Formalnie ojciec. Ale znaleźliśmy w szufladzie Modrego testament. Co prawda odręczny i sporządzony bez adwokata, ale taki też się liczy, chyba że ktoś go podważy. Modry nie był zbyt nadziany, ale wszystko, co ma, czyli przede wszystkim mieszkanie z całym mieniem, zapisał Dominice Wyszowskiej...

* * *

Marta próbowała przekopać się przez materiał pochodzący

z komputera Zygmunta Milczanowskiego, który przesłał jej ostatnio Zebra. W zasadzie niczego sensacyjnego w nim nie znalazła, choć zasadniczo potwierdzał jej tezę, którą zdążyła już sobie wstępnie wypracować. A przynajmniej nie stał z nią w sprzeczności. Niewiele też, niestety, dawał. Przeglądała właśnie odpisy wiadomości z poczty historyka. Było tego sporo, wszystkie w zasadzie do siebie podobne, przeskakiwała więc po nich pobieżnie. Nagle jednak zatrzymała się. Natknęła się na coś, co wcześniej najwyraźniej przeoczyła, może dlatego, że e-mail zawierał załącznik, który komisarz skopiował oddzielnie. Spojrzała na niego i... zrobiło jej się gorąco. Zrozumiała w tym momencie, że jej wnioski naprawdę mogą być słuszne. W liście skierowanym do kilku osób Milczanowski dopytywał o znaczenie następujących hieroglifów, które znajdowały się w załączniku. Wyglądał on następująco:



The image shows four vertical columns of stylized hieroglyphs. From left to right, they represent the letters E, M, I, and L. Each letter is composed of several distinct symbols: 'E' has a vertical line on the left and two horizontal lines; 'M' has a vertical line on the left and two vertical lines on the right; 'I' is a single vertical line; 'L' has a vertical line on the left and a horizontal line at the bottom.

Z bijącym sercem i mętlikiem w głowie wstała od laptopa. Trochę zbyt gwałtownie, bo aż obudziła zwiniętego w kulkę, błogo pochrapującego na biurku Bolera. Pogłaskała kota na przeprosiny, po czym, gdy już z powrotem zamknął oczy, poszła do kuchni, by nalać sobie herbaty i spokojnie pomyśleć. Ale nie mogła, emocje były zbyt wielkie. Na policzkach poczuła znajome wypieki. Znak, że tej nocy nie zaśnie, jeśli się nie wygada. Burza myśli na gwałt domagała się ujścia. W tym momencie zapomniała o wszystkim innym. Sięgnęła po telefon i wcisnęła jeden guzik, pod którym od lat zakodowany miała numer komórki Emila Żądło...

* * *

– Tak, to straszne, jestem po prostu załamana – głos Dominiki Wyszkowskiej autentycznie drżał. – Nie rozumiem już, co się tam dzieje! Wie pan, to chyba jakieś szaleństwo. Ojca ktoś zabił, wujek... popełnia samobójstwo. I to tak nagle. Gdyby chociaż... gdybym coś przeczuwała! Ale nie, nic kompletnie, a przecież często z nim ostatnio rozmawiałam, prawie codziennie. Po śmierci taty byliśmy w stałym kontakcie. Nic na to nie wskazywało, dosłownie nic. Dlaczego to zrobił?! Z rozpaczy? Nie znam innego powodu. Był takim pogodnym, zrównoważonym człowiekiem... To naprawdę niezrozumiałe dla mnie. Okropne. Co się jeszcze wydarzy?

– Miejmy nadzieję, że nic, pani Dominiko – Emil spróbował choć trochę ją uspokoić. – Może pan Modry miał jakieś kłopoty, z których się nie zwierzał...

– Powiedziałałby mi o tym!

– Czasem bywają sprawy, o których nie mówi się nikomu. Może na przykład chorował?

– Na pewno nie – upierała się. – Był zupełnie zdrowy, na nic się nigdy nie skarżał, nie brał leków, nawet nie chodził po lekarzach. Ale zrobią przecież tę... sekcję. Mówili mi o tym. Wtedy się chyba dowiemy?

– Tak, autopsja będzie na pewno. To się wyjaśni. Pani Dominiko, pani wiedziała, że pan Zenon miał ojca w domu opieki?

– Tak, oczywiście – odparła szybko. – To żadna tajemnica. Staruszek od lat tam przebywa, a teraz proszę... przeżył syna! – Głos ponownie jej się załamał.

– I tak bywa, niestety...

– Mój ojciec dokładał do jego utrzymania w tym ośrodku. Nie wiem, co teraz będzie. Chyba spadnie to na nas. Biedny starszy pan. Co prawda on i tak nic nie rozumie, pewnie nawet nie zauważy, że się coś zmieniło. Ale to straszne...

– Była pani w mieszkaniu pana Modrego? Po tym wypadku? –

Przez gardło nie przeszło mu „samobójstwo”.

– Nie, jeszcze nie. Nie mam siły. Wujek podobno na mnie zapisał mieszkanie. Więc i tak będę musiała. Ale nie teraz, na razie nie dam rady. Zresztą i tak policja jeszcze coś tam bada. Zaczekam na męża, jak wróci, to sam podjedzie, żeby ogarnąć rzeczy po wujku. Już do niego dzwoniłam. Oboje jesteśmy przerażeni...

Dziennikarz pomyślał, że w zasadzie słusznie. Coś się najwyraźniej dzieje wokół tego domu, tej rodziny. Powinien ją ostrzec, tylko w jaki sposób, by nie przerazić dziewczyny jeszcze bardziej?

– Na wszelki wypadek powinni państwo zachować ostrożność – zaczął delikatnie.

– Myśli pan, że i nam coś grozi?!

Właśnie tego się obawiał.

– Nie, nie sędzę, jednak... dopóki policja nie wyjaśni...

– Tak, wiem. Niech się pan już nie trudzi. Ten oficer też mi to mówił. Jestem ostrożna, zapewniam pana. Wzięłam już nawet urlop, z domu nie wyjdę, przynajmniej do powrotu męża.

Marne pocieszenie, zważywszy, że i morderstwo jej ojca, i rzekome samobójstwo sąsiada wydarzyły się właśnie w domu – skonstatował. Głośno nie odważył się jednak tego powiedzieć.

– Proszę pani, jeszcze jedna sprawa – przypomniał sobie natomiast.
– Pożyczyłem od pana Modrego kilka książek. Pytałem o nie, przypomina pani sobie?

– Chodzi o te książki po tacie?

– Właśnie. Mam je przez cały czas u siebie. Teraz znowu należą do pani. Jak i kiedy powinienem je zwrócić?

– Wcale – odparła stanowczo. – Niech je pan sobie zatrzyma.

– Ale...

– Nie chcę ich widzieć na oczy! Nie interesują mnie. To wszystko przez nie! Przez tę ojca obsesję!

– Książki nie są niczemu winne, pani Dominiko.

– Ale ludzkie wariactwo już tak – zauważyła przytomnie. – Mówię serio, nie chcę ich, niech lepiej panu się przysłużą. Jeśli napisze pan coś na ten temat, to będzie sprawiedliwie. Ojciec na pewno byłby usatysfakcjonowany – dodała z przekąsem. – Przecież całe życie do tego

dążył...

– Do widzenia, pani Dominiko.

– Do widzenia. Zapewne na pogrzebie.

Naciskając guzik kończący rozmowę, nie był pewien, czy w jej głosie usłyszał sarkazm, czy tylko rzeczowość.

Gdy miał już odłożyć telefon, zauważył na ekranie komunikat o nieodebranych połączeniach. Gdy rozpoznał numer, poczuł, jak oblewa go fala gorąca. Natychmiast oddzwonił:

– Marta? Dzwoniłaś...

– Tak, a ty gadałeś z kimś jak najęty! – odparowała. – Przyjeżdżaj!

Jak najszybciej!

– Coś się stało? – zaniepokoił się.

– Tak! Coś znalazłam. Możesz być dziś?

– Mogę. Za jakieś dwie godziny.

– Okej, będę czekać. Nie jedź nic. Zrobię lazanie.

* * *

– Chyba ją trochę przypaliłam. – Marta z przepaszającym uśmiechem wyłożyła na stół lazanie ze szpinakiem. – Ale da się zjeść...

Podana z zieloną sałatą smakowała wyśmienicie. Emil od dawna nie miał w ustach niczego równie pysznego. Ser, szpinak i sos beszamelowy stanowiły znakomite połączenie, a spalenizny w ogóle nie dało się wyczuć. Marta, zawsze niepewna swoich umiejętności kulinarnych, jak zwykle przesadzała. Ze swej strony już dawno przestał z tym walczyć: wiedział, że i tak nie da się jej przekonać. Zjedli tak jak dawniej: przy nakrytym kraciastym obrusem kuchennym stole. Stał on we wnęce, w specjalnie wydzielonej części jadalnej tego dużego – w porównaniu z resztą mieszkania – pomieszczenia. Panowała tu ciepła, pogodna atmosfera, może dlatego, że kuchnia była także najjaśniejszą częścią domu. Na wprost znajdowało się duże kwadratowe okno, na parapecie którego swoim zwyczajem ułożył się Bolero, tuż obok swojej miski z chrupkami dla seniora. Przysypiał, pozornie nie zwracając na nich uwagi. Wcześniej jednak – odwrotnie niż ostatnim razem –

podszedł do Emila, by się przywitać. Polegało to zaledwie na lekkim otarciu o jego łydkę, ale i tak można to już było uznać za sukces. Za oknem szarzało i mżyło, mimo to światło dnia jeszcze docierało do środka. Nie trzeba było włączać światła. Marta zapaliła tylko zapachową świecę w starym ceramicznym lichtarzu, stojącym tu chyba od zawsze. Do lazanii mieli czerwone wytrawne wino, zakupione przez Emila po drodze, w supermarkecie. W trakcie posiłku zdążył opowiedzieć o wszystkim, co się w ostatnim czasie wydarzyło. Marta postanowiła, że o swoich odkryciach powie później, przy komputerze. Teraz odsunęła pusty talerz, zamyślona. Wypiła odrobinę wina.

– Samobójstwo? – powiedziała. – To rzeczywiście dziwne. Niby dlaczego miałyby się zabijać? Podejrzewacie, że to on zamordował swojego przyjaciela?

Dziennikarz drgnął, uderzony jej czujnością. O tym do tej pory nawet nie było mowy. Zebra też nic na ten temat nie wspomniał, choć Modry, rzecz oczywista, znajdował się w kręgu podejrzanych.

– Szczerze mówiąc, policja chyba nie ma jeszcze konkretnych wniosków – odparł. – Owszem, ja go przez jakiś czas podejrzewałem, ale nie było w tym niczego konkretnego. Fakt, że facet kręcił, wił się. Jednak na mordercę nie wyglądał.

Uśmiechnęła się lekko.

– Przecież wiesz, że rzadko kto wygląda na mordercę. Pomijając różnych zbirów. A tymczasem ludzie się stale zabijają...

– To fakt – przyznał, kończąc drugą porcję lazanii i popijając ją wodą mineralną. Wina nalał sobie tylko symbolicznie: musiał przecież jeszcze wrócić jakoś do redakcji. – Ale jeśli chodzi o tego gościa, to... na sam koniec chciał mi coś powiedzieć. Tyle że już nie zdążył. Kretyn ze mnie, bo po raz kolejny dałem ciała. Zamiast wepchać się wieczorem do niego, choćby na chama, obserwowałem sobie światło w jego oknie, a potem odjechałem. A czułem coś! Może gdybym tam poszedł...

– Daj spokój. – Machnęła ręką. – Jak zwykle obwiniasz się o coś, na co nie masz wpływu. A ta córka?

– Co córka?

– Może ona za tym wszystkim stoi? Sam mówiłeś, że taka raczej materialistka, że potrzebuje kasy na rozkręcenie biznesu, do tego

z twoich relacji wynika, że dziewczucha jest zimna jak ryba.

Emil się roześmiał:

– Nie, to zupełnie nie ten typ. Zimna może, ale nie wyrachowana. To w zasadzie jeszcze dzieciak, taki teraz mają styl. Jest naiwna, próżna, ale nie ma w niej nic... jak by to powiedzieć... nic pokrętnego. W ogóle nic szczególnego, taka przeciętna, nawet sympatyczna dziewczyna. Prostolinijna aż do bólu. Poważnie mówiąc, jest zbyt nieskomplikowana na to, by uknuć taką intrygę.

– Nieskomplikowana... piękny eufemizm! – zakpiła łagodnie.

– Ale tak właśnie jest. Jeśli wolisz, możesz powiedzieć: za głupia – dodał.

– Okej. A jej mąż?

– Jeszcze bardziej. Miły chłopak, rzeczowy. Taki trochę fircyk. Dobra praca, wypasiona bryka. Reszta świata go nie interesuje.

Wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję, że się znasz na ludziach – skwitowała. – Zostaje jeszcze ojciec tego... jak mu tam? Niebieski?

– Modry, nie Niebieski! Ojciec Modrego? – zaśmiał się ponownie. – To chory na demencję dziewięćdziesięciolatek! Do tego zamknięty w domu opieki. Wątpliwe, by mógł się stamtąd niepostrzeżenie urwać, by mordować ludzi. Zresztą policja na pewno sprawdza alibi wszystkich osób zaangażowanych w sprawę, więc nasze domysły to i tak czyste spekulacje. Ale gdyby nawet... teoretycznie... nie podejrzewasz chyba na serio, że Modry, zbulwersowany ewentualnym faktem, że ma tatusia zabójcę, powiesił się, powodowany rodzinnym poczuciem winy? No nie, zapomnij. Jest jeszcze ten bezdomny... Ale to raczej całkiem przypadkowa postać. Nic nie wskazuje na to, że odegrał jakąś rolę w tym teatrze. Był i znikł, jeszcze zanim zamordowano Milczanowskiego. Możliwe, że po prostu zmienił lokal. Szczególnie, że to podobno narkoman. Mogło mu się zacząć palić pod tyłkiem, może wisiał kasę dilerowi...

– Może to w ogóle całkiem ktoś inny. Na przykład jeden z tych niby to ekspertów, który zwietrzył łakomy kasek?

– Możliwe. Może źle, że skupiamy się na najbliższych. À propos ekspertów, właśnie do jednego z nich się wybieram. Mieszka w Juracie.

Resztę dopiero namierzają. Człowiek nazywa się... – zerknął do telefonu, gdzie miał zapisany numer i nazwisko – Leon Dutkiewicz. Znasz?

– Nie znam, choć możliwe, że nazwisko obilo mi się o uszy.

Kiedy?

– Kiedy do niego jadę? Może jutro.

– Mogę jechać z tobą? – zapytała, zerkając na niego niepewnie.

– Jasne! – ucieszył się. – Tak nawet będzie lepiej. Znasz się na tym, będziesz wiedziała, o co pytać.

– Załatwione. Dobra. To co, zrobię kawę i przeniesiemy się do pokoju? Opowiem, na co wpadłam, bo już mnie język świerzbi. – Znowu się uśmiechnęła. Kochał jej uśmiech. Cała wtedy jaśniała, a jej oczy świeciły zielononiebieskim, kocim blaskiem.

Gdy Marta zajęła się parzeniem kawy, Bolero zeskoczył z parapetu. Zakręcił się po kuchni, coś wygrzebał z kąta pomiędzy szafką a lodówką, i niosąc to coś w pyszczku – podszedł do Emila. Położył mu zdobycz na bucie.

– Hej, co tam masz? – Żądło pochylił się, by lepiej widzieć. Była to stara, wytarta pluszowa myszka...

Doskonale ją pamiętał. Wzruszenie ścisnęło go za gardło. Chciał pogłaskać kota, ten jednak uchylił się i z powrotem wdrapał na swoje miejsce pod oknem. Emil podniósł myszkę i pokazał ją Marcie.

– O rany! – zdziwiła się. – A skąd on ją wyszperał?... Od stu lat już się tym nie bawił. Zresztą niczym ostatnio... Kochany staruszek... Chyba musisz ją wziąć. Dał ci ją.

– Przynajmniej na chwilę. – Dziennikarz schował nieco wymiętą zabawkę do kieszeni, by odebrać od gospodyni jedną z filiżanek. Marta przygotowała dwie kawy, choć sama – jako zdecydowana „herbaciara”, jak zawsze siebie określała – nie przepadała za tym napojem. Traktowała go bardziej jak szybkie lekarstwo wzmacniające niż przyjemność. Tym razem widocznie potrzebowała wzmocnienia.

Przeszli do pokoju.

– Zaczekaj, coś ci przywiozłem! – przypomniał sobie Emil, cofając się do przedpokoju. – Tylko zostało w siatce...

– Co to? – Zdziwiona Marta zajrzała do torby. – Książki?

– No. To są, a raczej były, książki ze zbiorów Milczanowskiego. Mogą ci się przydać. U mnie się marnują.

Marta wyłożyła cały stos na biurko i od razu zaczęła go przeglądać:

– Hiram Bingham *Zaginione miasto Inków*, znam... O, Dzikowska! *Vilcabamba – ostatnia stolica Inków*... zawsze chciałam to przeczytać... *Dzieje Ameryki Łacińskiej*... *Ceram Pierwszy Amerykanin*... No, to już też klasyka. *Skrok W poszukiwaniu Eldorado* i ziemi obiecanej. Czytałam to kiedyś. Albumy... wszystkie o sztuce i kulturze iberoamerykańskiej. No i *Śladami Inków* Fawcetta... Mam z biblioteki. Do tej jeszcze wrócimy...

– Przydadzą się? Co o tym myślisz?

Wzruszyła ramionami.

– Wiesz, to znane pozycje popularnonaukowe, ale ciekawe. Dziś już prawie nie do zdobycia. No i wiele mówiące o zainteresowaniach pana Milczanowskiego, chyba dobrze zapamiętałam nazwisko? Oczywiście, że w tym sensie będą przydatne. Widzę podkreślenia i notatki na marginesach... Więc tym bardziej. Większość czytałam dawno temu, niektóre jeszcze w szkole. Chętnie sobie przejrzę. Kiedy musisz je oddać?

– Wcale nie muszę. Dostałem je w prezencie. Córka Milczanowskiego podarowała je Modremu, on pożyczył mi. Zostały, a ta córka nie chce ich z powrotem. Na razie możesz je zatrzymać, najwyżej zabiorę, kiedy będę potrzebował do reportażu. Zostałem niejako zobligowany...

– Jasne! Dzięki. – Włączyła komputer i odłożyła książki. Tylko jedna została w jej dłoni. Zamyślona przekartkowała ją. Nagle zatrzymała wzrok na otwartej stronie i uśmiechnęła się tryumfalnie.

– O! No proszę... Super! Moje podejrzania właśnie się potwierdzają. Czekał, zaraz do tego dojdę – rzuciła, widząc jego pytające spojrzenie. – Powiedziałam, że wrócimy do *Śladami Inków* Fawcetta nie bez powodu. Tę jedną zabierzesz zresztą ze sobą od razu, bo ja mam swój egzemplarz, a ty powinieneś ją koniecznie przeczytać, i to jak najszybciej. Za chwilę wyjaśnię dlaczego – uśmiechnęła się, podając mu do ręki mocno zużyty tomik. Widać było już na pierwszy rzut oka, że zaczytany do granic możliwości. Dziennikarz szybko przerzucił kartki.

– Czy to znaczy, że w naszej historii chodzi o Inków? Kilka z tych dzieł o nich mówi – zapytał, zaciekawiony. – Ta najwyraźniej też? Dlaczego jest ważniejsza od innych?

– Nie do końca...

– To znaczy?

– Tytuł jest mylący – wyjaśniła. – Zwróć uwagę na fakt, że to wydanie z sześćdziesiątego czwartego roku. I jak dotąd, o ile mi wiadomo, jedyne. Ma stary polski tytuł. Niemający w zasadzie nic wspólnego z oryginalnym – wyjaśniła. – Jak również niezbyt wiele z treścią książki. Prawdopodobnie ówczesni wydawcy nie bardzo orientowali się w historii Ameryki Łacińskiej. A może chodziło o przyciągnięcie czytelników? Trudno powiedzieć. Inkowie byli w miarę znani, a nawet – jeśli można się tak wyrazić – szczególnie po odkryciu i udostępnieniu zwiedzającym słynnego Machu Picchu: w modzie. Natomiast oryginalny tytuł, który zapewne nic by polskiemu odbiorcy nie mówił, brzmiał: *Exploration Fawcett*. Pod nim ta książka jest znana na świecie.

Emil jeszcze raz zerknął na trzymany w ręku niewielki tomik.

– Okej, rozumiem. I co w nim szczególnego? Do czego zmierzasz?

Marta szukała czegoś w komputerze.

– Zaraz wyjaśnię – wymruczała. – Otwórz książkę na stronie trzydziestej drugiej... Masz? To teraz zerknij na zdjęcie obok.

– No? Widzę kawałek uliczki i jakiegoś cudaka...

– No właśnie. Dobrze mu się przyjrzyj. Temu cudakowi.

Żądło znów zerknął na nią pytająco, podczas gdy otwierała jakiś plik.

– No to patrz!

Na ekranie jej laptopa pojawił się obraz:



THE INCA

– Poznajesz? – zaatakowała z błyskiem w oku. – Porównaj ze zdjęciem!

– Co to jest, do cholery?...

Teraz rozpoznał. Tabliczkę z tym samym – lub bardzo podobnym napisem – trzymała w obu dłoniach przedstawiona na zdjęciu w książce figurka... Opatrzona kilkoma wykrzyknikami oraz słabo czytelnymi komentarzami wyblakłym ołówkiem. Najpewniej przez samego Milczanowskiego.

– Czy sądzisz... – zaczął, lecz natychmiast mu przerwała:

– Tak podejrzewam. Że to ten posążek albo bardzo podobny. – Pokiwała głową z zadowoleniem.

– Skąd to wzięłaś? To znaczy, jak na to wpadłaś?

Emil czuł się zdezorientowany, lecz pomału udzielała mu się jej ekscytacja.

– Z komputera ofiary. To znaczy, tego historyka.

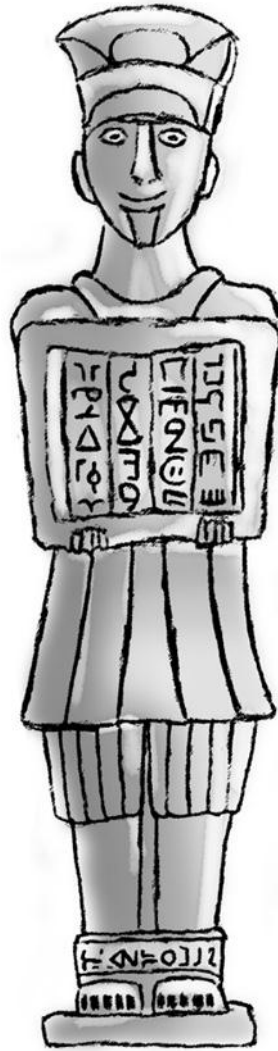
– Milczanowskiego.

– Tak, dokładnie.

– Ale...

– Był wśród jego maili, które przesłał mi Zebra, razem z innymi materiałami. Cudem tylko go nie przegapiłam! Ale jak już znalazłam, to od razu wiedziałam, że jestem na dobrym tropie – uśmiechnęła się promiennie. – Przyjrzyj się temu jeszcze raz. To z całą pewnością jest ten sam napis. Naszkicowałam całą rzeźbę, żeby było lepiej widać. Bez tła... No i zobacz sam! – Kliknęła ponownie.

Tym razem na ekranie wyświetlił się inny obrazek. Rysunek. Duży i czytelny, z doskonale widocznymi szczegółami:



– Wygląda na to, że ten sam – przyznał, gdy ponownie pokazała sam napis. Zerknął do książki. – Tak, na bank. Znowu jakieś hieroglify. I do tego totem... Zebra się chyba załamał! Co on oznacza, ten napis? – zaciekał się.

– Tego nikt nie wie. – Rozłożyła ręce. – W ogóle tego pisma nikt jeszcze nie zidentyfikował, choć jest podobne do fenickiego. Być może to fejk, jak byśmy dziś powiedzieli. To znaczy, jakby zapewne powiedział twój Bartek. Totem to także złe określenie. To żaden totem, tylko figurka na pierwszy rzut oka sprawiająca wrażenie, jakby pochodziła z Bliskiego Wschodu. Czyli z tak zwanego Starego Świata. Choć nie do końca. Tyle że została podobno znaleziona w dżungli

amazońskiej. Przestań się krzywić, zaraz ci wszystko opowiem, tylko nie wiem, od czego zacząć...

Żądło położył książkę obok swojego kubka z kawą i rozsiadł się wygodniej.

– Najlepiej od początku – doradził niewinnie.

– Muszę przyznać, że podejrzenia miałam prawie od samego początku – zaczęła. – Od razu, kiedy tylko usłyszałam, że chodzi o zaginione w dżungli amazońskiej tajemnicze miasto oraz angielskiego odkrywcę sprzed drugiej wojny światowej, który zaginął w trakcie kolejnej wyprawy, pomyślałam sobie, że to musi chodzić o Fawcetta. Jego zapiski – zostańmy już przy polskim tytule: *Śladami Inków* – czytałam jeszcze we wczesnej młodości i byłam wówczas nimi zafascynowana. Postanowiłam więc do nich wrócić. Nie było łatwo zdobyć tę książkę, na rynku wciąż brakuje nowego wydania. Ale w końcu, dzięki znajomej bibliofilce, udało mi się. Przeczytałam ją jeszcze raz uważnie i upewniłam się w swoim zdaniu, choć dane, które mi na wstępie przekazaliście, były więcej niż skąpe...

– Sami więcej nie wiedzieliśmy! – sprostował.

– Wiem. To nie zarzut. W oko wpadła mi figurka, zwana umownie „idolem Fawcetta”. Ale wciąż nie byłam pewna, czy to o nią chodzi. Dopiero te hieroglify, znalezione w mailu Milczanowskiego, o które dopytywał u przeróżnych lingwistów, sprawiły, że ciśnienie mi podskoczyło! – roześmiała się. – A dziś, kiedy przyniosłeś jego własny egzemplarz książki Fawcetta, jestem już prawie przekonana, że to ten posążek. Te wykrzykniki na marginesie, a zwłaszcza zdanie dopisane ołówkiem...

– Udało ci się rozeznąć w tych jego bazgrołach?

– Częściowo. Ja dość dobrze czytam pismo ręczne, uczono nas tego na studiach. Pokaż książkę...

Dziennikarz podał jej egzemplarz, a Marta szybko znalazła właściwą stronę:

– Zobacz. – Podsunęła mu ją pod nos. – Tu pisze jak byk: „moja figurka”, a zaraz przy tym kilka wykrzykników. No cudów nie ma, trudno to inaczej zinterpretować.

– Faktycznie – przyznał. – Teraz widzę...

– Chyba się nie mylę, prawda? – Zadowolona z siebie upiła trochę kawy, jak zwykle się przy tym krzywiąc.

– Czy to znaczy, że Milczanowski miał figurkę tego podróżnika? Tę samą? Skąd? Jakim cudem znalazła się w Gdańsku?

Wzruszyła ramionami.

– Czy tę samą, to nie wiem. Raczej nie, bo ta, która należała do Fawcetta, jest wykonana bodajże z czarnego bazaltu. A według zeznań naszych świadków statuetka pana Milczanowskiego była z metalu. Prawdopodobnie ze srebra lub z jakiegoś stopu. Więc nie dokładnie ta sama, ale przypuszczalnie bardzo do niej podobna. Może pochodziły z jednego źródła. Być może też, że któraś z nich była tylko kopia, a druga, powiedzmy, oryginałem. Pytanie tylko która... Nie dowiemy się tego, dopóki nie dysponujemy obiema figurkami. Ta bazaltowa należała do zbiorów Fawcetta, ale nie wiadomo, co się z nią stało. Prawdopodobnie pozostała u jego rodziny, być może do tej pory znajduje się w jej posiadaniu. A może nie. Potomkowie Fawcetta raczej chronią swoją prywatność, więc trudno byłoby to sprawdzić. Posążek Milczanowskiego również zaginął. Impas...

– Cholera...

– A skąd wzięła się w Gdańsku? Na ten temat także mam swoją teorię. Przypominasz sobie, że hitlerowcy interesowali się paranauką, okultystką i tak dalej? Omawialiśmy to już przy okazji historii Tartessos. Wszędzie szukali Atlantydy i innych legendarnych miejsc, które miały udowodnić, że Aryjczycy, czyli oni sami, są „lepszą rasą”, bo pochodzą wprost od prastarej cywilizacji.

– Ale co ma z tym wspólnego ten... Fawcett? – Emil wciąż nie mógł zrozumieć powiązań, to wszystko było dla niego zbyt zawikłane.

– Kiedy Fawcett zaginął, wyruszyło jego tropem mnóstwo wypraw poszukiwawczych. W tym wiele niemieckich. Nieznane, prastare miasto w dżungli rozpałało umysły. Nie do wiary by było, gdyby hitlerowcy nie byli tym zainteresowani...

– Aaa! – Olśniło go. – Chyba łapię...

– Brawo. – Mrugnęła.

– No dobra. To by się nawet zgadzało z tym, co mi opowiadał Modry. Rozumiesz, o tym, jak Milczanowscy znaleźli w piwnicy

gestapowski depozyt. Ale nadal nie wszystko jest dla mnie jasne. Daj mi trochę więcej szczegółów na temat tej statuetki, a przy okazji samego Fawcetta. W życiu o nim do tej pory nie słyszałem. Kim dokładnie był ten gość? Co to za zaginione miasto? Przeczytam książkę, ale sama wiesz, że wolno czytam. Nie mamy aż tyle czasu. O ile to faktycznie ma związek z naszą sprawą, a wszystko na to wskazuje, musimy się pospieszyć. Zebra już wie o tej figurce? Dałaś mu cynk? Mogłoby to pomóc policji w monitorowaniu aukcji!

– Jeszcze nie wie, ty miałeś być pierwszy – odpowiedziała. – Dziś wieczorem wyślę mu kopię zdjęcia i mój rysunek, razem z naszymi wnioskami.

– Świetnie. To teraz opowiadaj.

– Dobrze. Zaczniemy od Eldorado...

– Milczanowski też szukał Eldorado – powiedział Emil. – Kazał sobie tłumaczyć teksty na ten temat. Ciągłe się gdzieś płacze u niego ta nazwa. A ja myślałem, że Eldorado to tylko stara bajka o bogactwie, a raczej o ludzkiej chciwości.

– Bo w pewnym sensie tak jest – zgodziła się z nim Marta.

– Ale stoją za tym w ogóle jakieś historyczne przesłanki?

– Raczej legendy. Indiańskie mity i hiszpańskie plotki. Trudno dziś powiedzieć, ile w nich prawdy. Sam wiesz, że legendy żyją w umysłach pokoleń, a potem trudno odróżnić ziarno od plew. Eldorado, lub raczej El Dorado, to właśnie taka legendarna kraina, gdzieś w Ameryce Południowej, ponoć pełna złota. Nazwa pochodzi zresztą od Hiszpanów i znaczy dosłownie: „złoty człowiek”. Wiadomo, kogo to złoto tak fascynowało. Bo raczej nie Indian. Dla nich był to zwyczajny metal. Pojęcie El Dorado nie jest zresztą do końca precyzyjne: w zależności od źródła oznacza zarówno miejsce, jak i zamieszkujące je plemiona, a może nawet – pierwotnie – imię konkretnego władcy. Hiszpanie sami do końca tego nie wiedzieli. Podczas poszukiwania złota pierwsi konkwistadorzy hiszpańscy dowiedzieli się o rytuale obsypywania jednego z wodzów indiańskich złotym pyłem i obmywaniu go potem w jeziorze Guatavitá w Andach, na terenie dzisiejszej Kolumbii. Tradycja, podobno prawdziwa, została zarzucona przynajmniej ćwierć wieku przed przybyciem Kolumba do Ameryki w tysiąc czterysta

dziewięćdziesiątym drugim, o czym jednak europejscy maniacy nie mieli bladego pojęcia. Na wszelki wypadek szukali więc tego złota, gdzie tylko mogli, gotowi odcedzać wody wszystkich napotkanych jezior i zbiorników wodnych, byle tylko je zdobyć. Chciałoby się dodać: i zeżreć – Zabłocka skrzywiła się zabawnie. – El Dorado, w sensie miasta bądź krainy, poszukiwano dosłownie wszędzie, od dzisiejszych terenów USA aż po Amerykę Południową. Gdzie tylko się dało. W imię tego złota oraz pod płaszczykiem krzewienia jedynej słusznej wiary zdobywcy wymordowali tysiące Indian, a także zniszczyli rodzime cywilizacje, między innymi te dla nas obecnie najsłynniejsze i najbardziej rozwinięte: Inków, Majów, Azteków. Praktycznie zniszczyli większą część ich dorobku kulturalnego: zniknęły kodeksy – czyli księgi – jak również dzieła nauki, sztuki, wyroby rzemiosła artystycznego, szczególnie ze srebra i złota. W końcu na nie głównie polowali, a gdy już znaleźli, to kradli i przetapiali, bo interesowały ich wyłącznie jako cenne kruszce... Przecież dla nich były one tylko „dziełem Szatana”, mieli usprawiedliwienie moralne, udzielone im przez chrześcijańskich misjonarzy. Ale nie myśl, że skończyło się na pierwszych konkwistadorach. Paranoja trwała w najlepsze i w następnych wiekach. El Dorado stało się dla europejskich władców nawet kartą przetargową. Na przykład król Karol V Habsburg, mając problemy ze spłatą potężnych długów wobec augsburskiej rodziny bankierów, oddał jej łaskawie, naturalnie w ramach spłaty, tereny zamieszkane przez domniemane „plemiona El Dorado” w dzisiejszej Wenezueli. Była to czysta brawura, jednak Welserowie – bo tak nazywali się bankierzy – w swej naiwności złapali przynętę. Poza tym i tak nie mieli wyboru. Zamierzali odzyskać swoją kasę, odnajdując El Dorado na własną rękę. Nie wyszli na tym zbyt dobrze. Wyprawy organizowane przez tę rodzinę bezskutecznie poszukiwały złota od 1529 roku. Choć posiadali swoją bazę w Wenezueli, legendarnego miasta oczywiście nigdy nie znaleźli. Bogactw raczej także nie. Przez następne stulecia podejmowano liczne próby wydobywania złota i kosztowności z dna jezior. Odbywało się to zarówno poprzez nurkowanie, jak i odpompowywanie wody. Wielu próbowało, ale... no cóż. Tyle wysiłku, poświęceń – i dupa. Aż w końcu mityczne El Dorado stało się

tylko pojęciem, oznaczającym po prostu wielkie bogactwo. I w ten sposób do dziś funkcjonuje...

– No tak. Ciekawe. Z tego wynika, że Fawcett też szukał Eldorado? Nęciły go bogactwa? Legendarne złoto?

Marta Zabłocka pokręciła głową:

– O nie. Nigdy nawet o nim nie wspomniał. To sensaci się tego dopatrywali, bo każdy sądzi według siebie. Jego nie obchodziło złoto. To był wizjoner. Fascynowała go sama tajemnica. Historia ludzkości. Wielkie odkrycie. Na tym punkcie miał prawdziwą obsesję. Praktycznie przez całe życie, które jej poświęcił.

– Opowiedz o nim.

– To może najpierw zrobię więcej kawy? – zaproponowała.

– Może w takim razie herbaty.

Herbatę Marta podała w starej porcelanie. Gdy już oboje trzymali w ręku parujące filiżanki, zaczęła opowieść:

– Fawcett, a dokładniej Percival Harrison Fawcett, czyli Percy Harrison Fawcett, bo tak go powszechnie nazywano, brytyjski uczonek, podróżnik i oficer, był barwną postacią, pochodził zresztą z ciekawej rodziny. Urodził się w 1867 roku w Devon. Jego rodzicami byli Edward i Myra Fawcett. O rok starszy brat Edward Douglas Fawcett był wspinaczem, a także autorem powieści przygodowych. Percy zresztą za młodu także uprawiał wspinaczkę. Jego pasją stała się jednak dżungla oraz zagadki przeszłości. W 1886 wstąpił do Royal Artillery, służył na Cejlonie. Tam poznał swoją późniejszą żonę, Ninę. Zarówno matka, jak i żona interesowały się modnym już wówczas okultyzmem. Sam Percy także po części uległ tym trendom, z tego powodu zresztą co niektórzy przypisują mu nie do końca racjonalne motywacje. Ale o tym później. W 1901 wstąpił do Royal Geographical Society, gdzie między innymi studiował kartografię. Następnie, na zlecenie brytyjskiego wywiadu, odbył podróż do Afryki Północnej.

W 1906 ruszył w swoją pierwszą podróż do Brazylii. Royal Geographical Society zostało poproszone o wytyczenie granicy pomiędzy Brazylią a Boliwią, a Fawcett stanął na czele wysłanej w tym celu wyprawy. Od tej pory datuje się jego obsesja. Łącznie na przestrzeni lat 1906-1924 przewodził aż siedmiu ekspedycjom. Jeszcze

przed pierwszą wojną światową doszedł do wniosku, że w Amazonii, gdzieś na terenie Mato Grosso, znajduje się prastare zaginione miasto, które w swoich zapiskach określał literą Z lub nazywał je po prostu Miastem. Nie tak dawno rozpowszechnił je w swoim bestsellerowym reportażu David Grann, i chyba tylko z tego powodu nazwisko Fawcetta po latach ponownie wypłynęło z odmętów zapomnienia. Grann udał się śladem Fawcetta, nawet wysnuł własną teorię na temat zaginionego miasta, dość przekonującą, choć nieco mętną. Nie do końca się z nią zgadzam. Natknął się na jakieś wały ziemne, badane przez archeologów, i z nimi utożsamiał starożytne miasto. Coś przecież musiał znaleźć, by osiągnąć sukces, kto lubi wracać z niczym... Tymczasem z zapisków Percy'ego Fawcetta wynika niedwuznacznie, że szukał on czegoś zupełnie innego. I raczej dobrze wiedział, co spodziewa się znaleźć. Prawdopodobnie w ogóle wiedział więcej, niż oficjalnie zdradzał, w dodatku jako wojskowy potrafił doskonale mylić tropy. Dziś książkę Granna wypożyczysz bez problemu w każdej bibliotece, w przeciwieństwie do oryginalnych zapisków Fawcetta. Najbardziej znaczące jest jednak to, że teraz „miasto Z” kojarzy się bardziej z Grannem niż z Fawcettem, który poświęcił mu całe swoje życie. Znak czasów albo chichot historii, jak wolisz. Wróćmy do Fawcetta. Intensywne poszukiwania zakłócił mu wybuch pierwszej wojny światowej. Fawcett wrócił wówczas do Europy, by służyć w oddziałach artylerii we Flandrii. Dowodził brygadą artylerii w stopniu podpułkownika. Zwracam ci na to uwagę, by podkreślić, że był to trzeźwy facet, nie żaden naiwniak, fantasta czy mitoman. Wojskowy twardziel, naukowiec, wybitny znawca dżungli i Indian amazońskich. Po wojnie wrócił do dżungli, by kontynuować swoje badania. Na trasach licznych wędrówek odnalazł wiele nieznanymi, całkowicie dzikich plemion. Niektóre nie miały pojęcia o istnieniu cywilizacji czy świata poza dorzeczem Amazonki. Zaprzyjaźnił się z nimi. Indianie znali go, rozpoznawali, potrafił się z nimi porozumieć, zdobyć ich zaufanie. Szanował ludzi, szanował ich odrębność, więc go uznali za swego. Akceptowali na swoim terytorium. Nawet tacy, którzy albo w ogóle nie znali białego człowieka, albo byli mu wrogi. Tacy, którzy każdego obcego intruza po prostu zabijali. Podobno byli wśród nich nawet

kanibale, których bały się inne plemiona indiańskie. Fawcett się nie bał, a przynajmniej potrafił nie wchodzić im w drogę. Indianie dzielili się z nim swoimi opowieściami, zwyczajami, wierzeniami i legendami, prowadzili go w miejsca, które uznawali za swoje miejsca tajemne. Wszyscy w Brazylii wiedzieli, że jeśli jemu nie uda się gdzieś w dżungli dojść, to nie uda się już nikomu. Podczas swoich wypraw i badań natknął się – osobiście lub pośrednio – na wiele tajemniczych obiektów, samych w sobie stanowiących zagadkę, a dla Fawcetta dowód na istnienie w tym regionie, w zamierzchłych czasach, wysoko rozwiniętej kultury. Na przykład na prastare kopalnie albo na „magiczne” kamienne wieże, emitujące ze swoich otworów okiennych dziwne światło, postrach okolicznych Indian. Wspominał o pewnych prastarych, do dziś „zamieszkanym miastach” w puszczy, o których słyszał od swych indiańskich przyjaciół. Spotykał też podobno ludzi, których nazywał „białymi Indianami”. Nie byli to jednak albinosi, mieli europejskie rysy twarzy, szczylicili się też starym rodowodem oraz wierzeniami. Opisał to wszystko w swoim dzienniku, wydanym później na podstawie rękopisu w opracowaniu syna Briana.

W 1925 wyruszył na swoją ostatnią wyprawę, z której nie powrócił. Ekspedycja, w skład której wchodził Percy Harrison Fawcett, jego starszy syn Jack, przyjaciel syna Raleigh Rimmell oraz dwaj brazylijscy przewodnicy, wyruszyła 20 kwietnia z miejscowości Cuiabá. Ostatnia wiadomość od podróżników pochodziła z końca maja tego roku, z miejsca, które Fawcett nazywał Obozem Martwego Konia. Stamtąd wyruszyli dalej, lecz na tym trop się urywa. W następnych latach podejmowano liczne próby wyjaśnienia ich losów, organizowano ekspedycje poszukiwawcze, nawet jeszcze po drugiej wojnie światowej. Nigdy nie odnaleziono ani podróżników, ani ich ciał. Los Fawcetta do dziś pozostał nieznany... – Marta przerwała, biorąc do ręki książkę. – Przeczytam ci ostatnie zdania z jego dziennika, napisane przed ostatnią wyprawą:

To, co widziałem, wystarcza, by wyruszyć na nową ekspedycję. Jak ciekawej natury są te poszukiwania, w dostatecznym stopniu wykażą dalsze rozdziały. Jestem pewien, że z odpowiednimi towarzyszami, przy

dobrej organizacji i znajomości właściwej drogi, taka wyprawa musi zakończyć się powodzeniem. Próbowałem dojść do celu z trzech stron, a rzeczy, które przy tym widziałem, uzasadniają każde ryzyko podjęte po to, by zobaczyć więcej. Sprawozdanie zaś z tej wyprawy po powrocie może wstrząsnąć światem!

– Brr! – Wzdrygnął się Emil. – To brzmi...

– Prawda, że to brzmi? On wiedział, czego szuka. Miał dowody, że to istnieje. Jestem o tym przekonana. Nie szukał wałów ziemnych.

– Ale przecież jego trasa jest, jak rozumiem, mniej więcej znana? Gdyby było tam coś do odkrycia...

– Już jego młodszy syn podejrzewał mistyfikację – wyjaśniła. – Fawcett miał dwóch synów. Starszy zaginął wraz z nim. Młodszy, Brian Fawcett, przez całe lata usiłował wyjaśnić zagadkę ich zaginięcia. W wydaniu angielskim napisał między innymi na temat zaplanowanej i podanej do publicznej wiadomości trasy ojca:

Taką drogę ułożył sobie ojciec w roku 1925. Znaczący Brazylii twierdzą, że jest ona niemożliwa do przebycia, a skoro ojciec nie wrócił, może mają rację. Nad terenem, na którym, jak przypuszczał, znajduje się „zaginione miasto”, od lat kursują regularnie samoloty komunikacyjne, ale nikt nigdy nie zameldował o istnieniu śladu jakiegoś starego miasta. Co więcej – ta część kraju nie jest nieznana – i wątpię, czy była nieznana, kiedy ojciec to pisał.

Wprawdzie w owych okolicach – na granicy stanów Goyaz i Bahia – znaleziono pozostałości archeologiczne z prawników, lecz nie było to miasto. Od stu lat znane jest jedno miasto w stanie Piauí, które zwą Sete Cidades – od jego siedmiu cytadel.

Osobiście przekonałem się, że dane ojca dotyczące położenia miasta z roku 1753 są błędne. Żadnego miasta tam nie ma.

– Miasta z 1753? – zainteresował się dziennikarz.

– To kolejna zagadka. Być może właśnie z nim identyfikował Fawcett „swoje” zaginione miasto, ale nigdy tego wyraźnie nie sprecyzował. Chodzi o monumentalne ruiny, na które przypadkowo

natknęła się w dżungli portugalska wyprawa z 1753 roku. Zostały szczegółowo opisane w sprawozdaniu do dziś przechowywanym w Bibliotece Narodowej w Rio de Janeiro. Występuje tam jako Manuskrypt 512. Jest nawet dostępny w zasobach internetowych. Z korespondencji Milczanowskiego wynika, że on również przeglądał go online, a nawet próbował tłumaczyć na podstawie tłumaczenia angielskiego. Fawcett nazwał je umownie „sprawozdaniem Raposo” i w swoim dzienniku zamieszcza dokładne jego streszczenie oraz próby lokalizacji miasta. W tym samym manuskrypcie są także obszerne wzmianki o tak zwanych „kopalniach Muribeki”: kopalniach srebra – a może także innych cennych kruszców lub minerałów – które znajdowały się gdzieś w okolicach ruin miasta. Możliwe, że srebrna figurka ma z nimi jakiś związek. Muribeka był Portugalczykiem, który większość życia spędził wśród Indian i ponoć na przełomie XVI i XVII wieku jako pierwszy Europejczyk je odkrył, a nawet ponoć mocno się na tych kopalniach wzbogacił. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Melchior Diaz Moreyra, Muribeką nazywali go Indianie. Tak czy owak tajemnicę starożytnych kopalń zabrał ze sobą do grobu, a Indianie nie puściliby pary z ust nawet na torturach, choć wielu poszukiwaczy skarbów próbowało je później odszukać. Wyprawa z 1753 roku również została zorganizowana właśnie z ich powodu, jednak ona też nie osiągnęła celu. Do dziś ich nie odnaleziono. Fawcett był pod wielkim wrażeniem tego manuskryptu, który brzmi jak rzeczowe sprawozdanie zawodowego żołnierza. Z tym, że Fawcetta interesowało przede wszystkim tajemnicze miasto, na które uczestnicy wyprawy natknęli się przypadkiem, блądząc w puszczy. Z raportu wynika, że były to całkowicie opuszczone, lecz dobrze zachowane pozostałości dużego miasta otoczonego górami – albo wysokimi skalistymi wzgórzami – z okazałymi murowanymi budynkami oraz ulicami przecinającymi się pod kątem prostym. Portugalczyki chodzili po ruinach z bronią w pogotowiu, obawiając się dzikich ludzi lub zwierząt, ale miasto było wyludnione, całkowicie wymarłe, tylko roślinność powoli je zagarniała. Dowódca opisał to później z detalami w swoim sprawozdaniu. Na głównym placu stała kolumna z czarnego kamienia, ze świetnie zachowanym posągami brodatego mężczyzny wskazującego wyciągniętą

ręką na północ. Ściany budynków ozdabiałały nieznane hieroglify...

– Napisy? Może te same, które są na naszej figurce? – wtrącił Żądło.

– Możliwe. Zostały odwzorowane w manuskrypcie. Są podobne, ale trudno stwierdzić, czy chodzi o to samo pismo. Znaki nie powtarzają się.

Dziennikarz zamyślił się.

– Wspomniałaś, że niektórzy uznawali go za nawiedzonego. Mieliliśmy do tego wrócić. Jest jakiś powód? – zapytał po chwili.

– Racja. Nie tyle uznawali za jego czasów, ile uznają teraz – odparła. – Dla współczesnych był autorytetem, podziwiali go. Dopiero dziś, po latach, próbują go osądzać. Fawcett nie odrzucał okultyzmu jako dziedziny poznania. Prawdopodobnie wierzył też w istnienie pracywilizacji. Wiesz już, że w tamtych latach te tendencje były popularne. Nie on jeden był ich wyznawcą. Naziści rozpowszechnili okultyzm, który służył im do uzasadniania swojej ideologii, ale zaczął być modny już długo przed nimi, jeszcze w XIX wieku. Do dziś ma on w końcu wielu wyznawców. Ludzie chyba nigdy nie wyzbędą się potrzeby wiary w siły nadprzyrodzone. Dlatego też ochoczo przypisują Fawcettowi własne przekonania. Wiarę w posłannictwo Atlantów, czyli nieśmiertelnych mieszkańców mitycznej Atlantydy, w duchy, misje, magię, i tak dalej. Inni z kolei z tego samego powodu go lekceważą. Choć sam Fawcett nigdy się na ten temat nie wypowiadał, przynajmniej nie wprost. Mówił tylko, że jego odkrycia wstrząsną nauką. Nie użył ani razu w swoim dzienniku nazw Atlantyda czy El Dorado. Pisał o „mieście” i tylko tyle. Jeśli nawet miał jakieś teorie na temat pochodzenia tego miasta, to nigdy ich nie zdradził.

– Ale może w to wierzył? W te okultystyczne teorie?

– Może. Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Moim zdaniem to zupełnie nieistotne.

– Kiedy ja tego wcale nie neguję! – zastrzegł się. – Tylko się zastanawiam. A ty nie wierzysz w istnienie pracywilizacji?

Marta uśmiechnęła się niepewnie.

– Nie zastanawiałam się nad tym za bardzo – powiedziała zakłopotana. – Jestem naukowcem, przywykłam do racjonalnych

wniosków. Tak mnie uczono. Czy wierzę... To atrakcyjna teoria, wyjaśniająca w prosty sposób wiele niejasności. Tyle że nie popierają jej żadne racjonalne dowody...

– Ale przesłanki owszem. Na przykład wspólne motywy w architekturze, sztuce czy mitach ludów z różnych kultur, które nie miały ze sobą styczności. Jak piramidy w Egipcie oraz w Ameryce. Albo ten posąg brodatego mężczyzny, który stał na placu w mieście opisanym w manuskrypcie. Z tego co wiem, Indianie nie mają zarostu. Przecież coś musi się za tym kryć. Chyba że założyć, że miasto zbudowali nie Indianie, tylko starożytni Europejczycy, którzy odkryli Amerykę wiele lat przed Kolumbem?

– Na przykład Fenicjanie. Są takie hipotezy – przyznała. – Ech, zadajesz pytania, na które nie ma odpowiedzi! A raczej każdy ma inną. Być może są to tylko pewne archetypy, które mamy zakodowane w zbiorowej podświadomości?

– To brzmi jeszcze bardziej nieprzekonująco od istnienia praźródła. Czy pracywilizacji, jak mówiłaś – upierał się dziennikarz.

– Zostawmy to archeologom, ewentualnie poszukiwaczom sensacji. To temat na bardzo długą dyskusję, tymczasem odbiegliśmy od tematu. – ucięła Zabłocka. – Masz jeszcze jakieś pytania? W kwestii Fawcetta?

Emil rzucił okiem na zegar. Zrobiło się późno. Złął się, że Marta chce go spławić. Zauważyła to i zaprotestowała:

– Nie chodzi o czas! Nigdzie się nie spieszę. Jeszcze nie chodzę spać z kurami. Po prostu zagiąłeś mnie tą pracywilizacją. Chyba w tym temacie dogadałbyś się z Fawcettem lepiej niż ze mną. Wolę stać na pewniejszym gruncie – zażartowała, podnosząc się. – Zrobię jeszcze herbaty.

Poszedł za nią do kuchni. Bolero spał na parapecie tak, jak go zostawili. Gdy Emil podrapał go delikatnie za uchem, zamruczał, nie otwierając oczu.

– I kompletnie nie wiadomo, co się stało z Fawcettem? – zapytał, gdy nastawiła czajnik. – Jakies podejrzenia?

– Wszystko mogło przydarzyć się w tej dżungli. Choroby, atak drapieżników albo dzikich Indian. Mogli się zagubić, umrzeć z głodu...

– Mówiłaś, że znał dżunglę jak nikt. Nie był tam po raz pierwszy.
– To prawda. Jednak faktem jest, że z tej wyprawy nie wrócił ani on, ani żaden z jego towarzyszy.

– Były wyprawy ratunkowe. Nie znaleziono ciał.

– To też fakt. Natomiast były też pogłoski, nawet całkiem sporo.

Nie wszystkie wiarygodne, niektóre ewidentnie rozpowszechniali wariaci. Ale kilka brzmiało całkiem wiarygodnie. Ludzie zgłaszali się z nimi zarówno do władz czy gazet, jak i do rodziny, napisał o tym w epilogu do dzienników ojca jego syn Brian Fawcett. Ktoś na przykład spotkał w dżungli starego brodatego białego człowieka, który żył wśród Indian. Nie wiadomo, czy dobrowolnie, czy jako więzień. Świadcowie to więcej niż jedna osoba, i raczej poważni podróżnicy, naukowcy, nie zwykli łowcy sensacji. Było to wiele lat po zaginięciu Fawcetta. Jeden z nich utrzymywał, że ten człowiek był niemy, obłąkany lub cierpiał na starczą demencję. Niewykluczone zresztą, że udawał. Drugi twierdził, że po prostu nie chciał rozmawiać, jakby się czegoś obawiał. Unikał obcych, w szczególności Europejczyków. Posługiwał się jednak językiem angielskim. Brian nie był jednak do końca przekonany i ostatecznie tych relacji nigdy nie zweryfikowano.

– Dziwne...

– No, trochę dziwne – zgodziła się. – Wypijemy herbatę tutaj?

– Chętnie – zgodził się. Tu było przyjemniej. I nie musiał patrzeć na japońskie drzeworyty, które podarował Marcie, gdy pracowali wspólnie nad wyjaśnieniem zagadki sportretowanej na nich tajemniczej gejszy, a które wciąż wisiały nad kanapą w pokoju dziennym. Obrazy za bardzo przypominały mu czasy, gdy byli sobie bliscy. Byli? Zreflektował się. Jego uczucia się nie zmieniły. Nawet jeśli Marta już ich nie odwzajemniała. Nie miał nikogo bliższego. I nie będzie miał.

Posiedzieli jeszcze ze dwadzieścia minut, popijając herbatę i rozmawiając o różnych rzeczach, sprawę Fawcetta na razie zostawiając na boku. W końcu dziennikarz zaczął się zbierać do wyjścia. Wrócili do pokoju, by mógł zabrać swoje rzeczy, przede wszystkim notatki, których potrzebował na bieżąco. Pakował je właśnie do plecaka, gdy Marta uderzyła się otwartą dłonią w czoło.

– Jasna cholera! – zawołała. – Ale ze mnie demencja... Miałam

jeszcze ciasto i zapomniałam je podać!

– Nie szkodzi, daj spokój.

– Jak to nie szkodzi? Pani Renia je upiekła! Specjalnie dla ciebie. Na pewno zapyta, czy ci smakowało... Zaczekaj, zaraz ci je spakuję, będziesz miał na później.

Nie protestował więcej, zresztą nie dała mu szansy. Wybiegła. Czekał, wziął do ręki jeden z albumów z kolekcji Milczanowskiego. Otworzył mniej więcej na środku, przerzucił kartki. Aż nagle jego oko przyciągnęła reprodukcja jakiegoś obrazu. Na tle dżungli kwitł wielki, piękny, różowawy kwiat. Od razu rozpoznał ten kształt.

– Marta, znasz ten obraz? – zapytał, gdy wróciła ze sporym zawiniątkiem, które od razu włożyła mu do plecaka. – Co to za kwiat? Dlaczego jest w tym albumie?

Zerknęła i uśmiechnęła się.

– A! Piękny, prawda? To obraz Martina Johnsona Heade'a z 1871 roku – odczytała napis pod zdjęciem. – A ten kwiat to legendarna orchidea, zwana orchideą Cattleya, a także królową orchidei. Słynny storczyk. Został odkryty przez angielskiego przyrodnika Williama Swainsona w 1818 roku, gdzieś w Ameryce Południowej. Pewnie stąd wziął się w tym albumie. Wiąże się z nim zresztą kolejna ciekawa historia. Oficjalnie podał on, to znaczy ten Swainson, że odkrył nowy gatunek orchidei w górach Organ, około stu kilometrów od Rio de Janeiro. W rzeczywistości w podanej lokalizacji nigdy nie potwierdzono występowania tego kwiatu. Prawdopodobnie Swainson specjalnie podał fałszywe miejsce swojego odkrycia. Nie pytaj dlaczego. Być może chciał ją mieć na wyłączność. Ale i tak mu się to nie udało. Swoją nazwę storczyk zawdzięcza wcale nie swemu odkrywcy, lecz bogatemu hodowcy orchidei, właścicielowi jednej z największych ówczesnych oranżerii, Williamowi Cattleyowi, u którego po raz pierwszy zakwitła. Było to bodajże w listopadzie 1818 roku, a więc mniej więcej w tym samym czasie co wyprawa Swainsona. Zagadkowe, co? Świetny motyw na intrygę kryminalną z niezwykłą, aż do tamtej pory nieznaną rośliną w roli głównej. W swoim czasie pasjonowała mnie ta historia. Wiesz, że kocham storczyki. – Jeszcze raz przyjrzała się reprodukcji.

Emil nie miał pojęcia, że kocha storczyki, wolał się jednak do tego

nie przyznawać. Wiedział, że Marta zna się na kwiatach i interesuje się nimi od dawna, ale ich nazwy stanowiły dla niego niemożliwe do zapamiętania zlepki liter bądź dźwięków. Rozróżniał wyłącznie róże, konwalie, tulipany i stokrotki. I to również z wielkim trudem.

Tymczasem Zabłocka kontynuowała:

– Orchidea Cattleya w naturze występuje tylko w Ameryce Południowej i Środkowej, gdzie rośnie w lasach deszczowych, w górach, oraz u wybrzeży oceanu, na wydmach. Obecnie jest dość powszechnie hodowana i dostępna w dobrych kwiaciarniach lub na zamówienie. Droga, lecz popularna wśród hodowców i koneserów. A dlaczego pytasz?

– Bo widziałem te kwiaty na pogrzebie Milczanowskiego. Interesujący zbieg okoliczności, nie uważasz?

Wzruszyła ramionami.

– Bo ja wiem... – odparła z wahaniem. – To może być po prostu zbieg okoliczności. One naprawdę nie są aż taką rzadkością.

– Może masz rację. Ale ja nie wierzę w zbiegi okoliczności.

Podjadę po ciebie jutro o dwunastej. Do muzeum?

– Nie, wezmę dzień wolny. Tutaj.

– Okej. Uciekam.

Przeszli do przedpokoju. Gdy się ubierał, z kuchni przydreptał Bolero. Miauknął, patrząc mu w oczy. Emil przyklęknął, by go pogłaskać. Wtedy dopiero kot rozmiauczał się na dobre. Jeszcze na schodach dziennikarz słyszał jego żalosny lament. Na dworze było ciemno i znowu lało. Jadąc wzdłuż parku Oliwskiego, a następnie skręcając w stronę Wrzeszcza, czuł się tak, jakby ścigały go wyrzuty sumienia.

* * *

– A jeśli on odnalazł to, czego szukał? – zapytał Emil, nie odrywając wzroku od szosy. Wycieraczki pracowały miarowo, widoczność nie była zbyt dobra. Od samego rana na przemian padało i mżyło. Marta, zaskoczona, uniosła głowę znad notatnika, w którym

zapisane miała pytania do rzeczoznawcy.

– Kto? – zapytała.

– Fawcett...

Zamknęła notes, wzdrygnęła się i zapięła kurtkę pod szyję. Ciemnoniebieski polar idealnie współgrał z rdzawą barwą jej włosów, tego dnia upiętych na karku w ciasny węzeł. Wyglądała świeżo i atrakcyjnie. Żądło z niechęcią pomyślał o własnej, wymiętej po nieprzespanej nocy, facjacie. Rano znowu nie zdążył się ogolić. Marta przetarła chusteczką zaparowane okulary do czytania, po czym schowała je do torebki. Na koniec wzruszyła ramionami.

– Też masz zapłon – westchnęła. – Włączyłbyś lepiej ogrzewanie. Wilgoć włazi mi dosłownie do gardła. Nie mam pojęcia, czy odnalazł, choć teoretycznie mogło tak być. Ale gdyby nawet, to i tak na powrót zaginęłoby wraz z nim.

Notes schowała do kieszeni i dłonią starła parę z bocznej szyby, by wyrzucić na zewnątrz. Dojeżdżali do Jastarni. Dziennikarz włączył nawiew, wymyślając sobie w duchu, że sam o tym wcześniej nie pomyślał. Na Hel jedzie się długo, w samochodzie rzeczywiście panowało przejmujące zimno. Otworzył usta, by coś odpowiedzieć, gdy niespodziewanie rozdzwoniła się jego komórka. Wyjął telefon z kieszeni i rzucił okiem na wyświetlacz: Zebra. Emil nie posiadał systemu głośnomówiącego, choć od dawna obiecywał sobie, że wreszcie go sobie sprawi.

– To Marek – mruknął. – Może coś ważnego. Zjadę na pobocze.

– Tam masz zatoczkę. Daj, odbiorę... Halo? Tak, to ja. Cześć.

Jesteśmy w drodze do Juraty, do... No, tak. Zaczekaj, już ci go daję, tylko niech najpierw gdzieś zaparkuje... Czy coś się stało?

Z niepewną miną oddała telefon Emilowi. Słuchał przez chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy, po czym rozłączył się, uchylił okno, może na centymetr, i zapalił papierosa. Zabłocka czekała w milczeniu, aż sam się odezwie.

– No to mamy problem. Właśnie dostali wyniki autopsji. Modry nie powiesił się sam. Został zamordowany, a samobójstwo upozorowano – powiedział.

– To pewne?

- Teraz już tak. Od początku to podejrzewałem.
- No to...
- Do roboty. Zanim znowu kogoś szlag trafi.

Ruszył z wizgiem.

– Daleko jeszcze? – zapytała. – Jesteśmy umówieni? Czeka na nas?
– Blisko, zaraz dojeżdżamy. Pewnie, że czeka. Przecież nie wlokłbym cię taki szmat drogi w ciemno!

– Tak się zastanawiam. Co było w tej zamurowanej skrzynce razem z figurką? Mapy i zdjęcia?

– Podobno. O ile to prawda, bo wszystko zaginęło. A co?

– Może masz rację i te mapy wskazywały lokalizację zaginionego miasta. Może właśnie z tego powodu znalazły się w posiadaniu gestapo. Ktoś mówił.. ty albo Zebra... że było tam jakieś niemieckie nazwisko?

Emil skinął głową.

– Było, Modry je pamiętał. A nawet stopień. Mam to gdzieś zapisane.

– To podeślij mi, poszperam w archiwum...

– Mam lepszy pomysł. Podsunę je Bartkowi. Jeśli drań istniał, ewentualnie ma potomków, młody go znajdzie.

– Okej. To jakby coś znalazł, niech się ze mną skontaktuje. Mailem albo na Skype'a.

– Tylko że...

Żądło urwał. Marta spojrzała na niego kątem oka. Niby nie odrywał wzroku od trasy, ale wyglądał na zakłopotanego.

– Co jest?

– On nie wie, że...

– Zaraz, chwileczkę... Nie wie o nas? Nie powiedziałaś mu?!

Milczał.

– No wiesz, to nieuczciwe. – Podsumowała. – Przecież to już prawie dorosły chłopak, ma prawo znać sytuację. Trudno, postaram się nie wygadać. Ale będziesz musiał w końcu mu powiedzieć!

– Wiem. Za chwilę dojeżdżamy.

Spokojna ulica biegła wzdłuż morza, sprawiała wrażenie uśpionej, podobnie zresztą jak całe miasteczko, latem pełne turystów z całego świata, o tej porze roku opustoszałe i niemal bezludne. Emerytowany profesor Leon Dutkiewicz – rzeczoznawca, specjalista od sztuki starożytnej i egzotycznej – mieszkał w niewielkiej, lecz zadbanej starej willi, położonej w głębi ogrodu, na który składały się głównie wysokie drzewa oraz trawnik, o tej porze pokryty zwiędłymi liśćmi. Chwilę trwało, zanim znaleźli wjazd, trzeba było wjechać z boczną uliczką, bo od frontu ciągnął się tylko opleciony żywopłotem parkan. Na dźwięk dzwonka brama otworzyła się automatycznie. Gospodarz oczekiwał ich osobiście w drzwiach oszklonej werandy: był to chudy, wysoki starzec z orlim nosem, pod osiemdziesiątkę, jednak wciąż trzymający się prosto, o władczym spojrzeniu. Swobodnie, lecz dobrze ubrany w kremowy sweter typu polo i jasne flanelowe spodnie.

– Zapraszam – krótkim gestem wskazał gościom drogę, przepuszczając ich w przejściu, zaraz po formalnym powitaniu i wzajemnym przedstawieniu się. Nie wydawał się zbyt wylewny, jednak zachowywał się zgodnie ze wszelkimi standardami *savoir-vivre*'u. Wnętrze domu także było surowe. Ciemne, oszczędne w ozdoby, lecz eleganckie. Wysprzątane. Wszystko po drodze lśniło jak nawoskowane.

– Pani Jadziu. – Dutkiewicz uchylił drzwi, zapewne do kuchni mieszczącej się z prawej strony na parterze. – Prosimy o kawę i ciasteczka. Oczywiście do gabinetu.

No tak. Wyjaśniło się. Może sobie pozwolić na gosposię – pomyślała uszczypliwie Marta. Jej, zwyczajnej muzealniczki, nie stać było nawet na nowy odkurzacz. Wydawszy polecenie, gospodarz poprowadził ich dalej. Minęli drewniane schody prowadzące na piętro: wejście do gabinetu znajdowało się za nimi, w wąskim, ciemnym korytarzyku, odizolowanym od reszty domu. Idealnie położone miejsce do załatwiania ciemnych interesów – uśmiechnął się w duchu Emil.

Spory, kwadratowy pokój stanowił gustowne połączenie salonu z biblioteką. Na środku stał wygodny komplet wypoczynkowy, całkowicie współczesny, w kolorze *écru*, ściany natomiast zasłaniały fotografie, dyplomy, obrazy w ciężkich ramach oraz rzeźbione półki

z książkami. Mnóstwo półek z mnóstwem książek. W rogu wybudowano kominek, nowy, lecz stylizowany na stary. Niestety, był akurat wygaszony. Najpewniej znak, że wizyta nie ma prywatnego charakteru i mamy się streszczać, zanim zmarzniemy – domyślił się dziennikarz. Z kolei masywne, antyczne biurko z ultranowoczesnym sprzętem komputerowym, ustawione pod oryginalnym francuskim oknem wychodzącym na taras, wskazywało, że pomieszczenie służy także jako pokój do pracy. Z okna rozpościerał się melancholijny widok na rozległy ogród w tle.

– Bardzo proszę, usiądźmy. – Profesor zajął fotel, pozostawiając im niską kanapę. – Za chwilę, mam nadzieję, będzie poczęstunek. Państwo do mnie w sprawie...

– Chcielibyśmy zapytać o pewien posążek – wyjaśnił Emil.

– Ach, tak. Racja. Czyli nie chodzi o ekspertyzę. Już sobie przypominam. Jest pan tym dziennikarzem...

– Zgadza się.

– Tak, tak, oczywiście. Teraz kojarzę. Proszę wybaczyć. Cóż, wiek... – uśmiechnął się nieco kokieteryjnie. Zabłocka przysięgłaby, że udaje. Wiek nie miał tu nic do rzeczy: facet był nad podziw przytomnym i pewnym siebie sukinsynem. – A pani to...

– Pani pomaga mi w zbieraniu materiałów – zaczął dziennikarz. Uprzedzał telefonicznie Dutkiewicza, z kim przyjedzie.

– Doktor Marta Zabłocka – przerwała mu. – Pracuję w muzeum.

– Ach, tak... – Przyjrzał jej się uważnie, ostentacyjnie zsuwając na czubek nosa okulary w złotych oprawkach. Z trudem udało jej się zachować spokój, tyle było w tym spojrzeniu zamierzonego protekcjonalizmu.

Na szczęście w tym momencie do pokoju wsunęła się schludna kobieta w średnim wieku, pchając przed sobą wózek na kółkach, zastawiony smakołykami. Rozstawianie ich na niskim szklanym stoliku zajęło chwilę i rozładowało nieco napiętą atmosferę. Na koniec gosposia – bo chyba musiała to być pomoc domowa – naląka kawy do filiżanek, oczywiście stylowych. Marta od razu rozpoznała znaną kolekcję Rosenthala z początków XX wieku. Gdy już wszystko znalazło się na swoim miejscu, kobieta dyskretnie opuściła pomieszczenie. Nie

uśmiechała się ani nie odezwała słowem. Tak jakby jej w ogóle nie było, a usługa dokonała się sama.

– Proszę się częstować i przejść do konkretów. – Stary mężczyzna zerknął znacząco na secesyjny zegar szafkowy, stojący na gzymsie kominka. – Mamy tylko pół godziny. Następnie mam kolejne spotkanie – dodał z zawodowym uśmiechem.

Emil zerknął na Martę. Zrozumiała, że przekazuje jej inicjatywę. Wyjęła z torebki wydruki i położyła je na stoliku. Był wśród nich jej własny rysunek, a także fotografia oryginału.

– Chodzi o tę lub o bardzo podobną statuetkę – powiedziała. – Czy zetknął się pan już kiedyś z czymś takim?

Facet sięgnął po zdjęcia i zmarszczył brwi. Wyraz jego twarzy wskazywał, że rozpoznaje posążek, a przynajmniej wie, z czym ma do czynienia. Jednak milczał. Dziennikarz wtrącił szybko:

– Podobno kilka lat temu był u pana pewien człowiek, z podobną figurką do ekspertyzy. Czy to prawda?

Dutkiewicz podniósł na niego wzrok. Uśmiechał się.

– Mogłem się tego spodziewać... po dziennikarzu – zaczął z nieukrywaniem rozbawieniem. – Owszem, coś sobie przypominam, choć było to dawno temu. Zgłosił się do mnie pewien człowiek z takim cudem pod pachą, spodziewał się Bóg wie czego. No cóż, żadnej ekspertyzy ode mnie nie uzyskał.

– Dlaczego? – Żądło nie obraził się z powodu insynuacji. Przywykł już do deprecjonowania swojego zawodu przez pewien typ ludzki.

Marta milczała, mierząc Dutkiewicza wzrokiem, w którym kryło się zniecierpliwienie. Profesor także na nią zerknął.

– Tego mógł się pan przecież dowiedzieć od pani – rzucił wyzywająco.

– Najpierw chcielibyśmy wysłuchać pana – odparła bez uśmiechu.

– Cóż. Takie cudo nigdy nie istniało. Nigdy wcześniej ani potem w swojej długiej karierze nie spotkałem się z podobnym kuriozum. To falsyfikat, bezczelna amatorska podróbka...

Facet wyraźnie się zaperzył – pomyślał Emil.

– Amatorska? – podchwyciła Zabłocka.

Gospodarz wzruszył ramionami.

– Może nie tyle amatorska, raczej twór nawiedzonego szaleńca – poprawił się. – Jeszcze raz podkreślam, takie cuda nie istnieją.

– Ta figurka istnieje. A przynajmniej istniała. Co najmniej jedna, i to już przed wojną. Należała do znanego podróżnika. Choć przyznaję, że pańska opinia nie różni się od innych: statuetka już wielokrotnie została uznana za falsyfikat. Bez badań, tylko z tego powodu, że trudno umiejscowić ją w czasie.

– Czy pani sama nie widzi, że to w ogóle jest kulturowy absurd?

– Nie jestem ekspertem od sztuki starożytnej. Gdybym była, nie pytałabym – odparowała.

– To nie jest żadna sztuka starożytna, tylko wytwór szalonego umysłu.

– Jest pan tego pewien?

– A pani uważa, że...

– Nic nie uważam. – Tym razem to Marta wzruszyła ramionami. – Osobiście nie widziałam jej na oczy. Przynajmniej fizycznie. Myślę tylko, że... drogo by kosztowało wykonanie bezsensownego falsyfikatu z litego srebra. Bo ona była ze srebra, prawda? Pan ją przecież widział, dotykał?

Dutkiewicz sięgnął po filiżankę, napił się, przegryzł herbatnikiem. Sprawiał wrażenie zamyślonego, być może jednak chciał tylko zrobić na nich większe wrażenie. Albo zyskać na czasie.

– Jak już wspomniałem, było to dawno. Lata temu, a pamięć już nie ta co kiedyś – odparł w końcu. – Choć takich rewelacji – dodał sarkastycznie – prędko się nie zapomina, to przyznaję. Być może była ze srebra. Z jakiegoś stopu na pewno. Być może oksydowanego. Nie wnikałem, bo, jak mówię, nie potraktowałem tego serio. Nie wydawało mi się cenne pod żadnym względem. Nie sądzę, by udało się coś takiego dobrze sprzedać, bo i w jakim charakterze? Bardzo prawdopodobne, że odesłałem klienta do jubilera. Dziś bym tak zrobił. Takie zabawki to nie moja bajka. Z pewnością nie zażądałem od tego człowieka honorarium, choć poświęciłem mu swój cenny czas. – W tym momencie po raz kolejny rzucił okiem na zegar. Znacząco.

Jednak dziennikarz to zignorował.

– Czy mógłby nam pan w takim razie opisać ten posążek? –

poprosił grzecznie.

Gospodarz zachnął się, lecz w końcu odpowiedział z niechęcią:

– Na tyle, na ile pamiętam – zastrzegł. – Nie jestem już młody, od tamtej pory widziałem dziesiątki różnych figurek, szczegóły mogą mi się mylić. Była raczej niewielka, około trzydziestu centymetrów.

Wolnostojąca, nie wkomponowana w niszę, jak ta na zdjęciu. Bardziej przypominała ten rysunek. Na pewno z metalu, być może z jakiegoś stopu srebra, raczej niezbyt cennego, bo zwróciłoby to moją uwagę, ale nie powiem tu nic pewnego: była mocno zaśniedziała. Nie przypominała niczego co znam, nie dała się sklasyfikować. Dziwaczna stylizacja: ni to indiański totem, ni to fenicki bożek – zaśmiał się. – Zabawne! Cudo niewido, jednym słowem...

– Totem? – zainteresował się Emil.

– Proszę mnie nie łapać za słówka, tak tylko sobie powiedziałem. Więcej już państwu nie pomogę. W tej materii jestem bezradny, a nasz czas właśnie minął. – Wstał z fotela i skłonił się afektownie.

Stary błazen, pomyślała Marta. Podnieśli się również.

– A można wiedzieć, do czego w zasadzie ma służyć ta rozmowa?
– zapytał jeszcze, odprowadzając ich do drzwi.

– Piszę reportaż i potrzebowałem tych informacji. Bardzo dziękujemy za pomoc – wyjaśnił dziennikarz.

– A nie ma to przypadkiem związku z jakimś śledztwem? Pan jest przecież dziennikarzem śledczym?

– Zgadza się. Chętnie prześlę panu gotowy materiał we właściwym czasie. Piękny ma pan dom!...

– Dziękuję. Spadek po rodzinie. – Dutkiewicz zmrużył oczy. – W takim razie... żegnam się z państwem. Służę, gdyby potrzebowali państwo ekspertyzy. Oczywiście, prawdziwego dzieła sztuki.

– Akurat, spadek po rodzinie! – parsknęła Marta, gdy już wsiedli do samochodu. – To stary gangster. Popytałam. Już w PRL-u wysługiwał się, komu trzeba. Nikt nie dorobi się takiego majątku z ekspertyz dzieł sztuki, a jego rodzina pochodziła z Warszawy, nie stąd. Dostał tę chałupę jako zapłatę za usługi, jeszcze za komuny. Nieźle ją odnowił, bo ponoć była w dość kiepskim stanie. Nie spodziewałam się, że aż tak luksusowo mieszka...

– Zebra coś wspominał. Kij mu w oko – odparł Żądło. – To stary pierdoła. Już niegroźny. Wracamy.

Znowu mżyło, więc włączył wycieraczki. Czekala ich długa droga.

Tymczasem stary człowiek od razu po wyjściu niepożądanych gości pospiesznie wrócił do gabinetu. Był poruszony. Odprawił gosposię, która nadjechała właśnie z wózkiem, by zabierać się za sprzątanie.

– Później, pani Jadziu – splawił ją. – Zawołam panią. Teraz proszę wyjść. Muszę pilnie zadzwonić...

Sięgnął po telefon, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi.

Jakieś półtorej godziny później Żądło zaparkował pod domem Marty. Spokojna oliwska uliczka nawet o tej porze roku wydawała się zielona. Może dlatego, że w ten sposób zakodowała się w jego pamięci. Na parapecie okna, od wewnątrz, wylegiwał się Bolero – wyraźna ruda plama w tle mokrej szarej szyby, w której przeglądały się szarpane wiatrem, nagie gałęzie drzew.

– Wejdiesz? – zapytała.

– Może nie dziś – odpowiedział. – Chciałbym jeszcze porozmawiać z Zebrą. Przy okazji... zapomnielibym...

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej myszkę Bolera.

– Oddaję. Wczoraj zabrałem przez nieuwagę.

Marta pokręciła głową, delikatnie odpychając jego dłoń.

– Trzymaj ją. Zwrócisz mu osobiście. On na ciebie czeka. Zadzwon, jak tylko będziesz miał coś nowego.

– Pewnie – uśmiechnął się. Miał ochotę przytulić ją na pożegnanie, ale... w końcu nie odważył się tego zrobić.

* * *

– Nie chcę cię martwić, ale inni rzeczoznawcy Milczanowskiego,

do których dodzwonili się moi ludzie, twierdzą mniej więcej to samo – oznajmił komisarz. – Wszyscy przyznali, że w kwestii tej figurki byli bezradni, nikt nie potrafił jej ocenić ani wycenić.

– Tymczasem Modry został zamordowany...

– Bez dwóch zdań. To oficjalne wyniki sekcji i badań laboratoryjnych. Ktoś go najpierw podduśił, a potem powiesił. Stało się to wczesnym wieczorem, krótko potem, jak wrócił od ojca z domu opieki. Stąd wniosek, że morderca prawdopodobnie już na niego czekał, boś ty stał przecież pod jego domem i nie widziałeś, żeby ktoś tam w tym czasie wchodził. Być może zabójca był już na klatce schodowej i Modry sam go wpuścił do mieszkania. Dobrowolnie lub nie. Podobnie zresztą jak było w przypadku Milczanowskiego. A z tego by wynikało, że obaj znali sprawcę. Albo sprawców, bo tego nie wiemy, śladów w obu przypadkach brak.

– I co teraz?

– No wiesz, robimy co możemy. Na razie badamy kontakty Modrego, sprawdzamy jego billingi i komputer. Ale już widzę, że nic z tego nie będzie. Jeśli Modry i Milczanowski byli w coś wmieszani, to dobrze się kryli.

– Albo nie byli wmieszani i dlatego nic podejrzanego tam nie ma. Po prostu komuś z jakiegoś powodu zawadzali. I raczej na to bym stawiał... choć wiem, że musicie brać pod uwagę każdą ewentualność. Jednak obawiałbym się, że coś może teraz grozić córce Milczanowskiego. Może powinna dostać ochronę? – zauważył Żądło.

Zebra skinął głową.

– Nie postawimy policjanta za jej plecami, ale mam zamiar zwiększyć patrole w pobliżu ich domu – obiecał.

– Zawsze coś. A co z tym bezdomnym? Nie udało się go zlokalizować?

– Nic. Musiał wynieść się z Trójmiasta, bo nikt go od tamtego czasu nie widział. Kamień w wodę.

– Czyli jesteście w dupie.

– No, nie przesadzaj...

– Stoimy w miejscu. Nic nie mamy. Nie wiem jak ty, ale ja nie mam pojęcia, jak to dalej ruszyć.

– Robimy swoje. Jest kolejna ofiara, więc sytuacja się zmieniła. Marta przesłała mi rysunek i zdjęcie tej statuetki, rozesłaliśmy gdzie trzeba. Prokurator dał mi wolną rękę, zwróciłem się już do kolegów z Europolu, pomogą nam szukać. Jeśli ona wyparowała z Polski, to gdzieś się prędzej czy później pojawi.

– Sprawdzą domy aukcyjne?

– Tak, będą próbować.

– Powinniśmy też szukać tych zaginionych dokumentów Milczanowskiego. Tam może być odpowiedź, której potrzebujemy. Moim zdaniem miał je Modry.

– Moim też – przyznał Zebra. – Za dużo wiedział. I bardzo możliwe, że z tego powodu zginął.

Na tym w zasadzie skończyli rozmowę. Dziennikarz odłożył telefon i włączył laptopa. Wszedł na komunikator Skype.

Cześć, synu, jesteś tam?

Za chwilę pojawiła się odpowiedź:

A nie widać? Masz sprawę?

Mam. Chciałbym, żebyś mi sprawdził nazwisko: Kriminalinspektor Hans Schoch. Wszystko, co uda ci się o nim znaleźć.

OK. A kim jest ten kolo?

Raczej był. To gestapowiec z Gdańska. Potrzebuję go pilnie. Jego ewentualnych potomków też.

Złatwione. Wszystko o gestapowcu. Dam ci znać, jak tylko gościa namierzę.

Dzięki, młody :) A co u ciebie?

Spoko. A u was?

Też spoko.

Emil skłamał z premedytacją, nie miał jednak weny, by teraz drażyć temat rozstania z Martą. Zaczekał na odpowiedź, która pojawiła się po chwili:

Dobra, to idę szperać. Nar.

* * *

Nazajutrz

Tym razem brama „Domu Pod Modrzewiem” stała otworem, Żądło jednak nie wjechał, tylko – tak jak poprzednim razem – zaparkował przy ulicy, a na teren ośrodka wszedł pieszo. Idąc zadrzewioną alejką, już z daleka zauważył na podjeździe kilka samochodów. Widocznie to dzień albo godziny odwiedzin. No tak, sobota – zauważył. Czas dla seniorów...

Park oraz przylegający do niego ogród były opustoszałe, pogoda nie sprzyjała spacerom. Siąpiło bez przerwy, nisko wisiała mgła. Z równie pustego półokrągłego tarasu, przez przeszklone drzwi, wszedł do środka. Ujrzał przyjemny rodzinny dom: jedyne, co odróżniało go od prywatnej willi, to recepcja – zupełnie jak w eleganckim hotelu – z ładną, uśmiechniętą recepcjonistką za kontuarem. Młoda kobieta mogła być pielęgniarką, ponieważ miała na sobie schludny biały uniform. Na jego widok uniosła głowę znad komputera i powitała go z uśmiechem:

– Dzień dobry. Pan do kogoś w odwiedzinie?

– Tak. Do pana Jana Modrego – odpowiedział pewnym siebie głosem, odpowiadając uśmiechem na uśmiech.

Kobieta przyjrzała mu się niepewnie, uśmiech zbladł.

– Ale... Pan jest z rodziny? – zapytała z wahaniem.

– Nie. Jestem... Byłem znajomym pana Zenona Modrego.

– Niestety, nie mogę pana wpuścić. – Rozłożyła ręce. – Takie mamy zasady. Musimy przede wszystkim dbać o spokój naszych podopiecznych. Z pewnością pan to rozumie. Chyba że uzyskałby pan zgodę szefowej. Ale ona w tej chwili jest nieobecna. – Ponownie rozłożyła ręce w geście uprzejmej bezradności.

– Rozumiem – odparł. – Więc może innym razem. Przyjemnie tu u państwa...

Rozejrzał się: w głębi otwarty salon, gdzie przed telewizorem i przy stolikach usadowiło się wraz z rodzinami kilkoro starszków. Pomieszczenie wychodziło na taras, było obszerne, lecz zarazem jasne, wesołe i przytulne.

– Prawda? – ucieszyła się recepcjonistka. – Bardzo się staramy, by nasi pensjonariusze czuli się tutaj jak u siebie w domu. Na dole, jak pan widzi, mamy salon z otwartą kuchnią. Starsi państwo chętnie spędzają w nim czas, oglądają sobie telewizję, czytają gazetki albo książki, bo mamy własną biblioteczkę, czasem grają w gry planszowe. Lub po prostu rozmawiają. Wszystko zależy od stanu zdrowia i świadomości. Niektórzy pomagają w przygotowaniu posiłków. Przy ładnej pogodzie spędzają czas w ogrodzie i na tarasie. Na piętrze znajdują się sypialnie, najczęściej dwuosobowe. Tam nasi podopieczni odpoczywają również w ciągu dnia oraz trzymają swoje rzeczy osobiste. Zatrudniamy także rehabilitanta, który przeprowadza zabiegi w razie potrzeby. Nasz dom funkcjonuje na zasadzie domu rodzinnego. Pensjonariuszy jest niewielu, aktualnie około dziesięć osób. Może zechce pan wziąć nasz folder? – Podała mu kolorową reklamówkę.

Przyjął.

– Chętnie, dziękuję. Może sam kiedyś skorzystam – zażartował ponuro. – A pana Modrego nie ma w salonie?

Kobieta ze smutkiem pokręciła głową:

– O nie. Niestety, ale pan Jan nie jest... jego stan zdrowia na to nie pozwala. Od dawna już nie wstaje z łóżka. To jeden z naszych najstarszych pacjentów, ma dziewięćdziesiąt cztery lata. Rozumie pan, praktycznie nie ma z nim kontaktu, więc i tak by sobie panowie nie pogadali...

- Tak, wiem. Myślałem, że może ma przebłąski...
- Ech, już dawno nie. Przykro mi.
- Cóż, rozumiem. Dziękuję.

Drzwi za jego plecami otworzyły się z hukiem, dobiegł go perlisty kobiecy śmiech. Odwrócił się odruchowo i ujrzał dwie młode dziewczyny w służbowych uniformach. Jedna wycofała się z powrotem do pomieszczenia i zamknęła za sobą drzwi. Druga, wciąż się uśmiechając, podążyła w kierunku schodów prowadzących na piętro. W obu rękach trzymała ostrożnie wielki szklany wazon, a w nim... świeży jeszcze bukiet orchidei Cattleya. Rozpoznał je od razu. Dumne białe kwiaty z różowym wnętrzem. Dokładnie takie same jak te z pogrzebu Zygmunta Milczanowskiego.

Zwrócił się z powrotem do recepcjonistki:

- Te kwiaty... są dla pana Modrego, prawda?
- Owszem – odparła zdziwiona. – Koleżanka właśnie zmieniała im wodę. Ale skąd pan wiedział?
- Poznają je. Znam rodzinę, to znaczy krewnych i przyjaciół rodziny. Kwiaty nie są pospolite, dlatego domyśliłem się, że musieli je przynieść... zapewne państwo Wyszkowscy. Zgadza się? – uśmiechnął się konfidencjonalnie.

Pielęgniarka zamrugła nerwowo.

- No tak, zgadza się. – Pochyliła się nad kontuarem i zniżyła głos.
- Powiem już panu w sekrecie, bo w zasadzie nie powinnam, ale skoro państwo się tak dobrze znacie... Ci młodzi państwo po tym, co się stało... Pan oczywiście wie o tej strasznej historii?

– Tak, okropna sprawa...

- No właśnie. Biedny pan Modry. Znaczący się, młodszy pan Modry, bo panu Janowi to zapewne wszystko jedno, i tak się nie orientuje, biedaczek – westchnęła. – Przepraszam, to takie smutne... No więc młodzi państwo Wyszkowscy przejęli opiekę nad naszym panem Janem, choć nie są z rodziny. Szlachetni ludzie, bo inaczej starszy pan trafiłby do opieki społecznej. Odwiedzają go, raz wspólnie, raz on sam przyjechał, pani Dominika też była raz, po pracy. Przesympatyczna osoba. Owoców przywiozła, słodczy, dla personelu także. Te kwiaty też są od nich. Cudowne, nieprawdaż? Choć pewnie muszą być drogie.

Dobrze mieć takich przyjaciół – znowu westchnęła.

– To prawda. Wiem o tym wszystkim. Cóż, skoro nie mogę odwiedzić pana Jana, to już chyba polecę. Spróbuję innym razem. Dziękuję za rozmowę, no i za folder. – Zamachał nim przed jej oczami. – Do widzenia!

Skierował się do drzwi, jednak recepcjonistka zawołała za nim:

– Chwileczkę! Proszę pana!

– Tak? – Zawrócił, w nadziei, że jednak go wpuści na górę.

Chodziło jednak o co innego.

– Czy mógłby pan podać swoje nazwisko? Mam obowiązek odnotować w komputerze każdą wizytę...

– Nie było wizyty! – zaprotestował.

– Ale to też się liczy. Bardzo proszę, nie chcę mieć kłopotów.

– Pewnie, ale nie jestem terrorystą. Moje nazwisko Emil Żądło...

Otworzyła szeroko oczy.

– Ten Emil Żądło?!

– Chyba tak. – Wzruszył ramionami.

– Ale... pan jest z prasy! To nieładnie, że prasa robi z tego sensację...

Przerwał jej:

– Przyszedłem tutaj prywatnie – oświadczył. – Przynajmniej dziś. Jeszcze raz dziękuję za dobre chęci. Do widzenia.

* * *

Kilka dni później

Pogrzeb Zenona Modrego był jeszcze skromniejszy niż Zygmunta Milczanowskiego. Przed wszystkim ludzi było mniej: tylko Wyszkowscy, dwie wiekowe sąsiadki, które zarówno Emil, jak i Zebra od razu rozpoznali po kapeluszach, jeden dawny znajomy ze szkoły (sam się przedstawił, gdy czekali na księdza), ponadto szefowa domu opieki „Pod Modrzewiem”. Tym razem, ponieważ miejsce pochówku znajdowało się w głębi cmentarza, trumna przyjechała na miejsce

karawanem. Nie było mowy pogrzebowej, jedynie młody Wyszowski usiłował powiedzieć kilka słów w imieniu przyjaciół zmarłego przed opuszczeniem trumny do grobu. Dołączyła do niego właścicielka domu seniora, wyrażając głęboki żal w imieniu osieroconego ojca, który ze względów zdrowotnych nie może uczestniczyć w ceremonii. Dominika płakała już od wyjścia z kaplicy, choć na pogrzebie ojca nie uroniła łzy – co o niczym nie świadczy, jak uważał Emil w przeciwieństwie do Marka Zebry, bardziej radykalnego w poglądach. Młoda kobieta podziękowała komisarzowi za zezwolenie na pochowanie „wuja”, twierdząc, że to dla niej ogromna ulga: nie mogła znieść myśli, że dalej będzie „leżał w lodówce”. Policjant wyjaśnił dość chłodno, że prokurator nie wyrażał sprzeciwu, orzeczenie patologa jest jednoznaczne, oficjalny raport na potrzeby dalszego śledztwa w tym przypadku wystarczy, nie było więc przeciwwskazań. Po ceremonii – która nie przyniosła żadnych niespodzianek – uczestnicy nawzajem składali sobie kondolencje. Ponieważ nie był obecny nikt z rodziny, nie wiadomo było właściwie, do kogo je konkretnie kierować. Emil przyjrzał się w tym czasie kwiatom złożonym na świeżo usypanym grobie i od razu rzucił mu się w oczy imponujący wieniec z biało-różowych orchidei. Dyskretnie sprawdził napis na szarfie: „Najukochańszemu Wujkowi – Dominika z mężem”. Zaczekał na dogodny moment, by podejść do dziewczyny i zamienić z nią kilka słów bez świadków. Wciąż płakała. Najpierw złożył jej kondolencje, następnie zapytał, starając się, by zabrzmiało to jak najdelikatniej:

– Zauważyłem wieniec od państwa, przepiękne kwiaty. Zdaje mi się, że widziałem takie same na pogrzebie pani taty...

Podniosła na niego nieco błędny wzrok, zdejmując ciemne okulary, by obetrzeć oczy chusteczką.

– Tak... To storczyki – wyjaśniła. – Ulubione kwiaty mojego ojca. Pochodzą gdzieś z dżungli amazońskiej, pewnie dlatego. Wujek także je lubił, obaj się nimi pasjonowali. Przyznam, że i ja im uległam. Są piękne, przynajmniej one...

– To prawda. Też je podziwiam. Naprawdę pochodzą z dżungli? Uśmiechnęła się blado, przez łzy.

– To znaczy nie te, tylko tak w ogóle. Te kupujemy od

zaprzyjaźnionej florystki. Ma swój salon w tym samym centrum handlowym co moja apteka. Mogę panu dać adres, jeśli chciałby pan zamówić...

– Może kiedyś. Bardzo dziękuję.

Pomyślał, że jego instynktowna teoria podpowiadająca mu, że kwiaty mają znaczenie, właśnie upadła. Dziewczyna szczerze odpowiedziała na pytanie, wszystko zostało wyjaśnione.

– Strasznie mnie to wszystko dołuje – przyznała łamiącym się głosem. – Za dużo już tego... Dobrze chociaż, że mogliśmy go w końcu godnie pochować. Nie wpadniecie panowie na kawę i ciasto?

Dziennikarz obejrzał się na komisarza, który czekał na niego z boku, wyraźnie gotowy do odwrotu.

– Myślę, że nasza obecność mogłaby być krępująca dla reszty gości. Raczej zajmiemy się dochodzeniem. Jeszcze raz: najszczerze kondolencje, pani Dominiko. Wiem, że pan Modry był dla pani jak najbliższa rodzina. Ja również zdążyłem go polubić. Naprawdę bardzo mi przykro...

– Złapcie tych morderców – wyszeptała z determinacją.

Część III

Trzy dni później

Od paru dni krążył bezsilnie po mieście, zastanawiając się, jakim sposobem ruszyć z miejsca sprawę „zaginionego miasta”, jak nazwał ją sobie roboczo dla własnej wygody. Szukając na oślep, czuł się bezradny i podenerwowany. Podziwiał spokój i opanowanie Zebry, który wraz ze swym zespołem prowadził metodyczne śledztwo, wykonując konkretne czynności operacyjne bez zaangażowania emocjonalnego, choć przecież działali teoretycznie pod większą presją niż dziennikarz śledczy „wolny strzelec”. Emilowi zdawały się one czysto mechaniczne, niewynikające z myślenia, tylko z procedur. Wiedział, że się myli, że właśnie te konkretne procedury często prowadzą do celu jak po nitce do kłębka,

jednak sam tak nie potrafił. Między innymi z tego powodu nie wytrwał długo w policji. Jego własne dziennikarskie dochodzenia polegały na czymś innym: na pewnej wizji, która powstawała w umyśle, a następnie na weryfikowaniu jej krok po kroku w trakcie śledztwa. U niego postępowanie musiało być logicznym ciągiem, którego tropem podążał. Tyle że tym razem nie miał wizji, a raczej miał, ale póki co utknęła ona w martwym punkcie. Dlatego zazdrościł przyjacielowi spokoju. Emil osiągnął już ten etap, doskonale sobie znany, kiedy badana sprawa „rzuca mu się na mózg” – jak zwykle wypominała mu Marta – nie pozwalając spokojnie zasnąć w nocy, nie pozostawiając nawet marginesu dla normalnego życia i funkcjonowania. Ani na jakiegokolwiek inne myśli. Prześladowała go, była jak choroba, na którą istnieje tylko jedno lekarstwo: rozwiązanie zagadki. Z czasem zrozumiał, że żyje zagadkami. Od zagadki do zagadki. Może powinienem kupić sobie zeszyt z krzyżówkami – pomyślał z krzywym uśmiechem, zapalając kolejnego papierosa. Szukał po omacku, gdzie popadło, skoro nie mógł inaczej. Oczekując na światło, które rozjaśni mu mózg. Jak na zbawienie.

Poprzedniego dnia prawie przekopał piwnicę Milczanowskiego. Klucze pożyczył od Dominiki. W tym celu pojechał do centrum handlowego na obrzeżach miasta, gdzie pracowała w jednej z sieciowych aptek. Zaczekał w kolejce, aż będzie wolna, przy okazji kupił nawet listek aspiryny. Niemal jej nie poznał w białym fartuchu farmaceutki. Wyglądała inaczej, poważniej, zaimponowała mu kompetencją. Potem poszukał kwaciarni, o której wspominała. Duża i ekskluzywna, była tylko jedna, pełna zapachów kwiatów i orientalnych kadzideł, a także sprzedawczyń, które – dyskretnie uśmiechnięte i wyciszone, ubrane w kolorowe jedwabne tuniki – same przypominały jakieś egzotyczne rośliny. Gdzieś w tle słychać było dźwięki muzyki relaksacyjnej. Orchidei Cattleya tu jednak nie było. Możliwe, że sprzedawali je tylko na zamówienie. Nie pytał, bo i po co. Z ciekawości tylko zajrzał. Może kiedyś zamówi dla Marty. Po zakończeniu śledztwa – obiecał sobie, niejako zaklinając rzeczywistość.

Następnie pojechał na ulicę Do Studzienki, by dla świętego spokoju przeszukać piwnicę. Oczywiście niczego w niej nie znalazł, tak

zresztą, jak się spodziewał. Została wcześniej gruntownie sprawdzona przez zespół techników policyjnych dysponujący profesjonalnym sprzętem, który nie przeoczył niczego. Daremny trud. Nie miał jednak poczucia straconego czasu. Działał. To w tej chwili było dla niego najważniejsze. Obszedł jeszcze pozostałych sąsiadów. „Pozostałych przy życiu” – nasunęło mu się mimochodem, szybko jednak odpędził idiotyczne skojarzenie. Nie pozostało ich wielu: dwie starsze, samotne kobiety, które pamiętał z obu pogrzebów, oraz trzecia – już bardzo wiekowa – mieszkająca razem z córką w średnim wieku. Z tym, że ta córka od ponad roku przebywała za granicą, gdzie pracowała w tamtejszym domu opieki, a matką staruszką opiekowała się dochodząca pielęgniarka. Ot, paradoks. No i pozostawał jeszcze cieć. Choć wypytywał o każdy szczegół, niczego nowego się nie dowiedział. Nikt nic nie widział, nie słyszał, nie wiedział. Bezdomny więcej się nie pojawił. Dziennikarz przeszedł się nawet po okolicznych sklepach, ze szczególnym uwzględnieniem monopolowego, by o niego zagadnąć – z tym samym skutkiem. Zniechęcony wrócił do redakcji. Z Dominiką Wyszowską umówił się tak, że klucze podrzuci jej przy okazji. Nie było pośpiechu.

Włączył laptopa, by sprawdzić pocztę. Potem wpadło mu do głowy, że mógłby prześledzić internetowe aukcje dzieł sztuki. Przynajmniej wrywkowo. Jednak – choć był bardzo zdeterminowany – prędko uznał własną porażkę. Syzyfowa praca. Gdyby jeszcze się na tym znał...

Wstał właśnie od biurka, by nalać sobie kawy, gdy wywołał go z kuchenki telefon. Dzwoniła jego prywatna komórka. Na wyświetlaczu pojawiło się: Marta.

– Hej! Gdzie jesteś? – ucieszył się. Miał nadzieję, że ona, tam po drugiej stronie, nie usłyszy łomotu jego serca. W duchu wyzwiał się od kretynów.

– Już prawie w domu – odparła. – Właśnie dojeżdżam do Oliwy. Dzwonię, żeby ci coś powiedzieć. Dziwna rzecz mi się przydarzyła...

– Coś się stało? No mów, bo zaczynam się denerwować...

– Nie, nic wielkiego. Ale dziwne. I nieprzyjemne. Ktoś przysłał anonim do dyrekcji muzeum. Dotyczył mnie: z imienia, nazwiska

i tytułu. Pomijając epitety w rodzaju „sprzedajna suka”, napisano tam, że mieszam się w nielegalny obrót zabytkami. Ty rozumiesz, jaka to obelga dla muzealnika?! Jestem w szoku. Wciąż nie mogę się, kuźwa, pozbierać! – Ściszyła głos, widocznie po to, by nie ściągnąć na siebie uwagi współpasażerów.

– I co na to twoja dyrekcja?

– Nie no, na szczęście zignorowała to gównu! To normalni ludzie, znają mnie przecież od tylu lat. Zapytali tylko, w co się znowu wplątałam. Od razu skojarzyli to z tobą.

– Myślisz, że to ma związek z naszą sprawą? – zastanowił się.

– A z czym? – zapytała retorycznie.

– Jak to przyszło? Poczta? Mailem?

– Mailem. Z anonimowego konta.

– Dutkiewicz!

– Też tak sobie w pierwszej chwili pomyślałam. Ale to raczej nie on. Bez sensu, nic mu przecież nie zrobiłam. Poza tym to nie ten styl. Musiał to raczej pisać ktoś młody, nie taki stary piernik.

– Mógł to komuś zlecić.

– Ale po co? – W tonie jej głosu zabrzmiało powątpiewanie.

– Nie mam pojęcia. Nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

Konieczniesz zgłoś to Markowi!

– Nie, nie mam zamiaru – zaparła się. – To pierdoła. No chyba że się powtórzy. Nie będę robić z siebie rozhisteryzowanej idiotki. Powiedz jeszcze szybko, bo zaraz wysiadam... co z Bartkiem? Odezwał się?

– Jeszcze nie, ale przycisnę go i dam ci znać.

– Mówiłeś mu, żeby to przysłał do mnie?

– Nie pamiętam – powiedział szybko. – Chyba zapomniałem. Ale przecież i tak wszystko ci zaraz odeślę.

– Okej, to już mój przystanek. Trzymaj się!

– Ty też.

Westchnął. Kolejna zagadka. Komu mogła podpaść Marta? Nikt o niej tym razem nie wiedział. Tylko on sam i Zebra.

No i Dutkiewicz...

* * *

Emil wszedł na czat i spróbował wywołać Bartka, wyglądało jednak na to, że chłopak tego nie zauważył, choć był aktywny. Może akurat odszedł od komputera, co mu się rzadko zdarzało. Młody Żądło był komputerowym maniakiem. Dziennikarz wolał nie myśleć o synu jako o hakerze, choć czasem wspólnie podśmiewali się z tego. Fakt, że nie każdy haker to przestępca, niektórzy nawet pomagają policji – pocieszał się. Zniecierpliwiony brakiem odzewu już miał napisać do Bartka maila, kiedy usłyszał gong: znak, że otrzymał wiadomość na czacie. Kliknął szybko i odczytał:

No hej, starszy, ścigasz mnie?

Odpisał:

Cześć, młodszy, ciekaw jestem, czy już coś dla mnie znalazłeś?

Strasznie jesteś napalony. Coś mam, ale szukam dalej. Nie ma o nim za wiele.

Super, daj od razu, co masz!

Chwila przerwy i kolejny zapis:

Musiałem zerknąć do notatek. No więc ten twój Kriminalinspektor Hans Schoch istniał i był ważną szychą w gestapo w Danzig, to znaczy w Gdańsku. Kumasz?

Kumam, synek, tyle to sam wiem.

Ale może nie wiesz, że wcześniej twój Szkopek studiował w Monachium i że od samego początku był zaangażowany w struktury nazistowskie. Był zresztą synalkiem jakiegoś naukowca, fizyka, też faszystowskiego fiuta. Sorry. Jeden i drugi należeli do Towarzystwa Thule, tatuś pewnie wciągnął tam synka. Thule było tajną organizacją rasistowską i okultystyczną, sam Hitler się nią interesował. Ten młodszy,

to znaczy Hans Schoch, bo ten pierwszy miał na imię Maxymilian, być może nawet był członkiem Vril, supertajnego towarzystwa wewnątrz Thule, ale to nie jest pewne, bo nie jest pewne nawet samo istnienie tego Vрила. Ci to już w ogóle mieli być kompletnymi oszołomami, bo fascynowały ich latające spodki. Takie przynajmniej chodziły pogłoski. Schoch był członkiem NSDAP, piął się po szczeblach kariery. Szybko awansował, bo już pod koniec lat trzydziestych był ważnym aktywistą w partii. Dużo podróżował w ramach różnych tajnych misji. Był między innymi w Indiach, w Afryce i Ameryce Południowej. A urodził się w 1910 roku. Tuż przed wojną wrócił do Gdańska, skąd pochodził, i wstąpił do SS, a na początku wojny został wciągnięty do gestapo jako ten kryminalinspektor. Jego nazwisko wiązano w czasie wojny z Himmlerem, wiesz, tym świrem od Atlantydy i świętego Graala, a także z jego tajnymi planami. Bardzo możliwe, że znali się wcześniej, bo podobno rodziny były zaprzyjaźnione. To na razie tyle. Szukam dalej, może jeszcze na coś trafię.

Emil był rozgorączkowany. Wystukał prędko:

Pasuje. A kiedy umarł? Przeżył wojnę?

Z tym jest właśnie problem. Podobno kofinał w czterdziestym piątym, ale coś tu nie gra, bo tylko w jednym miejscu się na to natknąłem. Że niby zginął na wojnie. To było... zaraz... w lutym 1945 w Gdańsku. To niby jak zginął? Bo ruscy weszli później. Sprawdziłem. Poszperam dalej.

Super. Dobra robota, młody! Dzięki :) Nawet nie pytam, jak do tego wszystkiego doszedłeś.

I tak byś nie załapał. Mądry jestem, co nie? :)

A jak! Po mnie to masz! :)

Matka twierdzi co innego, he, he.

Myli się. Słuchaj, jakbyś coś jeszcze znalazł, to wysyłaj to od razu do Marty, OK? Ona się tym zajmie. Znasz adres?

Nie rozśmieszaj mnie, tatuśku! OK. Pozdrów ją ode mnie.

Dzięki :)

Rozumiem, nowa sprawa. Mam nadzieję, że mi opowiecie.

Pewnie, ale jeszcze nie teraz.

Spoko. To nar :)

Nar!

Emil skopiował tekst z czatu – pomijając wtręty – i przesłał wszystko mailem do Marty. Teraz miał na co czekać...

* * *

Marta odpowiedziała jeszcze tego samego wieczoru. Była nieziemsko zadowolona, wręcz zachwycona. Napisała w mailu:

Rewelacja! Przekaż Bartkowi, że jest genialny! Wszystko się zgadza, tego się właśnie spodziewałam. Tylko teraz sama muszę jeszcze trochę nad tym posiedzieć i pokombinować. Zadzwońię też do znajomej z archiwum, może znajdzie coś na temat tej rodziny, skoro oni byli stąd. Trochę dziwne, że nie przeżył wojny. No i ta data śmierci. Ale możliwe, że to po prostu pomyłka. Albo zmyłka? No nic, pogrzebię w tym i zadzwonię do ciebie. Wtedy się spotkamy i pogadamy, a myślę, że będzie o czym gadać! Czekam też na ewentualne dalsze dane od Bartka. A tym anonimem nie ma się co przejmować, przemyślałam to sobie. Zwyczajny głupi hejt. Masz rację, może rzeczywiście z inicjatywy tego

*starego ramola. To nawet całkiem prawdopodobne. Nie polubił mnie ;-)
I z wzajemnością.*

Buziaki, do zobaczenia!

Marta

(i Bolero, bo mi tu mruczy nad uchem)

Dziennikarz zatarł ręce. Raz, że nareszcie znów coś się działo, sprawa ruszyła do przodu, a dwa – z powodu bliskiego spotkania z jedyną kobietą na świecie, na której mu zależało. Bez której był nikim. Jak maszyna bez napędu: niby jest, tylko po co, skoro nie działa. Nie jest już nikomu potrzebna. Na złom...

Szybko jednak okazało się, że wymarzone spotkanie będzie musiało zejść w jego rozmyślaniach na plan dalszy, ponieważ następnego dnia około jedenastej telefon od komisarza Marka Zebry postawił go na równe nogi:

– Obudź się, stary! Chyba mamy naszego bezdomnego...

* * *

Ciało dryfowało w Bałtyku. Wcześniej rano odkrył je szyper jednego z pływających w tym rejonie kutrów rybackich, który zawiadomił policję. Na miejscu jako pierwsi pojawili się funkcjonariusze z patrolu wodnego i przetransportowali zwłoki na brzeg za pomocą specjalnego sprzętu. Prosto z plaży zostały przewiezione do Zakładu Medycyny Sądowej Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, gdzie właśnie odbywa się sekcja. Tyle dowiedział się Emil od razu na gorąco z pierwszych przekazów medialnych, resztę dopowiedział Marek Zebra:

– Nieboszczyk pływał w okolicach kanału na trasie statków do Nowego Portu, kilka kilometrów od brzegu. Zważywszy na stan zwłok, musiał przebywać w wodzie przez parę tygodni, więc jeśli potwierdzi się, że to rzeczywiście nasz klient, to wiemy już, dlaczego tak nagle zniknął. Aktualnie prowadzone są czynności mające na celu ustalenie tożsamości denata oraz, co oczywista, bezpośredniej przyczyny śmierci. Choć ze wstępnych oględzin wynika, że do wody nie wpadł żywy...

– Czyli wiecie już, że został zamordowany. Mów do mnie po ludzku, do cholery! – wtrącił dziennikarz.

– Nie wyciągaj przedwczesnych wniosków – upomniął go komisarz bez większego przekonania. – Ale tak, masz rację: nieoficjalnie możemy już przyjąć wstępne założenie o udziale osób trzecich. Po pierwsze, facet ma roztrzaskaną czaszkę. Prawdopodobnie od tego zginął, ale musi to jeszcze oficjalnie potwierdzić sekcja zwłok, która właśnie trwa: na moją prośbę otrzymała status priorytetowej. Więc pewnie niedługo będziemy wiedzieli coś więcej. Po drugie, ręce i nogi są spętane drutem. Sam się w takim stanie nie utopił ani nie wpadł do wody przypadkiem. Ktoś mu pomógł zejść z tego świata.

Emil zastanowił się.

– Może ktoś go wyrzucił ze statku? – podsunął.

– Niekoniecznie. Wystarczy, że załatwił chłopaka w ustronnym miejscu, po czym wrzucił trupa do jakiegoś kanału. Możliwe, że w Nowym Porcie. Na morze sam zdryfował, prądy go wyniosły, kiedy wypłynął. To by nam się mniej więcej zgadzało z czasem zniknięcia naszego bezdomnego.

– Skąd wniosek, że to nasz chłopaczek?

– Na razie tylko podejrzenie. Po pierwsze, nie mieliśmy informacji o zaginięciu żadnego innego młodego mężczyzny w odpowiednim wieku w tym okresie. Po drugie, wskazuje na to rysopis. Fakt, że zwłoki długo przebywały w wodzie, możesz więc sobie wyobrazić, jak wyglądają, jednak wiele podstawowych cech widocznych na pierwszy rzut oka idealnie się zgadza. Do tego jego ubranie. Nieboszczyk ma na sobie te same ciuchy, co nasz zaginiony w czasie, kiedy był ostatnio widziany. I które zarejestrowały kamery monitoringu w sklepie monopolowym. Masz je na zdjęciach.

– To mamy już trzy ofiary. Bo nie uwierzę, że to wszystko przypadek...

* * *

Dzień później

Autopsja potwierdziła wyniki wstępnych oględzin zwłok, a także – z dużym prawdopodobieństwem – jego tożsamość. Dokładna identyfikacja była trudna: chłopak nie miał rodziny, co przekreślało możliwość porównania materiału DNA, nie korzystał z opieki medycznej, więc nawet badanie stanu uzębienia nic by nie dało, a dawne karty dentystyczne z okresu pobytu w zakładach opiekuńczych zaginęły. Nie był też nigdzie zameldowany, nie wchodził zatem w grę żaden materiał porównawczy. Jednak technicy policyjni sporządzili komputerowy wizerunek na bazie budowy czaszki zmarłego – okazał się on zgodny z fotografiami, którymi dysponowała policja. Na podstawie rekonstrukcji twarzy rozpoznali go również inni bezdomni. Nieboszczykiem pływającym w morzu był więc wedle wszelkiego podobieństwa Adam Delon. Młody człowiek zginął od silnego ciosu w głowę. Narzędzie zbrodni – tępokrawędziste – nie zostało zidentyfikowane, spoczęło zapewne gdzieś na dnie morza lub kanału. Podobnie jak, być może, w przypadku narzędzia zbrodni dokonanej na Zygmuncie Milczanowskim.

Emil odłożył komórkę, z której przed chwilą rozmawiał z komisarzem, by włączyć laptopa i poczytać najnowsze popołudniowe informacje. Powoli zapadał zmierzch, na dworze dalej mżyło. W redakcji tego dnia było wręcz gwarno. Przy swoim biurku nadal urzędowała Maria Zebra, skupiona na jakichś obliczeniach, co nie przeszkadzało jej co jakiś czas zagadywać Szymona Madera. Mader zjawił się w biurze zwabiony najnowszą sensacją dnia, czyli ciałem wyłowionym z wody. Chciał osobiście sporządzić notatkę prasową na ten temat, a przy okazji sprawdzić, jak mają się sprawy w gazecie bez jego codziennego udziału. Przed budynkiem czekała na niego jego żona, Ewa, spacerując z wózkiem, ponieważ dziecko – mimo wątpliwej pogody – powinno łyknąć nieco świeżego powietrza. Wcześniej obie z Marysią rozczuły się nad niemowlęciem, a pełne zachwyty okrzyki doleciały nawet do Marka po drugiej stronie linii. Coś się kończy, coś się zaczyna – podsumował nawet filozoficznie komisarz, zanim się rozłączyli.

Żądło zalał rozpuszczalną kawę gorącą wodą w trzech kubkach i rozdał obecnym. Maria poprosiła jeszcze o mleko, Szymon o mleko

i cukier. Sam Emil pił wyłącznie czarną i gorzką – tak było najprościej, a on nigdy nie lubił zbędnej straty czasu. Wszelkie funkcje życiowe od lat ograniczał do niezbędnego minimum. Trochę się to zmieniło, gdy był z Martą, teraz jednak wrócił do dawnych obyczajów. Szczerze mówiąc, nie mógł się już doczekać, by wreszcie wszyscy sobie poszli i zostawili go samego: mógłby wtedy spokojnie napić się piwa, a nawet zapalić w kanciapie. I pomyśleć.

Oparł się wygodnie o oparcie krzesła i wszedł na pierwszy z brzegu trójmiejski serwis informacyjny. Te same ogólne wiadomości co wczoraj, doszły tylko domysły i spekulacje. Nic ciekawego. W tym momencie ponownie odezwała się jego komórka.

– Żądło, słucham. – Wstał i przeszedł do wnętrza kuchennej, by nie przeszkadzać Marysi i Szymonowi, a także samemu lepiej słyszeć.

– Mówi Dominika Wyszowska! – Dziewczyna była zdyszana, głos jej się łamał. – Ja... Muszę panu coś ważnego powiedzieć!

– Co się stało, pani Dominiko?!

– Był napad na mojego męża! Został pobity! Ja już dłużej tego nie wytrzymam... Czy to się nigdy nie skończy?! – Rozplakała się.

Emil się zaniepokoił. To brzmiało poważnie.

– Pani Dominiko, powolutku. Proszę mi opowiedzieć wszystko po kolei – zaproponował rzeczowo, starając się uspokoić samym brzmieniem słów.

Jednak Wyszowska była najwyraźniej w stanie hysterii, bo z wielkim trudem wydobył od niej cały obraz sytuacji. Jak się okazało, Wyszowski został napadnięty przez trzech zamaskowanych sprawców na parkingu podziemnym jednego z supermarketów. Właśnie przed kwadransem wrócił do domu, teraz jest w łazience. Nie wie, że Dominika dzwoni gdzieś w jego sprawie.

– Muszę się spieszyć, zanim wyjdzie! – łkała dziewczyna. – On by mi tego zabronił. Nie lubi, kiedy się o nim mówi za plecami. A na pewno by się nie zgodził, żebym telefonowała. On to bagatelizuje. Ale ja jestem w szoku! Muszę się kogoś poradzić! Naprawdę, nie mam już siły...

– Czy coś poważnego mu się stało? Jest ranny? – dopytywał.

– Właściwie to chyba nie... nie wiem... – chlipnęła do słuchawki.

– Ale poturbowany, i ma rozcięty łuk brwiowy! Wygląda to strasznie!

On... jest wysportowany, umie się sam obronić. Spłoszył tych... tych bandytów. Gdyby nie to, przecież mogli go nawet zabić! A co, gdybym to była ja?! Nie poradziłabym sobie...

– Myśli pani, że to ma związek ze sprawą taty?

– No a z czym?! Pan myśli, że nie? Wszystko, wszystko się wokół tego kręci! Całe moje życie się posypało...

– Proszę się uspokoić. To niekoniecznie musi się z tym łączyć, mogło chodzić o zwykły napad rabunkowy. Takie rzeczy się zdarzają. Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło.

– Nie! Oni nie chcieli niczego kraść! Chcieli go tylko pobić...

– Czy coś mówili?

– O ile wiem, to nie. Ale Misiek też jest w szoku...

– Pani Dominiko. – Zrozumiał już, że nic więcej nie osiągnie. –

Gdyby pani mąż coś sobie jeszcze przypomniał, to proszę dzwonić o każdej porze. I niech mąż koniecznie zgłosi ten napad na policję! Najlepiej od razu do komisarza Zebry.

– Dobrze... powiem mu.

– Świetnie. I bardzo proszę... niech państwo oboje na siebie teraz uważają. Nie chodzą samotnie w żadne ustronne miejsca. Nie wolno ryzykować. Pani powinna wziąć trochę wolnego z pracy i odpocząć. Mąż też, jeśli to możliwe.

– To nie jest możliwe! Za dwa dni znów musi jechać w trasę!

– Więc...

– Muszę już kończyć, właśnie wychodzi z łazienki! – Rozłączyła się gwałtownie.

Zanim zdążył wcisnąć guzik kończący rozmowę, drzwi do redakcji otwarły się z hukiem. Stała w nich blada Ewa.

– Emil! Emil! – zawołała, uspokajając kołysaniem płaczące dziecko. – Musisz wyjść... Twoje auto!...

– O co chodzi? – Podniósł się niepewnie.

– Masz przecięte opony. Wszystkie cztery! I to... – Podążyła mu zmiętą karteczkę. – Było za wycieraczką. Masakra jakaś... W coś ty się znowu wpakował?!

– Czekaj, bo nic nie rozumiem. Co, do jasnej... – urwał, bo bez sensu było dalej wypytywać. Ewa była prawie tak zdenerwowana jak

wcześniej Dominika. Wziął od niej kartkę. Zwykłą, lekko zawilgoconą kartkę wyrwaną z zeszytu w kratkę. Widniało na niej tylko jedno zdanie, wypisane wielkimi drukowanymi literami:

NIE MIESZAJ SIĘ W CUDZE SPRAWY, BO ZDECHNIESZ.

* * *

Żądło parkował swojego rżęcha w bocznej uliczce na tyłach siedziby redakcji. Zazwyczaj było tam spokojnie, a nawet jakby co, to i tak żaden normalny złodziej nie zainteresowałby się ponad dwudziestoletnim samochodem. Nawet jeśli Emil kochał ten złom miłością wierną, nie tylko z tego względu, że na nowy nie było go stać. Ewa zostawiła malutką Dorotkę pod opieką Marysi i w trójkę udali się na miejsce zdarzenia. Tymczasem ściemniło się, więc dopiero przyświecając sobie latarką, dziennikarz zobaczył na własne oczy wyrządzone szkody: opony flaki, a także rozbitą boczną szybę, której Ewa nie zauważyła, gdyż znajdowała się od strony ulicy.

– Cholera jasna, kolejne wydatki... – zaklął pod nosem.

– To już może za te same pieniądze kup sobie trochę nowszy? – zaproponowała nieśmiało Ewa.

– O tym nie ma mowy. Za bardzo jesteśmy zżyci. A on jeszcze żyje! – oburzył się dziennikarz.

– Okej, już nic nie mówię. O, pod tą wycieraczką była ta kartka. W pierwszej chwili myślałam, że mandat, ale coś mi nie grało...

– Po co chodzisz z dzieciakiem po zaułkach?! – zdenerwował się Szymon Mader.

– Przecież nie było jeszcze ciemno! To środek miasta! – broniła się. – Przeszłam się tędy, bo tu jest spokojniej, mniej słychać tramwaje i samochody, a chciałam, żeby mała zasnęła...

– No to sobie zasnęła – prychnął sarkastycznie.

– Oj, Szymek, lepiej daj już sobie spokój. Musisz? Zaraz potem zawróciłam! Też się złąłam. Tylko tę kartkę zabrałam i od razu uciekłam. Nie chciałam, żeby przepadła, bo to chyba ważny dowód,

prawda, Emil?

– Prawda, nawet bardzo ważny. Przestań się jej czepiać, w końcu to tylko parę metrów w głąb uliczki, ludzie tu mieszkają, kto mógł coś takiego przewidzieć? – Emil oderwał wreszcie wzrok od zdewastowanego czerwonego peugeota i wyjął z kieszeni telefon. – Swoją drogą, może ktoś coś zauważył, choćby z okna. Tyle że kiedy trzeba, to wszyscy ślepną albo siedzą przed telewizorami. Dzwonię po gliny...

* * *

Gdy Emil opadł ciężko na krzesło w pokoju komendy, zajmowanym przez ostatni rok przez Marka Zebra, komisarz od razu zakrzętał się i ze srebrzystego termosu nalał dwie szklanki czarnej na smoła kawy.

– Kawa parzona przez Majeczkę. – Mrugnął porozumiewawczo. – Nigdzie nie dostaniesz lepszej.

– Wierzę – uśmiechnął się dziennikarz blado.

– Tylko tu nie pal! – przestrzegł przyjaciel, widząc, że Żądło odruchowo sięga do kieszeni. – To nie mój stary komisariat. Tutaj się nie jara. Wieczorem możesz odebrać swój samochód. Mój spec z warsztatu wyreperuje ci tego cudaka na cacy. Rachunek już został uregulowany, więc forsa się nie przejmuj.

– Jak to, czyżby policja?...

– Powiedzmy, że policja w mojej osobie – zaśmiał się Zebra. – Ja cię w to wciągnąłem, więc za to płacę. Ty mi tylko piwo wisisz.

– Zwariowałeś? Taki z ciebie milioner? Mowy nie ma!

– Zamknij dziób. Ten mechanik to mój stary kumpel. Mamy swoje rozliczenia, więc to nie twój interes. Wszystko jest załatwione. Po dwudziestej autko będzie na ciebie czekać. Zapisalem ci adres warsztatu.

Kiedy wczorajszego wieczoru pomoc drogowa zabrała wóz do zbadania, Emil pojęcia nie miał, co poza tym kombinuje Zebra. Poczul się głupio, lecz jednocześnie kamień spadł mu z serca. Gdyby sam musiał płacić za szkody, jeszcze długo by nie pojeździł.

– Dzięki, stary – powiedział. – Piwo masz jak w banku. Nawet całą skrzynkę.

Komisarz zasiadł za biurkiem naprzeciwko gościa i napił się kawy, do której wsypał uprzednio kilka łyżeczek cukru. Zaprotestował z uśmiechem:

– Ano nie przesadzaj. Za skrzynkę to Majeczka by się ze mną od razu rozwiodła. Dwa wystarczą, jedno dla ciebie, drugie dla mnie. Ale trzymam cię za słowo! Przystąpmy do rzeczy. Te trzy zdarzenia: anonim do muzeum, napad na Wyszковского i incydent z twoim wozem... Wszystkie razem świadczą o tym, że po pierwsze, mordercy lub mordercom puszczają nerwy, a po drugie, że w naszym wspólnym śledztwie musiał nastąpić jakiś przełom, o którym nie wiemy, a który jest niebezpieczny dla przestępcy, przestępców. Może zastanówmy się nad tym wspólnie – zaproponował.

– Odnalezienie zwłok bezdomnego?

Komisarz pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Bez urazy, ale co wy macie z tym wspólnego? Tym się zajmuje policja. Wy, to znaczy ty i Marta, siedzicie w wątku historycznym. Czyli raczej tu szukałbym wyjaśnienia...

– W takim razie tylko jedno mi się nasuwa: figurka. Może ma to związek z poszukiwaniami posążka za granicą?

– Może być – zgodził się Zebra. – Tylko kto w Polsce o tym wie? Kto w ogóle wie o figurce, poza naszym gronem?

– Dutkiewicz.

– No właśnie. A to stary gangster. Z tym, że jakoś nie wyobrażam sobie tego starucha napadającego na męża Dominiki, młodego silnego faceta w końcu, dziurawiącego ci opony i tak dalej.

– Może mieć współnika lub współników.

– No, fakt. Przesłuchamy dziada. Mogą być kłopoty, bo to w dalszym ciągu ustosunkowany skurwiel, ale to go nie uchroni przed przemaglowaniem. Mam nadzieję, że prokurator nie będzie robił trudności.

– Aż tak ważny chyba nie jest?

– Nie, chyba nie. Z całą pewnością trzeba go też obserwować. Ostatnimi czasy straciliśmy go z oczu. Sądziłem, że wypadł z obiegu.

Ale może wrócił do dawnej roboty, a zawsze miał za uszami. Przy okazji, dwie sprawy. Doszliśmy do wniosku, że nasz biedny bezdomny musiał być jakoś zamieszany w sprawę Milczanowskiego. Może być niewygodnym świadkiem. Tak przynajmniej na tę chwilę zakładamy.

– I słusznie. – Emil dolał sobie kawy z termosu kolegi. – Na pewno nie zginął przypadkowo. Swoją drogą, biedny chłopak. Nikomu go nie będzie brakowało. Pogrzeb na koszt państwa, na którym nikt nie zapłaci. Najpierw od urodzenia przerzucany od bidula do bidula, potem życie na ulicy. I jeszcze na koniec taka parszywa śmierć. Jak coś takiego w ogóle jest możliwe: w cywilizowanym kraju, w sercu Europy, w dwudziestym pierwszym wieku? Czym to się różni od takich na przykład *Ludzi bezdomnych* Żeromskiego? Kiedy chodziłem do szkoły, przerabialiśmy to jako lekturę. Pamiętasz? Wtedy wydawało nam się, że coś takiego w obecnym świecie nie jest już możliwe. Że to by się nie mogło zdarzyć. Tymczasem wróciło i znów jest zamiatane pod dywan. Co jest nie tak z tym państwem, z tym systemem, do kurwy nędzy?!

– Uspokój się. Tak jak powiedziałaś: nędza za tym stoi. Dosłownie i w przenośni. Nędza i materializm. Konsumpcjonizm. Każdy sobie rzepkę skrobie, nie ogląda się na innych. Wyższe wartości przestały się liczyć, znajdujemy się, nomen omen, w dżungli. Ale obawiam się, że to nie tylko w naszym kraju tak jest. Ogólnie ta cywilizacja się sypie – skrzywił się Marek Zebra.

– Nie wiem, może i tak. Ale akurat tutaj... tyle pięknych słów! Moralność. Chrześcijaństwo. A pod tym całym złotem... robactwo. Biedny chłopak. Żal mi go. Gówniane życie, gówniana śmierć.

– Podobno był trochę upośledzony. W domu dziecka powiedziano nam, że ociężały umysłowo. Stąd kłopoty w nauce, problemy z socjalizacją, brak zawodu. Do tego pił, ćpał... nie radził sobie z życiem. Ale to nieważne, masz rację. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać. Ktoś załatwił tego dzieciaka i zrobimy wszystko, by za to odpowiedział. Może to zabrzmie pompatycznie, ale sprawiedliwości powinno stać się zadość. Po to za młodu lażem do tego zawodu, po to tkwię na tej komendzie. Przynajmniej ze swojej strony zrobię, co się da, by tak się stało. Prędzej czy później dopadniemy skurwysyna.

– Oby – westchnął dziennikarz.

– Tyle mogę obiecać. Mam jeszcze coś, co cię z pewnością zainteresuje. Nasi wywiadowcy namierzyli statuetkę w Londynie. Rozpoznał ją szef jednego z domów aukcyjnych. Ktoś w imieniu właściciela, a za takiego podawał się Milczanowski, chciał ją dać na licytację. Ale figurka ostatecznie nie znalazła się na aukcji. Facet z domu aukcyjnego twierdzi, że z powodu niejasnego pochodzenia, poza tym uznali ją za mało wartościową jak na swoje salony. Doradzili, by właściciel sprzedał ją raczej w jakimś antykwariacie. Więc nasi ludzie przeszli się po antykwariatach. Szybko znaleźli ten właściwy. Posążek rzeczywiście został sprzedany za bezcen. Na razie nie znamy jeszcze nazwiska nabywcy, pracujemy nad tym. Za to wiemy jedno: to był, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, cudzoziemiec. Konkretnie, obywatel niemiecki.

Dziennikarz poderwał się z krzesła.

– To już coś! – wykrzyknął. – Kto występował w imieniu właściciela?

– Tego nie wiadomo. Jakaś szara eminencja. Nikt go nie pamięta, nikt nie potrafił podać rysopisu.

– Albo nie chciał.

– To też możliwe – zgodził się komisarz. – Ale powoli, będziemy to dalej badać. Może znajdziemy obu, i pośrednika, i kupca. Szukamy też autora ostatnich incydentów, przede wszystkim gnojków, co napadli na Wyszковского. Zresztą coś mi mówi, że stoi za tym jedna i ta sama osoba.

– Wyszkowski zawiadomił policję o napadzie?

– Nie sam, ale sprawa wypłynęła, więc i tak został dokładnie przesłuchany. Oczywiście żadnych śladów ani świadków zdarzenia, a kamery w tym miejscu akurat nie było. Wygląda na to, że ktoś nasłał zbirów w celu zastraszenia Wyszkowych, podobnie zresztą jak w twoim i Marty przypadku. Priorytetem jest teraz ta cholerna figurka. Czuję, że to o nią tu chodzi. Nie rozumiem tylko, dlaczego.

– Tymczasem wygląda na to, że figurka wypłynęła i po raz kolejny zniknęła nam z oczu. Szkoda, cholera. Oby nie na dobre. No nic, jedźcie dalej. My z Martą też wciąż szukamy powiązań.

– Może jednak...

– Nie zabronisz nam tego. Za daleko zabrnęliśmy. Jeszcze raz dzięki za samochód. Będę się zbierał. – Zerknął na zegarek. – Daleko ten warsztat, a chciałbym jeszcze po drodze wpaść do redakcji, mam trochę zaległości w robocie, z czegoś trzeba żyć. Zgrzewka piwa będzie na ciebie czekać.

Wolał się już nie przyznawać, że odczuwa po prostu silny przymus zapalenia papierosa. Emocje wzięły górę, a tylko nikotyna potrafiła je chwilowo ukoić. Najwyraźniej nie docenił jednak starego przyjaciela. Komisarz także się podniósł.

– Zgrzewka dopiero po zamknięciu sprawy! Czekaj – zdecydował się. – Odprowadzę cię. Przy okazji też sobie na zewnątrz zapalę...

Nazajutrz

– Wiesz, to wszystko by mi się nawet zgadzało – oświadczyła Marta, gdy Emil przekazał jej już ostatnie nowiny. – Układałoby się w sensowną całość. I nawet miałabym pewną teorię, gdyby nie fakt, że niby wszystko tu pasuje, a nie pasuje...

Siedzieli w jej pokoju dziennym, popijając czerwone wino. Na kolanach Emila, który zajął fotel przy oknie, rozłożył się Bolero, sprawiając, że dziennikarz bał się poruszyć, by go przypadkiem nie zniechęcić.

– Nie rozumiem. Co masz na myśli? – zapytał.

– No bo, na zdrowy rozum, wszystko prowadzi do Niemca. Niemiec pojawia się na początku i na końcu tej historii. Najpierw jako tajemniczy gestapowiec, a ostatnio, w Londynie, jako równie tajemniczy nabywca posążka. Także Niemiec. Zwróć uwagę, że za każdym razem w powiązaniu z posążkiem Fawcetta.

– Nie tylko – sprostował. – W depozycie zamurowanym w piwnicy Milczanowskich był nie tylko posążek.

Marta sięgnęła po kieliszek, uniosła go pod światło, podziwiając szlachetną purpurową barwę. Skosztowała.

– Dobre wino! Nauczyłeś się wreszcie. No dobra, masz rację, nie tylko. Ale wszystko się łączy, posążek i te hipotetyczne dokumenty,

z Fawcettem oraz jego zaginionym miastem. Moim zdaniem możliwości są trzy. Teoretycznie. Pierwsza: że to jeden i ten sam Niemiec. Czyli były gestapowiec...

– Niemożliwe. Musiałyby mieć ponad sto lat.

– Powiedzmy, że mało prawdopodobne. Zwłaszcza, że podobno zginął w czterdziestym piątym. Przechodzimy więc do możliwości drugiej: jego ewentualnych żyjących potomków. Ale...

Emil niemal poderwał się z fotela, dopiero zdeglustowana mina kota sprawiła, że z powrotem opadł na swoje miejsce.

– No właśnie! – zawołał. – Nie sprawdziliśmy tego!

– Sprawdziłam w archiwum, w hipotece. Jego rodzina miała w Gdańsku mieszkanie i dom za miastem. Oba te miejsca już dawno nie istnieją, ale zapisy pozostały. Kamienica, w której mieszkali dziadkowie Schocha, została zburzona pod koniec wojny, a w miejscu, gdzie stał ich dom letni, od lat sześćdziesiątych znajdują się zakłady przemysłowe. Młody Hans nie miał potomków. – Marta szybko sprowadziła go na ziemię. – Bartek też żadnego nie znalazł. Już się z nim w tej sprawie kontaktowałam.

Entuzjazm Emil zgasł.

– A trzecia opcja? – zapytał.

– Jacyś rywale tego Hansa? – Wzruszyła ramionami. –

Konkurencja? No i oczywiście potomkowie konkurencji. Załóżmy, że o depozycie wiedziało już wtedy więcej osób. Może wcale nie Schoch go schował. Może mu go najpierw wykradziono? Może dlatego zginął? Załatwił go ktoś ze „swoich”? Nie wiem. Różnie mogło być. Chodzi mi ogólnie o osoby trzecie.

– Takie sprawy były chyba ściśle tajne? – odparł z powątpiewaniem dziennikarz.

– Nawet najtajniejsze zwykle mają to do siebie, że zawsze ktoś o nich wie. Zresztą... dziwne. Dlaczego niby te materiały miał mieć inspektor kryminalny gestapo? Rozumiem, że mógł prowadzić śledztwo w ich sprawie, ale może to były kopie, a nie oryginały? Może oryginały miał ktoś inny, wyżej postawiony? Albo na odwrót: ktoś inny miał kopie? Pytanie brzmi: dlaczego były one aż tak ważne? Mało tego, były i najwyraźniej dalej są, skoro ktoś z ich powodu zabija dziś ludzi!

– Bo zawierały tajemnicę? Odpowiedzi?

– O ile nie były mistyfikacją. Tak. To możliwe. No, to doszliśmy do punktu wyjścia. Innych możliwości nie widzę, a te się sypią...

– Jest jeszcze czwarta – podchwycił Emil. – Że nieważne, co się wydarzyło w przeszłości. Natomiast ktoś współcześnie, i to najzupełniej przypadkowo, natknął się na tę zagadkę. Przez Milczanowskiego. W końcu Milczanowski trąbił o tym na prawo i lewo.

– Bez sensu. Patykiem po wodzie pisane. A sama figurka bez wartości.

– Chyba że...

– Chyba że czegoś nie wiemy.

– I nie dowiemy się, dopóki nie odzyskamy dokumentów z depozytu.

– No właśnie. Ale to już nie moja rola – skrzywiła się.

Emil ostrożnie pogłaskał rude futro Bolera, który zamruczał, po czym zmienił pozycję na wygodniejszą.

– Więc może póki co spróbowałibyśmy sami do czegoś dojść – zaproponował. – Mogłabyś jakoś odtworzyć tę historię? Zrekonstruować ją roboczo na nasze potrzeby? Co się mogło wydarzyć i tak dalej, po kolei?

Zabłocka zamyśliła się.

– Możemy spróbować – powiedziała w końcu. – Jednak w takim razie musimy najpierw cofnąć się aż do czasów przedwojennych. Żeby mieć tło. Pamiętasz, co ci opowiadałam o filozofii nazizmu, kiedy badaliśmy sprawę Tartessos? Że Niemcy opętani byli wtedy pewną ideą?...

Widząc, że Emil został przez kota totalnie ubezwłasnowolniony, sama dołała wina do kieliszków. Dziennikarz zastanawiał się, jak wróci do domu, lecz odpędził od siebie tę myśl. Najwyżej wezwie taksówkę, a samochód – idealnie sprawny po odebraniu go z warsztatu Zebry – zostawi przed domem Marty. Tu przynajmniej niezawodna pani Renia będzie miała na niego oko.

– Mniej więcej pamiętam, ale i tak zacznij od początku – poprosił.

– Zacznijmy od tego, że rasistowska ideologia narastała w Niemczech już na długo przed drugą wojną światową. Mniej więcej na

przełomie 1917 i 1918 roku powstało w Monachium Towarzystwo Thule, o którym wspominał ci już Bartek. Była to elitarna tajna organizacja o charakterze rasistowskim i okultystycznym. Także – już wtedy – antysemickim. Nazwa pochodziła od legendarnej wyspy Ultima Thule, opisanej przez greckiego żeglarza i geografę Pyteasa jako najdalej na północ wysunięty tajemniczy ląd, do którego dopłynął i który opisał w swoim częściowo zachowanym, a częściowo cytowanym przez innych antycznych uczonych dziele *O Oceanie*. Oczywiście nadanie organizacji tej nazwy nie było przypadkowe: miała ona ogromne znaczenie dla wyznawców nordyckich kultów. Do Towarzystwa Thule nie przyjmowano byle kogo. Należeli tam profesorowie uniwersyteccy, lekarze, prawnicy, wyżsi urzędnicy, naukowcy, bogaci kupcy. Oficjalnie zajmowano się „badaniem starożytności germańskich”, ale pod tą przykrywką Thule działała jako organizacja typu masońskiego, mająca na celu zdobycie politycznych wpływów oraz propagowanie rasistowskiej propagandy. Dużą rolę odgrywał coraz bardziej w tych sferach modny okultyzm, a także spirytyzm. Reszta to w zasadzie legendy, ponieważ nigdy nie zostały potwierdzone. Niektórzy twierdzą, że zebrania towarzystwa miały też charakter satanistyczny. Albo że sam Hitler był jego członkiem, choć na to również nie ma dowodów. Fakt natomiast, że zarówno Hitler, jak i Himmler interesowali się działalnością Thule. Inne spekulacje dotyczą hipotetycznego Towarzystwa Vrili, będącego rzekomo częścią Towarzystwa Thule. Supertajną wewnętrzną strukturą, która używała nadnaturalnych energii do pracy nad stworzeniem innowacyjnych urządzeń latających, czyli – jak uroczo ujął to Bartek – latających spodków. Zapewne to bajka, jednak ilustrująca ówczesne zainteresowania nazistów, maniakalnie poszukujących klucza do władzy nad światem oraz dowodu na to, że tylko oni – Niemcy – jako wyższa rasa są do niej uprawnieni jako potomkowie mitycznej aryjskiej pracywilizacji. To dlatego latami poszukiwali wszystkiego, co mogło im te dwie rzeczy zapewnić: ruin Atlantydy, Szambali, pozostałości innych zaginionych miast, a także magicznych przedmiotów w rodzaju świętego Graala albo biblijnej Arki Przymierza. Uważali, że kryje się w nich odwieczny sekret władzy...

– Przepraszam cię, ale to by znaczyło, że naziści byli kompletnymi

idiotami – wtrącił z niesmakiem Emil.

Marta uśmiechnęła się i rozłożyła bezradnie ręce.

– Trudny temat – odparła. – Z jednej strony brzmi to wszystko naiwnie i infantylnie, prawie jak objaw zbiorowego szaleństwa.

Z drugiej... oni naprawdę bardzo wiele osiągnęli w nauce.

W technologii, w medycynie, zbrojeniach. Inaczej pewnie nie doszłoby do wojny światowej.

– No fakt, dziwne – przyznał dziennikarz.

– Mówić dalej? Wracając do Thule, koniec tej organizacji wiąże się z powstaniem NSDAP. W 1937 zamknięto w Rzeszy wszystkie loże masońskie i zbliżone do masońskich. Zakazano działalności Zakonu Niemieckiego, z którym Towarzystwo Thule było związane. Samo towarzystwo także przestało wówczas istnieć. Hitler nie chciał konkurencji. Niemniej ideologia Thule przetrwała i była kontynuowana w działaniach hitlerowców. Przejęto nie tylko swastykę jako główny symbol, ale i zakres zainteresowań. Zaczęto je też wcielać w życie, a bezpośrednio odpowiadał za to Heinrich Himmler, szatan gorszy od samego Hitlera. Okultysta, szaleniec, opętany manią wyższej rasy. Zajmował się tajnymi projektami, powiązanymi z okultyzmem oraz ekspedycjami archeologicznymi. To on, w oparciu o swoją wiarę w istnienie „wyższej” i „niższej” rasy, zaplanował politykę ludobójstwa, wykombinował obozy zagłady, obozy koncentracyjne, był współzałożycielem SD, czyli ówczesnej służby bezpieczeństwa, kierował także gestapo, czyli tajną policją państwową, w której robił karierę nasz Hans Schoch. Od czterdziestego trzeciego Himmler pełnił funkcję ministra sprawiedliwości Rzeszy. Po klęsce Niemiec aresztowany przez Anglików jako zbrodniarz wojenny, otrul się cyjankiem potasu w czterdziestym piątym. Moim zdaniem był diabłem wcielonym...

– Oni wszyscy byli. Nie ma w całej historii ludzkości niczego gorszego, podlejszego, obrzydliwszego, bardziej wstydliwego, niebezpiecznego, nieludzkiego od faszyzmu oraz wszelkich jego pochodnych – przerwał jej Żądło.

– Masz rację. Do tego niczego bardziej nieśmiertelnego. Stale odżywa, jak hydra.

– Hydra? Chyba raczej karaluchy. One też są brunatne.
Roześmiała się.

– Chyba że – zgodziła się bez oporu. – Okej. Mamy już tło historyczne, możemy przejść do rekonstrukcji naszej konkretnej historii. Oczywiście to tylko moja prywatna hipoteza, w wielu miejscach jeszcze dziurawa. Czyli wracamy do zaginionego miasta, młodego Hansa Schocha, Fawcetta i tego, co nam w spadku przynieśli...

– O to chodziło. Czyli teraz będzie najciekawsze. Zamieniam się w słuch. – Dziennikarz zatarł ręce i sięgnął ostrożnie po swój kieliszek wina. Zupełnie o nim zapomniał. Upił nieduży łyk, po czym równie ostrożnie, by nie zbudzić śpiącego głębokim snem Bolera, odstawił go na stojącą obok fotela antyczną komodę. Marta natomiast opróżniła swój kieliszek i napełniła go sobie ponownie do połowy.

– Nie dolać ci? – zapytała.

– Nie, dzięki, wystarczy. Chciałbym jeszcze jakoś wrócić.

– To czekaj, może zrobię kanapki...

– Kanapki później! Teraz mów, bo umieram z ciekawości.

Marta wstała i przeciągnęła się.

– Muszę zebrać myśli. Zaskoczyłeś mnie, nie zdążyłam się przygotować, proszę pana! – oznajmiła żartobliwie i zaczęła swoim zwyczajem krążyć po pokoju, mamrocząc coś do siebie pod nosem.

Emil przyglądał się jej z podziwem. Nie wystroiła się na to spotkanie, miała na sobie stare džinsy i rozciągnięty perłowszary sweter, włosy związała zwykłą gumką frotte w koński ogon. Była w samych skarpetkach: często po domu chodziła boso. A mimo wszystko wyglądała cholernie seksownie. W połączeniu z perłową barwą swetra rudawy odcień jej włosów stał się mocniejszy, bardziej wyrazisty. Marta zawsze protestowała, gdy ktoś twierdził, że jest ruda. Uważała, że rudy to jest na przykład Marek Zebra, a ona sama ma włosy brązowe lub co najwyżej kasztanowe. Zapewne nie miała okazji dostrzec tych ciepłych ognistych refleksów, jakie w nich sobie igrały w najlepsze, szczególnie w świetle. Trzeba stać z boku, by je zauważyć. No fakt: Zebra ma na głowie istną marchewkę – uśmiechnął się w duchu Emil – choć teraz, gdy z lekka posiwiął, szczególnie na skroniach, jego żywoczerwona czupryna nabrała szlachetniejszej patyny. Natomiast

gęste, falujące włosy Marty zawsze były po prostu piękne.

Dopiero teraz zauważył, że oboje z Martą ubrali się niemal identycznie: w dzinsy i luźne swetry. Miał na sobie coś podobnego, nawet kolor swetra się zgadzał, choć jego był o ton ciemniejszy. Nie zmówili się przecież! Poczuł, że łączy go z Martą szczególna więź. Pokrewieństwo „dusz” i charakterów, coś w tym rodzaju. Bardzo często myśleli i czuli podobnie, choć czasem podejmowali inne decyzje. Zrobiło mu się ciepłej na sercu. To było najważniejsze, to coś, co łączy ludzi mocniej niż wszelkie rytuały. Tego nie zerwie żadne fizyczne rozstanie, nie potrzeba tu zaświadczeń ani obrączek. Zawstydział się, że tak na nią kiedyś naciskał. Ulegał stereotypom. Stracił ją z tego powodu, ale tylko z pozoru. Tak naprawdę zawsze będą ze sobą połączeni niewidzialną nicią. Właśnie ona, ta nić, sprawiała, że żadna inna kobieta nigdy nie miałaby szans zastąpić Marty w jego życiu. Marta zawsze będzie w nim obecna.

Za oknem lało jak z cebra. Deszcz bębnił wściekle o szyby. Czy już nigdy nie przestanie padać? – pomyślał. Bolero westchnął we śnie i rozprostował łapki. Zabłocka zatrzymała się nagle, po czym usiadła z powrotem na swoim miejscu.

– Jestem gotowa – oznajmiła z błyskiem w oku.

– Czekam, czekam! – uśmiechnął się do niej i rozparł wygodniej w fotelu. Marta uwielbiała swoje wywody, wiedział, że zajmą jej one trochę czasu.

– Wróćmy do Fawcetta i jego wypraw. Nie wierzę w to, że Niemcy nie interesowali się jego teoriami. Idealnie przecież mieściły się w ich wizji historycznej: zaginione miasto w dżungli, zapewne spadek po starożytnych aryjskich władcach świata. Skoro szukali w Indiach, równie dobrze mogliby szukać w Ameryce Łacińskiej. Wszędzie szukali dowodów na wyższość swej rasy „panów”. Sprawdziłam to. Oczywiście, że byli zainteresowani. Widać to nawet po wyprawach, które organizowano już po zaginięciu Fawcetta, były wśród nich również niemieckie ekspedycje. Oprócz tego włoskie, rosyjskie, argentyńskie, amerykańskie. Myślisz, że szukali go z powodów humanitarnych? Akurat. Wyglądało to jak wyścig, kto pierwszy do zaginionego miasta! Mnóstwo wypraw, a wśród poszukujących dosłownie setki nowych ofiar.

A jednak uparcie się tam pchali. Wielu z tych, którzy wrócili, opowiadało mnóstwo dziwnych rzeczy. Niektórzy oszaleli. Inni opowiadali całkiem przytomnie, że spotkali Fawcetta oraz jego syna. O niektórych takich przypadkach już rozmawialiśmy. Ale na przykład Francuz Roger Courteville utrzymywał, że widział białych podróżników, którzy zdecydowali się porzucić cywilizację i żyć jak pustelnicy. Był przekonany, że spotkał właśnie Fawcetta, ale nikt mu nie uwierzył. Przynajmniej oficjalnie. Był też jeden facet, też szanowany podróżnik. Nazywał się Patrick Ulyatt. W roku 1935 napisał do żony Fawcetta – Marta zajrzała do swoich podręcznych notatek – następujące słowa:

Choć nie mam jeszcze niezbitego dowodu i nie chciałbym, aby Pani przypuszczała, że go mam, wierzę, że jeden z uczestników wyprawy Pani męża wciąż żyje. Opieram się tylko na niejasnych informacjach zebranych w Mato Grosso. W tej chwili nie mogę jeszcze niczego twierdzić i na razie wolę wszystko zachować przy sobie. Brat mój zgadza się ze mną pod tym względem. Chciałbym też dodać, że teraz bardziej jeszcze niż kiedykolwiek wierzę w istnienie zaginionych miast Pani męża... Muszę tam wrócić. Pewnie trudno to zrozumieć. Wycierpieliśmy wiele, ale muszę wrócić, nawet gdybym miał pójść samotnie...”.

I poszedł. Razem ze swym bratem Gordonem, lecz zatrzymały ich indiańskie straże. Indianie nakazali im się wycofać. Zadaniem tych dzikich Indian było najwyraźniej nie przepuścić białych. Dlaczego?...

A wyobraź sobie taki scenariusz, że ci ludzie ani nie zwariowali, ani nie szukali sensacji, ani nie kłamali, tylko mówili prawdę. Że z jakichś powodów Fawcett rzeczywiście został w dżungli z własnego wyboru. Tylko dlaczego się ukrywał? Czemu porzucił najbliższych? Może nie miał wyboru? Może był szantażowany? Może jednak znalazł miasto i nie chciał, żeby dostało się w łapy szaleńców? Ostatnie słowa Fawcetta do rodziny, przekazane w liście z wyprawy, brzmiały: „Nie musicie się o nas martwić”. A zanim wyruszył, przestrzegał żonę i syna: „Gdybyśmy nie wrócili, nie chcę, aby nas szukano”. Znaczące, co? Szczególnie w kontekście innych jego słów, cytowanych w przez Briana Fawcetta w książce *Exploration Fawcett*, opracowanej na podstawie rękopisu:

Jestem chyba jedynym człowiekiem, który zna tajemnicę. Wykryłem ją w twardej szkole wypraw w nieprzebyte puszcze i mozolnych badań [...].

Czytając to wszystko wielokrotnie, odnoszę coraz silniejsze wrażenie, że Brian Fawcett, młodszy syn pułkownika, wiedział o wiele więcej, niż publicznie zdradzał. Może należał do wtajemniczonych? Wiem, wiem: ryzykowna hipoteza. Ale sama mi się nasunęła. Przyjmijmy więc na chwilę, że tak było. I że maczali w tym swoje łapska naziści. Wiemy już, że nasz Hans Schoch do nich należał i robił karierę w SS, a potem w gestapo, i że był związany z jakimś projektem Himmlera. Mało tego. Wiemy również, bo natknął się na to Bartek, że co najmniej dwukrotnie podróżował w tajnych misjach do Ameryki Południowej. Akurat w interesującym nas przedziale czasowym. Pytanie tylko, w jakim celu. Tego się już zapewne nigdy nie dowiemy, ale możemy się domyślać. To dość proste. Nie przypadkiem przecież właśnie w jego rękach znalazły się materiały związane z poszukiwaniami Fawcetta... Czyli depozyt Milczanowskiego. Rozumiesz już?

Emil tylko skinął głową, nie chciał, żeby przerywała.

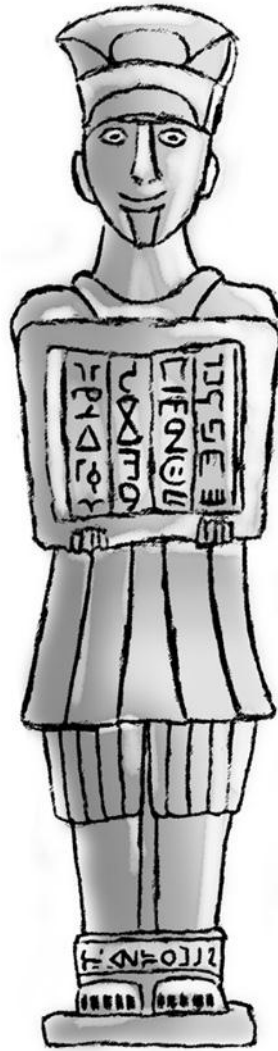
– Okej. Kontynuuję – podjęła wątek. – No więc założmy, że coś się posypało, wybuchła wojna, szkopy mieli ważniejsze rzeczy na głowie. Depozyt został u Schocha. Kiedy jednak sprawy przybrały zły – oczywiście dla hitlerowców – obrót, a ruscy stali już u bram miasta, trzeba było depozyt zabezpieczyć. I przed wrogiem, i przed swoimi kompanami z gestapo. Przed każdym niepowołanym. I Schoch zabezpieczył. Zapewne liczył na to, że zły los jeszcze się odwróci. Niemcom do końca nie mieściło się w głowach, że na serio mogą przegrać wojnę. Zakładał, że kiedy wszystko się uspokoi, wróci po depozyt, a w odpowiednim czasie zrobi – lub zrobią – z niego użytek. Może odnajdą zaginione miasto, a w nim tajemnicę władzy nad światem, i dadzą nam wszystkim popalić. Tyle że nic z tych planów nie wypaliło. III Rzesza sromotnie przegrała wojnę, a Europa osądziła zbrodniarzy wojennych. Himmler popełnił samobójstwo, a Schoch zginął w Gdańsku, jeszcze zanim weszła tu armia radziecka. Możliwe, że nie

zdążył uciec lub był tak pewny siebie, że wcale nie chciał uciekać. Być może został zamordowany. Mogli go załatwić sami, a może na przykład ktoś z polskiej konspiracji. Z pewnością miał wielu wrogów. Zresztą dla nas to nieważne, fakt że nie doczekał nawet końca wojny. Depozyt został w każdym razie zamurowany w piwnicy, w kamienicy stojącej nieopodal dawnego gmachu gestapo, i pozostał tam aż do momentu, gdy odnaleźli go przypadkiem nowi lokatorzy. Co się dzieje dalej? Przez długie lata nic. Starszy i młodszy Milczanowski po prostu pasjonują się tą historią, ale biernie, nie podejmują żadnych aktywnych kroków. Sprawa pozostaje w uśpieniu. Dopóki Zygmunt Milczanowski, że tak powiem, nie zaczął biegać z figurką po różnych szemranych ekspertach. Ktoś się tym zainteresował lub raczej przypomniał sobie o całej sprawie, ktoś bardzo zdeterminowany i zdecydowany na wszystko. Sprawa ożywa. Nie twierdzę, że to duchowi spadkobiercy nazistów. Że dalej przyświecają im ideologiczne cele. Szczerze mówiąc, raczej bardzo w to wątpię. Wystarczą złodzieje, którzy wietrzą w tym czysty zysk. Wygląda jednak na to, że ten ktoś doskonale orientuje się w temacie. Inaczej przecież nikt o zdrowych zmysłach nie ryzykowałby dla nic niewartej statuetki uchodzącej za falsyfikat i jakichś patykami po wodzie pisanych notatkach. Tylko brakuje mi ogniwa łączącego Schocha ze współczesnym mordercą...

– Może policja zidentyfikuje tego niemieckiego kupca z Londynu – podpowiedział jej Żądło z nadzieją.

– Tego, co kupił posążek? Tak, to by było super.

Zabłocka kliknęła myszą i na ekranie jej laptopa pojawił się rysunek statuetki.



Przez dłuższą chwilę oboje przyglądali się jej w zadumie.

– Zastanawia mnie, co takiego niezwykłego kryje to tajemnicze „zaginione miasto”, że tyle wokół niego zagadek? – odezwała się zamyślonym głosem Marta. – Zakładając oczywiście, że moja teoria jest słuszna. Czyżby naziści choć w części mieli rację? Nie w sensie ideologii, oczywiście, lecz znaczenia dla historii ludzkości. Sam Fawcett dawał do zrozumienia, że nie chodzi o kolejne „zwyčajne” odkrycie, o jakieś ruiny, których odkryto już wcześniej wiele. Zaledwie kilkanaście lat wcześniej Bingham dotarł przecież do Machu Picchu. Owszem, sensacja, atrakcja, ale z nóg nikogo nie zwała. Tymczasem Fawcett raczej nie bez powodu napisał, że sprawozdanie z jego wyprawy

„wstrząśnie światem”...

Żądło oderwał wreszcie wzrok od ekranu. Miał wrażenie, że bazyliżkowata twarz posążka naigrywa się z nich szyderczo.

– Czuję, że gdybyśmy tylko mogli odczytać te cholerne hieroglify, poznalibyśmy wszystkie odpowiedzi – odparł. – A przynajmniej te najważniejsze.

Marta parsknęła śmiechem.

– No cóż, wszystko przed nami! Gdyby tylko tych znaków było więcej... – odparła i powiększyła sam napis:



The image shows a vertical column of five lines of stylized, hand-drawn symbols. The symbols are arranged in a way that suggests they might be a code or a message, possibly related to the hieroglyphs mentioned in the text. The symbols are: 1. A vertical line with a small hook at the top. 2. A vertical line with a small hook at the top and a small circle at the bottom. 3. A vertical line with a small hook at the top and a small circle at the bottom. 4. A vertical line with a small hook at the top and a small circle at the bottom. 5. A vertical line with a small hook at the top and a small circle at the bottom.

Emil pokiwał głową z uśmiechem.

– Może kiedyś się skuszę – wyznał z przymrużeniem oka. – Hej! Zaczekaj! Coś mi się przypomniało. Na zdjęciu w książce Fawcetta ta statuetka stoi w jakiejś murowanej niszy, choć na płaskorzeźbę nie wygląda. To samo zauważył Dutkiewicz. Ty narysowałaś bez niszy...

Marta wzruszyła tylko ramionami, patrząc na niego pytająco.

– To moim zdaniem oznacza, że Fawcett mógł sfotografować swoją figurkę w jej oryginalnym miejscu – dokończył. – A to by znaczyło, że naprawdę znalazł zaginione miasto...

Usiedli przy stole w kuchni, Marta podała herbatę i zaczęła kroić ser i pomidory. Emil kładł je na plasterki razowca. Zbudzony ze snu Bolero również zajął się swoimi miskami.

– Bartek marzyłby pewnie, żeby w tym tajemniczym mieście

Fawcetta znajdowała się na przykład wielka baza prehistorycznych statków kosmicznych – zaśmiał się dziennikarz. – Najlepiej wraz ze zmumifikowanymi astronautami i oczywiście ze starożytnymi komputerami, w których zapisane są wszystkie tajemnice wszechrzeczy. Albo coś równie spektakularnego!

Zabłocka spojrzała na niego z politowaniem i popukała się w głowę.

– Sam o tym marzysz! – zachichotała, kładąc kanapki na talerzu. – Bartek to rozsądny chłopak. Sam się śmiał, że Vril zajmował się niby latającymi spodkami. Że musieli być nieźrównoważeni.

– Tak gada, ale na serio o tym marzy. – Mrugnął do niej. – My chłopaki lubimy takie rzeczy, w każdym wieku.

– My dziewczyny też, ale staramy się zachować zdrowy rozsądek – odparowała i postawiła na stole talerze. Usiadła. – Opuśćmy sobie na razie tego Fawcetta, bo zwariujemy. Powiedz lepiej, co jeszcze nowego w śledztwie. Co wie policja.

Emil streścił jej wszystko, czego dowiedział się od Zebry.

– Więcej nie wiem. Rozumiesz, tajemnica śledztwa. Znasz nasz układ z Markiem. Policja prowadzi swoje dochodzenie, a ja własne dziennikarskie śledztwo. Czasem sobie pomagamy, ale w pewnych granicach. Nie nalegam, bo wiem, ile może Zebra. I wiem, że we właściwym momencie otrzymam od niego informacje jako pierwszy, na wyłączność. Zrobię z tego doskonały reportaż, po który ustawią się kolejki.

– Wiem, nie musisz mi tego za każdym razem tłumaczyć. Straszna historia z tym bezdomnym chłopakiem...

– Tak. Mnie to też walnęło. Dzieciak prawie. Niewiele starszy od Bartka.

Marta zawahała się.

– Tak, ale... A jeśli jednak był winny? Młodzi ludzie też popełniają przestępstwa. Jeśli to on zabił Milczanowskiego? Może to były porachunki bandytów, na przykład jakiegoś gangu, i dlatego też musiał zginąć?

Żądło pokręcił głową.

– Nie wierzę – odparł. – A zwykle ufam swojej intuicji i dobrze na

tym wychodzę. Chłopak był upośledzony. A Modry mówił, że wręcz wielbił Milczanowskiego. Tacy ludzie są wierni, nie skrzywdziłyby swojego dobroczyńcy, którego ubóstwiał. Poza tym prawdopodobnie zginął jeszcze przed nim, no... w każdym razie w podobnym czasie. Nie żył od dawna, kiedy ktoś powiesił Modrego, napadł na Wyszковского, wysłał anonim do muzeum i uszkodził mój wóz...

Marta zjadła kanapkę i sięgnęła po następną. Emil zrobił to samo.

– Okej. A jak autko? – zapytała lekkim tonem.

– Jak nowe! – uśmiechnął się. – Zebra się spisał.

– To się nazywa przyjaźń. Świetnie. A wracając do tego chłopaka... Cóż, żal. Życie jest nieprzewidywalne.

Odsunął od siebie talerz.

– Marta...

– Tak? – Uniosła brwi.

– Nie, nic. – Odwrócił wzrok. – Tęsknię za tobą. Po prostu.

Zamrugnęła, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zauważył, że lekko zadrżała jej ręka. By to zatuszować, sięgnęła po kubek z herbatą. Zbyt gwałtownie, zbyt pośpiesznie. Trochę się przy okazji rozlało.

– Ja też. – Wstała, by ostawić talerze do zlewu. – A najbardziej to chyba on. – Wskazała na kota.

Rudzielec rozłożył się na parapecie i udawał, że nie słucha. Marta urwała kawałek ręcznika papierowego i starła plamę z blatu. Emil przypomniał sobie o pluszowej myszce, którą przez przypadek zabrał.

– Cholera, zostawiłem w innej kurtce jego zabawkę...

– Nie szkodzi. Przyniesiesz ją następnym razem.

– Czy moglibyśmy... czy myślisz... – Zebrał się na odwagę, tyle, że trudno mu było sformułować pytanie. Jednak Marta zrozumiała:

– Może. Nie wiem. Nie każ mi w tej chwili odpowiadać. Muszę to przemyśleć. Teraz już lepiej idź, dobrze?

Wyszedł, słysząc za drzwiami żalosne zawodzenie Bolera. Zdecydował się wracać jednak swoim samochodem, wypił w sumie zaledwie kieliszek wina, a nie czekała go daleka droga. Wsiadając do auta, nie odwrócił się. Nie chciał widzieć jej okna. Chciał tu wrócić i już nigdy nie odjeżdżać. Zapalił papierosa i szybko odjechał. Lecz w środku głowy i tak dalej słyszał płacz kota.

Z drugiej strony drzwi Marta słyszała go naprawdę. Bolał. Aż w końcu sama oparła głowę o framugę i pozwoliła sobie na łzy.

* * *

Wydarzenia, które nastąpiły później, zbiegły się w czasie do tego stopnia, że Emil – odtwarzając je sobie w pamięci – musiał się nieźle nagłowić, by *post factum* ustalić ich właściwą kolejność. Najpierw na jego służbową komórkę zadzwoniła Dominika Wyszowska. Ponieważ dziennikarz nie mógł akurat odebrać telefonu, nagrała na pocztce głosowej wiadomość, by jak najszybciej oddzwonił, gdyż przypomniała sobie o czymś, co pamięta z dzieciństwa, a co może być ważne. Zanim jednak Żądło zdążył zareagować, na jego telefon prywatny zatelefonował zdenerwowany Zebra:

– Oglądałeś wiadomości?! – zapytał, nie bawiąc się we wstępne grzeczności.

– Nie, nie miałem czasu, a co się stało?

– Czyli nie wiesz, co się wydarzyło w Berlinie?

– No... Chodzi ci o tę strzelaninę?

Emil przypomniawszy sobie niejasno, że w serwisach internetowych mignęła mu informacja o jakiejś strzelaninie na ulicach Berlina. Nie czytał jej jednak dokładnie.

– Tak. Zginął w niej gość, który prawdopodobnie kupił naszą figurkę. Nazywał się Hans Meyer. Coś ci mówi to nazwisko?

Nazwisko od czasu do czasu pojawiała się w prasie.

– Biznesmen, tak? – skojarzył dziennikarz.

– No, powiedzmy. Raczej gangster.

– Ale sądzisz, że zginął z powodu figurki?!

W słuchawce słychać było szum i odgłosy rozmów. Zebra coś do kogoś powiedział, po czym jego głos znów odezwał się do słuchawki:

– Nie, nie podejrzewam. Wygląda na to, że to były grubsze porachunki, trupów jest więcej, Meyer nie był raczej głównym celem,

choć grabił sobie od lat. W każdym razie niczego się już od niego nie dowiemy, kurwa...

Komisarz rozłączył się, więc Emil oddzwonił do Wyszkwowskiej i umówił się z nią na spotkanie u niej w domu następnego dnia rano, bo dziewczyna była – zgodnie z tym, na co sam ją namawiał – na urlopie.

* * *

Tego samego wieczoru przyszedł mail od Marty, oznaczony wysokim priorytetem:

Cześć,

Wiesz, myślę i myślę... i coraz bardziej jestem pewna, że mam rację. Po pierwsze, figurka. Natknęłam się na info, że podczas ostatniej wyprawy Fawcett miał ją ze sobą w dżungli. Musi o nią chodzić: przedziwna figurka jakiegoś bożka z oczami w kształcie migdałów i hieroglifami na piersi, relikw z zaginionego miasta „Z”! Trafiła w ręce Fawcetta już w Brazylii, jak i gdzie dokładnie – tego nie wiadomo. Po prostu była w jego posiadaniu. Rozumiesz, co to oznacza? Że Miasto mogło zostać odkryte już wcześniej, a Fawcett nie szedł w ciemno. No i cudów nie ma, z opisu wynika, że to nasza statuetka! Dziwnym trafem znalazła się w Gdańsku. Najwyraźniej prosto z Brazylii...

Druga sprawa: znalazłam coś o rodzinie Fawcetta. Podobno Fawcett nikomu – nawet żonie – nie zdradził swej ostatniej trasy, trzymał ją przed wszystkimi w tajemnicy. Do tego w dokumentach wyprawy będących w posiadaniu młodszego syna (czyli Briana Fawcetta) pojawiły się celowo wprowadzające w błąd wskazówki. Oni od początku wydawali mi się dziwni. W sensie, że dziwnie się zachowywali. Jakby coś ukrywali. Mówiłam ci o tym. No i jest coś dziwnego w tej całej historii! Żona Fawcetta, Nina Fawcett, zmarła w '51 roku w wyniku zatrucia pokarmowego. Brian podejrzewał, że została zamordowana. Tego nie potwierdzono, ale już samo takie podejrzenie coś znaczy, nie uważasz?

On sam umarł dopiero w 1984 r. Miał jedno dziecko. Jednak nigdzie nie mogłam trafić na więcej info o tym dziecku. Bartkowi może

by się udało. To już zresztą bez znaczenia, ale jedno wydaje mi się oczywiste: rodzina Fawcetta żyła w poczuciu zagrożenia. Zresztą jego potomkowie do tej pory są dość tajemniczy, nawet mediom trudno do nich dotrzeć. Gdzieś się obwarowali na jakiejś wyspie, choć może to plotki, bo sam wiesz, jak to działa. Z innej beczki, skoro już jesteśmy przy tematyce rodzinnej. Bartek przez cały czas szuka rodziny Hansa Schocha. I podobno już na coś wpadł! Na pewno wkrótce się odezwie. A więc czekamy :) Ściskam, a Bolero mruczy –

Marta

* * *

Dwie godziny później. Rozmowa na czacie pomiędzy użytkownikami *Bartek* i *Emil*.

B: Dobrze, że cię złapałem, bo mam coś dla was.

E: Dawaj!

B: Ten wasz gestapowiec miał dziecko z nieprawego łoża.

E: Czyli miał kochankę?

B: No raczej! Chyba musiał mieć do tego laskę, co nie? Ale nic o niej nie wiadomo, tylko tyle, że mieszkała w Danzig. Potem wyemigrowała do Reichu. Schoch miał z nią ponoć córkę, która urodziła się zaraz po wojnie. Ta córka też już nie żyje, zeszła na raka w 2010, ale zostawiła potomka, który mieszka w Berlinie i jest dość ważną szychą. Biologiczny wnuk Schocha. Nazywa się...

E: Niech zgadnę... Meyer?

B: Skąd wiesz?

E: Bo gość właśnie został zabity w ulicznej strzelaninie. To ten sam, co nabył posązek, o którym mówiła ci Marta. O niczym nie słyszałeś?

B: Staruszkule, siedziałem po cebulki włosowe w waszej historii! :) Nie zajarzyłem.

E: Widzisz, czasem staruszek wie coś pierwszy :)

B: *A gdzie wdzięczność? :(*

E: *Żartowałem. Jesteś świetny, synek! Wszystko zaczyna nam się klarować. Dzięki :)*

B: *Niezamaco. Ale potem wszystko mi opowiecie?*

E: *Ma się rozumieć.*

B: *Cool. No to nar!*

E: *Nar.*

* * *

Pół godziny później

– No to chyba oznacza dla nas koniec sprawy – powiedział Zebra, gdy już zebrał myśli. – Musimy to jeszcze sprawdzić, ale chyba wszystko wydaje się jasne. Zabójcę dosięgła sprawiedliwość. Bo to on musiał za tym wszystkim stać. Potomek esesmana, pieprzony szkopski gangster.

– Niby tak, ale...

– Co znowu kombinujesz?

– To czemu kupował figurkę, skoro mógł ją inaczej zdobyć? I po cholere mordował Milczanowskiego? To się kupy nie trzyma...

– Nie wiem. Pewnie coś poszło nie tak. Może Milczanowski był w to wmieszany, może sam to nakręcił, a potem za dużo chciał, więc został wyeliminowany. Meyer osobiście tego zresztą nie zrobił, musiał nasłać tu swoich zbirów, bo wiemy z całą pewnością, że poza krótkim wypadem do Londynu, kiedy wyszła sprawa ze statuetką, nigdzie w ostatnim czasie nie wyjeżdżał. Ale na pewno za tym wszystkim stał. Aż takie zbiegi okoliczności w przyrodzie nie istnieją.

– Ciekawe, czy odnajdą figurkę. I dokumenty z depozytu – zastanawiał się Emil.

– Zobaczymy – odparł komisarz. – Niemieckie gliny będą prowadzić swoje śledztwo, spróbujemy się z nimi dogadać. Może przy okazji na nie wpadną. Dokumenty pewnie też wykradł Meyer. W najgorszym razie te rzeczy gdzieś kiedyś wypłyną, a wtedy

oczywiście wkroczymy. Nic więcej na razie nie da się zrobić.
Zamykamy dochodzenie, twarde dowody nie ma, ale poszlak jest dość. Dzięki, stary. Bardzo nam pomogliście oboje, ty i Marta.

Emil wciąż nie czuł się do końca przekonany, że to prawda.

– Szkoda, że mało skutecznie – westchnął.

– Daj spokój! Pisz swój reportaż i ciesz się, że to już koniec.

Powodzenia, stary. Musimy się wreszcie spotkać kiedyś we czwórkę...

* * *

Nocą

– O Boże, jestem skołowana... Ale jaja... Słuchaj, przecież to jest rewelacja! – wykrzyknęła Marta. – Wszystko się zgadza! Zresztą tak jak podejrzewałam od samego początku. To dzięki Bartkowi! Gdyby nie on, nigdy byśmy do tego nie doszli. Twój syn jest geniuszem, możesz być z niego dumny!

– Jestem. Tylko mu tego nie mów, bo wiesz, woda sodowa... – Emil uśmiechnął się do słuchawki.

– Czyli co, dla policji to koniec sprawy?

– Na to wygląda.

– Słyszę smutek w twoim głosie czy mi się wydaje? – zaśmiała się.

– Czujesz niedosyt, prawda?

– A ty nie? Statuetka zniknęła, papiery po Milczanowskim też. Dupa. Dalej nie wiemy, o co tak naprawdę szła ta gra...

– Posłuchaj. Policyjne śledztwo może i się skończyło, ale nasze nie!

– Z tym, że te rzeczy wyparowały.

– Tak, ale nie zaszkodzi dalej drążyć temat. Cierpliwości. Może znajdą je Niemcy, a może nie. W każdym razie nie jest to koniec. Nie dla nas. Kiedy wpadniesz? Pogadamy o tym na spokojnie.

– A kiedy mogę? – Od razu poprawił mu się humor.

– Kiedy tylko możesz! Co dziś mamy? Środę? Czekaj... jutro pracuję cały dzień, w piątek jestem w terenie. Więc może sobota? Pasuje

ci?

– Jeszcze pytasz? Pewnie, że pasuje. Będę wieczorem, z dobrym winem.

– No to już się cieszę. Do zobaczenia, pa!

– Pa.

Rozłączył się z mieszanymi uczuciami.

* * *

Nazajutrz

Mżyło. Wilgoć wpełzała podstępnie w każdy por odsłoniętej skóry. Emil Żądło postawił kołnierz kurtki i – przeklinając w duchu paskudną pogodę – szybkim krokiem zmierzał do samochodu, zaparkowanego tym razem nie tam gdzie zwykle, czyli w najbliższej bocznej uliczce, ale dwie przecznice dalej, na niewielkim parkingu przy ulicy Matejki. Tak się złożyło, że gdy poprzedniego dnia wracał późnym popołudniem do redakcji, na „swojej” uliczce nie znalazł już ani kawałka wolnego miejsca. Widocznie coś się akurat działo w Manhattanie, jak podejrzewał, być może jakaś wyprzedaż, a może panel literacki w bibliotece. Od czasu do czasu tak bywało, więc pogodzony z losem, zostawił auto nieco dalej. Dopiero teraz się wściekał. Gdy szedł już ulicą Matejki w górę, do parkingu, wściekł się jeszcze bardziej, bo minął go rozpędzony ponad miarę samochód, ochlapując mu przy okazji nogawki spodni. Dziennikarz rozpoznał smukłą sylwetkę nowiutkiej, srebrzystej limuzyny Alfa Romeo. Coś go tknęło. Zanim jednak zdążył przyjrzeć się kierowcy, piękne autko wjechało w Jańskową, skręciło w lewo i zniknęło za rogiem. Tylko śmignęło. Emil pokręcił głową zde gustowany i przyspieszył kroku.

Zanim dotarł do samochodu, czuł się mokry i przemarznięty do szpiku kości. Z ulgą wsiadł wreszcie do środka, zapalając najpierw silnik, a zaraz potem papierosa. Włączył ogrzewanie. Przez chwilę intensywnie myślał, po czym zdusił niedopałek w popielnicze

i odjechał, skręcając w lewo, w stronę osiedla Suchanino. Miał spotkać się z Dominiką Wyszkową u niej w domu, jednak do umówionej godziny pozostało jeszcze sporo czasu, zdecydował się więc załatwić po drodze jeszcze jedną sprawę – prywatną. W zasadzie skłoniło go do tego skojarzenie z Wyszkową i apteką, w której pracowała. Skierował się więc w stronę znajomego już centrum handlowego w pobliżu obwodnicy. O tej porze z łatwością znalazł miejsce do zaparkowania tuż przed właściwym wejściem. Nie bez problemu natomiast odszukał salon florystki. Zawsze gubił się w tych nowoczesnych galeriach handlowych. Na szczęście elegancka kwiaciarnia była otwarta. Wciągnął głęboko ciepłe, aromatyczne powietrze i najpierw – bardziej dla fasonu – obejrzał sobie różne kwiaty, ozdobne drzewka oraz kompozycje kwiatowe, ustawione w przestronnym dwupoziomowym pomieszczeniu. Panował tu niemal mistyczny spokój, cicha muzyka relaksacyjna kołysała nerwy. Najwyraźniej o tej wczesnej godzinie był tu jedynym klientem. Właściwie mógłbym stąd wcale nie wychodzić – pomyślał. Myśl wydała mu się kusząca. Ponieważ jednak zauważył, że urocza sprzedawczyni, ubrana w coś w rodzaju japońskiego kimona, wodzi za nim niespokojnym wzrokiem, podszedł do lady i zapytał o kierowniczkę.

– To akurat ja – odparła z promiennym uśmiechem. – Czym mogę służyć?

– Jestem znajomym Dominiki Wyszkowskiej. Pracuje tu obok, w aptece. Mam nadzieję, że pani ją sobie kojarzy? Bo miałem się na nią powołać... – Nie było to do końca kłamstwo, rzeczywiście kiedyś już rozmawiał na ten temat z Dominiką.

– Dominikę? Oczywiście! Można powiedzieć, że się przyjaźnimy – uśmiechnęła się jeszcze przyjaźniej. – Czego pan sobie życzy?

– Chciałbym zamówić orchideę. Orchideę Cattleya. Chyba dobrze zapamiętałem nazwę... – speszył się.

– Storczyk Cattleya? Naturalnie! W doniczce?

– Hmm... tak, właśnie. Najlepiej w doniczce.

– Zaraz pokażę panu katalog. Nie mam ich w tej chwili na stanie, musiałabym dowieźć z hodowli. Właśnie dopiero co klient kupił ostatnią doniczkę, która była w sklepie. Szkoda, że nie przyszedł pan wcześniej.

– Rozłożyła ręce.

– Nic nie szkodzi, potrzebuję dopiero na sobotę.

– Ach tak. To żaden problem. – Kobieta położyła przed nim na ladzie gruby katalog. – Proszę wybrać. Może pan sobie wygodnie usiąść, o tam, zapraszam. – Wskazała egzotyczny kącik ogrodowy, pod palmą w rogu sali

Żądło rozsiadł się wygodnie w rattanowym fotelu, otworzył folder i przerzucił kilka kartek, jednak wielość barwnych odmian oszołomiła go i przyprawiła o zawrót głowy. Zamknął księgę.

– Chodzi mi o taki rodzaj, jaki zamawia Dominika – wyjaśnił, wracając do lady. – Duże, białe z różowawym środkiem...

Florystka pokiwała głową z uśmiechem.

– Ach, tak, wiem. To ulubione kwiaty Dominiki. Zawsze je u nas zamawia. Oczywiście, już sobie zapisuję. Storczyk Cattleya, biały. Jedna doniczka. To będzie około stu złotych. Pańskie nazwisko?

– Emil Żądło.

Kobieta uniosła lekko brwi, jednak nic nie powiedziała, uśmiechnęła się tylko promiennie. Przywykł już do tego, że jego nazwisko jest w Trójmieście rozpoznawalne.

– Do wysyłki?

– Nie, nie. Dziękuję. Odbiorę osobiście, w sobotę po południu.

– Oczywiście. Nasza królowa orchidei będzie na pana czekać.

Pewnie pan wie od Dominiki, że tak nazywają ten storczyk. Miło mi, że Dominika skierowała pana do nas. Nasze storczyki są najpiękniejsze w całym Gdańsku, zaręczam panu! A może i w całej Polsce. Mamy własną hodowlę.

– Tak, Dominika wspominała o tym, że te kwiaty to państwa specjalność.

– Ona je kocha. Podobno to u nich tradycja rodzinna. I chyba się zgadza, bo właśnie dziś był po nie jej mąż, Michał. To ten klient, o którym wspomniałam, który sprzątnął panu królową sprzed nosa. Dominika podobno jest na zwolnieniu. Ech, ta pogoda, wszystkich grypa bierze. Chyba że się stale przebywa wśród kwiatów! – roześmiała się. – Wtedy co najwyżej alergia. Żartuję, oczywiście, kwiaty to cudowne istoty. Mam nadzieję, że nasz storczyk spodoba się pańskiej żonie. – Zerknęła na niego niewinnie.

Zachował spokój, nawet odwzajemnił uśmiech.

– Na pewno, dzięki. Czyli Michał kupił orchideę? Dziś?

– Tak, dokładnie, rano, od razu po otwarciu. Spieszył się. Ale on zawsze się spieszy! – odparła z uśmiechem. – Takie czasy. Biznesmen. Mówił, że dla pielęgniarek. No, w końcu branża medyczna. Dobrze, czyli w sobotę królowa będzie do odbioru tutaj na miejscu. Jeśli mnie akurat nie będzie, proszę tylko podać swoje nazwisko i ten numerek mojej pracownicy. – Podała mu ozdobny, błyszczący kartonik. – Liczę na to – dodała żartobliwie – że odtąd będzie pan naszym kolejnym stałym klientem. Nie ma żartów z monarchiniami. Kto raz się zakocha w orchidei Cattleya, to już na zabój...

* * *

Wsiadł do samochodu i zerknął na zegar. Wciąż miał jeszcze dużo czasu. Po drodze kupił w spożywczym kilka grahamek oraz sok pomidorowy. Postanowił zjeść w aucie coś w rodzaju śniadania przed spotkaniem, bo oczywiście rano nie miał na nic ochoty, wypił tylko kawę, a teraz ssało go w żołądku. Przed marketem było raczej dość pusto, nikomu nie przeszkadzał, nikt nie czyhał na jego miejsce parkingowe. Jak zwykle źle obliczył czas. Ale to dobrze: jedząc, sprawdzi jeszcze, co słychać w wielkim świecie. Pociągnął łyk soku prosto z kartonu. Włączył laptopa, podłączył się do sieci przez komórkę. Gdy wszedł na lokalny serwis informacyjny, pierwszym, co mu się rzuciło w oczy, była duża rekonstrukcja twarzy Adama Delona, zamordowanego bezdomnego chłopaka. Policja poszukiwała świadków, którzy mogli go widzieć przed śmiercią, samego lub w towarzystwie osób trzecich. Pomyślał, że widocznie chcą jeszcze wyjaśnić tę kwestię przed ostatecznym zamknięciem sprawy. Przynajmniej spróbować. I słusznie. Nigdy nie jest tak, że nie ma żadnych świadków. Niemal zawsze znajdzie się ktoś, kto coś usłyszy lub zauważy. Jak przekonał się Emil, wizerunek Delona został rozpowszechniony w Internecie nie tylko na stronie tego jednego serwisu. Wisiał wszędzie już od samego rana. Wcześniej nie sprawdzał, dlatego nic o tym nie wiedział. Nie rozmawiał

też tego dnia z Zebra, a „Rozgwiastka” była tygodnikiem, nie dziennikiem, więc takie informacje nie docierały do niej od razu. Żądło ucieszył się w sumie, że komisarz postanowił dotrzymać słowa i nie odpuścił tak łatwo.

Wyłączył komputer, zjadł dwie bułki i dopił sok. Zgniół karton i poszedł wyrzucić go do ustawionego parę metrów dalej kosza na śmieci. Zrezygnował z papierosa, nie chcąc epatować niepalącej Dominiki smrodem nikotyny w jej własnym mieszkaniu. Zbliżała się godzina umówionego spotkania. Zostało mu zaledwie piętnaście minut, na szczęście osiedle Arkadia znajdowało się niedaleko stąd. Ruszył w jego stronę bez pośpiechu. Zdaży. Zresztą Wyszowska i tak siedzi w domu – jest przecież na urlopie.

Nie spóźnił się. Dominika czekała już z kawą na podgrzewaczu. Starannie ubrana, lecz bez makijażu – wyglądała blado i mizernie. Do kawy podała tabliczkę ciemnej czekolady, którą połamała na kawałki i ułożyła w płytkiej szklanej miseczce. Od razu sięgnęła po jeden kawałek, zaraz potem po drugi. Podsunęła miseczkę gościowi, Emil wziął jedną kostkę, dziewczyna trzecią.

– Potrzebuję magnezu – wyjaśniła, zauważając jego rozbawione spojrzenie. – Czekolada go zawiera. Uspokaja mnie. Równoważy kofeinę.

Farmaceutka – pomyślał przyjaźnie. Pewnie nie pije kawy, tylko „zażywa” kofeinę, traktując napój jak lekarstwo. Inna sprawa, że musi być naprawdę kompletnie rozbita. Na taką zresztą wygląda.

– Jest pani na urlopie? – zagadnął, sięgając po filiżankę. – Bardzo dobry pomysł. Powinna pani odpocząć.

– Na zwolnieniu. Fatalnie się czuję ostatnio. Chyba mi nerwy puściły po tym wszystkim – wyznała.

– Doskonale to rozumiem. Każdemu by puściły.

– Tak. Ostatnie tygodnie były nie do zniesienia, jakiś koszmar. Cieszę się, że to już koniec, tak przynajmniej poinformowała nas policja. Teraz już sama nie wiem, czy mam panu dalej głowę zawracać...

– Ależ oczywiście, po to przyjechałem! – zaoponował. – Może

i sprawa zakończona, ale nadal nie wszystko jest jasne. Przynajmniej dla mnie. A jako reporter jestem dociekliwy. Chciałbym zrobić coś... w zasadzie zobowiązał mnie do tego pan Modry. Powiedział, że pani tata planował opisać historię „zaginionego miasta”. Nie było mu to dane. Więc może mnie to się uda za niego.

Wyszkowska zamrugła

– To piękne, co pan mówi. Życie ojca nie poszłoby na marne. Ani jego bezsensowna śmierć. Cieszyłby się...

– Więc proszę się nie zastanawiać, tylko po prostu opowiedzieć mi o tym, co się pani przypomniało – uśmiechnął się pokrzepiająco.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Dobrze. Bo widzi pan, ja o tym całkiem zapomniałam, nawet nie łączyłam tego z ostatnimi wydarzeniami. Dopiero teraz przyszło mi to do głowy. Że to może mieć związek. Chodzi o czasy, kiedy byłam dzieckiem. Jeszcze żyła mama – westchnęła. – A z tego, co mówili rodzice, zdarzyło się to już wcześniej, nawet dwa razy, kiedy jeszcze mieszkali tu dziadkowie razem z tatą, bo moi rodzice późno się pobrali. Trzeci raz zdarzyło się, gdy byłam mała, musiało to być w latach dziewięćdziesiątych. Jacyś Niemcy nas nachodzili. Poprzednio to było jeszcze za PRL, ja tych czasów w ogóle nie pamiętam, urodziłam się właściwie po komunie. Ale wtedy już dużo Niemców z Zachodu przyjeżdżało podobno do Gdańska, autokarami ich tu zwożono, żeby mogli zwiedzić miasto. Uważali, że wracają do siebie, ojciec mówił, że tak się zachowywali, jakby to oni wciąż byli tu gospodarzami. Że wrzeszczeli na ulicach, rozpychali się łokciami i w ogóle. No i dwa razy, nie wiem, w jakim odstępie czasu, ale pewnie paru lat, tak mi się przynajmniej zdaje... znam to tylko z opowieści rodziców... jacyś niby to turyści z Niemiec próbowali wtargnąć do naszego mieszkania pod pretekstem, że dawniej tu mieszkali czy coś w tym stylu. Że niby sentymenty, wie pan. Takie tam gadanie. Nachalni byli i moja babcia ich ścierką pognała, a raz dziadek zgłosił to nawet na milicję, ale skończyło się na niczym. Zresztą co im mogli zrobić. Chyba było to w latach 70., a może 80., nie jestem do końca pewna. Jeszcze mnie w każdym razie nie było na świecie. I później dokładnie to samo zdarzyło się, kiedy byłam dzieckiem. Miałam wtedy gripę i siedziałam sama w domu, tata

był pewnie w pracy, a mama wyskoczyła tylko po zakupy. I wtedy ktoś zadzwonił do drzwi. Wyskoczyłam z łóżka, pamiętam, że bosy, za co mi się później oberwało... Zapytałam „kto tam”, i usłyszałam głosy w obcym języku i łamaną polszczyzną. Jakaś pani powiedziała, że jest moją ciocią z zagranicy i żeby ich wpuścić. Ale ja nie byłam taka głupia. Dobrze wiedziałam, że nie mam żadnej cioci za granicą. Więc nie wpuściłam, tylko trzęsłam się pod drzwiami ze strachu, aż zaczęli w nie łomotać, wręcz walić! Na to akurat wróciła moja mama, usłyszałam straszną awanturę, powychodzili sąsiedzi, mama na całą klatkę krzyczała, że nic nie będą w jej domu żadne szkopy oglądać i że zaraz dzwoni po policję. No to tamci ludzie wreszcie sobie poszli, strasznie źli. A kilka dni później mieliśmy włamanie do piwnicy. Niczego nam nie ukradli, tylko wszystko było porozwalane. Jakby czegoś szukali. Oczywiście tata zgłosił włamanie na policję, ale... zbyli nas, w końcu nic nie zginęło. Jaka ja durna, że od razu tego nie skojarzyłam! Przecież oni na pewno musieli szukać tej zamurowanej skrzynki... Tyle, że jej dawno już tam nie było. – Rozłożyła ręce. – Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale to naprawdę było dziwne...

Żądło pomyślał o tajemniczej kochance i córce Schocha. Być może nawet sam Meyer maczał w tym palce.

– Na pewno ma znaczenie. To bardzo ciekawa historia, pani Dominiko, i świetnie pasuje do reszty. – Zerknął na zegarek i dopił kawę. – Dobrze, że mi to pani opowiedziała, dziękuję za zaufanie.

– Fajnie, że mogę być pomocna. Też bym chciała, żeby napisał pan ten reportaż – uśmiechnęła się blado.

– Zrobię to. Obiecuję. Będę uciekał, obowiązki wzywają. Da sobie pani radę? Mąż pewnie zaraz wróci?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Niestety. Jestem sama. Trochę mam stracha, ale... jakoś to przeżyję. Męża nie ma, znów musiał wyjechać służbowo. Tego też mam już trochę dość. Tej jego pracy. Wiecznie siedzę sama, bo jego ganiają po całym świecie!

Emila zastopowało.

– Wyjechał? Kiedy?

– Wczoraj wieczorem. – Spojrzała na niego ze zdziwieniem. – Do

Berlina. A dlaczego pan pyta? To nic nowego. Ciągłe wyjeżdża – dodała z goryczą.

– Pojechał samochodem? Prosto do Niemiec?

– Tak. Wcześniej zrobił mi zakupy, żebym nie musiała wychodzić z domu, skoro jestem chora. Rano mi przysłał esemesa, że wszystko dobrze, ale nie wie, kiedy wraca. Zaraz... zadzwonię do niego...

Wyjęła komórkę i wystukała numer. Chwilę słuchała w napięciu, po czym rozłączyła się.

– Abonent poza zasięgiem – wyszeptała ze strachem w oczach.

Emilowi nagle zaczął się palić grunt pod nogami. Wszystkie niejasne, do tej pory rozproszone skojarzenia znalazły się nagle na swoim miejscu, nie wróżąc niczego dobrego.

– Pani Dominiko! – zawołał, w pośpiechu sięgając po kurtkę. – Proszę zostać w domu, o nic nie pytać. Niech pani nigdzie nie wychodzi. Gdyby mąż się zgłosił, proszę do mnie od razu zadzwonić. Odezwę się do pani, ale teraz muszę już lecieć...

Wyszkowska wstała z kanapy, wyraźnie zdenerwowana.

– Ale co się stało? Przeraza mnie pan... Czy Michałowi coś grozi?!

– Właśnie tego nie wiem. Muszę...

– Panie Emilu, błagam! Boję się! Bo... bo rano dzwonili już tutaj z policji! Też pytali o Michała... Ten policjant mówił, że chcą z nim tylko porozmawiać, ale powiedziałam mu to samo co panu, że wyjechał za granicę i nie wiem, kiedy wróci! O co tu chodzi, panie Emilu, niech mi pan powie!

Zasunął zamek kurtki i już w drzwiach odpowiedział:

– Proszę mi zaufać. Najważniejsze, że pani jest bezpieczna, ale na wszelki wypadek proszę teraz zamknąć drzwi na klucz, pod żadnym pozorem nie wpuszczać nikogo obcego i być ze mną w kontakcie. Wkrótce wszystko się wyjaśni.

Zbiegł po schodach jak szalony. Po chwili pełnym gazem wjechał na obwodnicę. Oby tylko nie było korków! – w duchu zaklinał los.

* * *

Matemblewo, dom seniora „Pod Modrzewiem”

Gdy wyciskając ze swojego starego samochodu wszystkie siły i przekraczając chyba wszelkie możliwe ograniczenia prędkości, dojechał wreszcie do Matemblewa i zaparkował w uliczce przed domem seniora, srebrzystego Alfa Romeo tam nie było. Więc albo się pomylił, albo spóźnił. Zaraz się okaże. Brama na szczęście była otwarta, nie musiał korzystać z domofonu. W recepcji zastał tę samą uśmiechniętą pielęgniarkę co poprzednim razem. Poznała go od pierwszego rzutu okiem, przynajmniej na to wyglądało. Tym razem się jednak nie uśmiechała. Wręcz przeciwnie, oczy miała czerwone i lekko zapuchnięte, jakby od płaczu. Na jego widok zareagowała nerwowo:

– Pan tutaj z jakiego powodu?

Nie miał czasu na uprzejmości.

– Chciałbym się widzieć z kierowniczką.

– A czego tu jeszcze prasa szuka?! Nie wstyd wam? Jak sępy! Nie rozumiem, jak tak można...

– Proszę pani, ja również wielu rzeczy nie rozumiem. Ale teraz nie chcę z panią na ten temat rozmawiać. Muszę się widzieć z kierowniczką, i to pilnie.

– No to już jest szczyt...

– Czy coś się tutaj stało, że jest pani taka zdenerwowana?

Kobieta nabrała wody w usta.

– Proszę odpowiedzieć, nie ma teraz czasu na fochy! – zdenerwował się i też podniósł głos. – Czy wszystko w porządku ze starszym panem Modrym? Proszę mówić!

– Niech mi pan da święty spokój! Proszę natychmiast opuścić teren ośrodka, bo wezwę ochronę. Mam dość kłopotów! Ja już swoje dzisiaj oberwałam! Co to ja jestem, chłopiec do bicia?! – Głos kobiety załamał się histerycznie, z saloniku naprzeciwno zaczęli wyglądać pensjonariusze.

– Proszę pani... – zaczął, lecz urwał, słysząc za plecami głośnie stuknięcie drzwi i czyjś stanowczy głos:

– Co tu się znowu dzieje, pani Mirelo?

Odwrócił się i ujrzał szefową ośrodka. Ona też od razu go

rozpoznała.

– To pan. Doskonale się składa, bo już naprawdę nie wiedziałam, co robić, myślę, że może nam pan pomóc. Poznaliśmy się na pogrzebie pana Zenona. Witam i najmocniej przepraszam za tę scenę. Pani Mirelo, na przyszłość niech pani będzie łaskawa w takich sytuacjach od razu mnie poprosić, dobrze?

Recepcjonistka zaniemówiła.

– Zapraszam pana do mojego gabinetu. – Kierowniczka wskazała dziennikarzowi drogę. – Wszystko panu wyjaśnię.

Gabinet był mały, lecz jasny, pogodny i przytulny, utrzymany w tonacji beżów i delikatnych różów. Bardzo kobiecy. Budzący zaufanie. Na biurku pod oknem, obok komputera, stała ozdobna donica z pięknym okazem orchidei Cattleya. Kwiat wyglądał na świeży, był wciąż jeszcze przyozdobiony złocistym tiulem.

Emil zajął miejsce na niedużej sofie, ustawionej przy niskim lakierowanym stoliku. Kobieta przysunęła sobie krzesło. Ona również była zdenerwowana, co zauważył dopiero tutaj, tyle że w przeciwieństwie do recepcjonistki doskonale nad sobą panowała.

– Na wstępie, czy mogłabym czymś pana poczęstować? Kawa, herbata? – zagaiła.

– Dziękuję, nie trzeba. Już piłem kawę. Przyznam, że trochę mi się spieszy, więc...

– To dobrze się składa, bo i mnie. Przejdźmy zatem od razu do rzeczy. Starszy pan Modry miał atak, musieliśmy wezwać lekarza. Teraz już dochodzi do siebie. Nic mu na tę chwilę nie grozi, ale...

– Czy był tutaj dzisiaj pan Wyszkowski? – uciął. To przede wszystkim chciał wyjaśnić. Od razu na wstępie. – To od niego ten kwiat, prawda?

Kierowniczka pokiwała głową.

– Zgadza się. Był. Całkiem niedawno odjechał. I właśnie o to chodzi. Bardzo mnie zaniepokoiła ta wizyta. Z początku wszystko było normalnie, nawet bardzo miło, choć przyjechał w dość nietypowej porze, bardzo wcześnie jak na składanie wizyt. Ale akurat jedna z pielęgniarek zachorowała, więc byłam na miejscu. Na zmianie mamy zazwyczaj jedną pielęgniarkę na recepcji i drugą przy pensjonariuszach – dodała

w zasadzie niepotrzebnie. Zniecierpliwiony czekał na ciąg dalszy, lecz nie chciał jej popędząć. – Bardzo prosił, żeby go wpuścić do starszego pana, bo wyjeżdża i właśnie po drodze wpadł się pożegnać. Wręczył nam ten kwiat, taki elegancki. Zgodziłam się. Szczerze przyznam, że nawet mnie wzruszył. To przecież nawet nie rodzina, a i rodziny bywają... cóż, różne. No więc poszedł na górę, niby tylko na chwilę, tak się przecież spieszył, ale długo nie wracał. Aż mnie to zaniepokoiło. Poszłam do pokoju pacjenta, a tam zastałam istny Armagedon. Wszystko przewracane, powyciągane z szaf, a staruszek przerażony. I już pan Wyszkowski nie był taki miły. Kiedy go wyprosiłam z pokoju, zaczął się prawie ze mną szarpać. Pytał, czy mamy sejf. Myślałam, że zwariował, zagroziłam policją. W końcu wyszedł, trzaskając drzwiami. W tym czasie akurat starszy pan dostał ataku, pewnie też się biedaczek wystraszył... i musiałam wzywać pomoc, doprowadzić wszystko do porządku. Przypominam, że zostałam sama, bez pielęgniarki, a na dole też ktoś musi pilnować, nie mogłam więc scedować tego na Mirelę, sam pan widział, jaka jest nerwowa. A w tym czasie pan Wyszkowski zszedł do niej i... Moja wina, ale dowiedziałam się o tym dopiero później. Mirela była niczego nieświadoma. Powiedział jej, że ma moją zgodę, tylko musiałam zostać przy pacjencie, który nagle zasłabł. I że ma mu pokazać, co pan Modry pozostawił w naszym sejfie. Tłumaczył, że chodzi o bardzo ważne dokumenty, których pilnie potrzebują do załatwienia formalności spadkowych. My, proszę pana, oczywiście przechowujemy depozyty naszych pensjonariuszy, co cenniejsze rzeczy: pieniądze, biżuterię, dokumenty właśnie, i tak dalej. To zależy od pacjenta lub rodziny. Mirela ma dostęp do depozytu, bo najczęściej ona tu jest obecna, zatrudniam ją na cały etat, reszta jest dorywczo. Uznała, że skoro pan Wyszkowski opłaca pobyt pana Modrego w naszym ośrodku, to jest upoważniony. No i w zasadzie miała rację, bo pani Dominika, żona pana Wyszkowskiego, jest spadkobierczynią młodszego pana Modrego, świętej pamięci... Ech, skomplikowane to wszystko, ale na pewno pan zrozumie. Koniec końców pan Wyszkowski zabrał z depozytu pewien przedmiot i odjechał bez pożegnania. Mirela mówiła, że odepchnął ją od drzwi tak, że o mało się nie przewróciła, w potem wybiegł i pojechał z piskiem opon. A ja ją jeszcze za to zwymyślałam.

Dlatego tak na pana napadła. Jeszcze raz przepraszam...

Kobieta westchnęła głęboko i spojrzała na dziennikarza z nadzieją.

– Co to był za przedmiot? – zadał pytanie.

– To był klucz. Od skrytki pocztowej.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział, choć właśnie zaczynał rozumieć.

Kierowniczką westchnęła jeszcze raz, wyraźnie zakłopotana.

Wahała się przez chwilę, przemogła się jednak:

– To ja już panu wszystko powiem. Może pan będzie wiedział, co z tym zrobić. Pan Zenon Modry, jakiś czas przed śmiercią, przyniósł do nas ten klucz i prosił o przechowanie go w rzeczach ojca. Mówił, że to bardzo ważna sprawa. Rodzinny sekret. I że jeśli jemu coś się stanie, to zgłosi się do nas młody człowiek, nazwisko miałam zapamiętać i zapamiętałam, bo charakterystyczne: Adam Delon. On tu nawet ze dwa razy był, raz z panem Modrym, a drugi raz sam, przywiózł ubrania na zmianę dla starszego pana. Pan Modry powiedział, że ten młody człowiek otrzymał jego upoważnienie i tylko jemu mam oddać ten klucz razem z numerem skrytki, a on już będzie wiedział, co z nim zrobić. Ale nie zjawił się, choć od śmierci pana Modrego upłynęło już sporo czasu, a dziś rano w telewizji nadawali, że znaleziono zwłoki młodego mężczyzny, Adama D. Od razu skojarzyłam, że to ten sam chłopiec. Miałam nawet zadzwonić w tej sprawie na policję, ale zaraz potem przyjechał pan Wyszkowski, zrobiła się burza i wyleciało mi to z głowy...

– Dlaczego panie, na litość boską, nie zawiadomiły policji od razu po śmierci Modrego?

Pokręcił głową z dezaprobatą. Do ilu nieszczęść by nie doszło, gdyby ludzie mieli więcej rozsądku – pomyślał.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że... – tłumaczyła się szefowa domu seniora. – Sądziłam, że to prywatna sprawa, nie chciałam się wtrącać. Pan Modry prosił o dyskrecję. Pragnęliśmy uszanować jego wolę...

– Ale ktoś pana Modrego zabił.

– Mówili, że popełnił samobójstwo. – Głos jej się lekko załamał, była bliska płaczu. Dał spokój kobiecie, wyjął telefon i pośpiesznie

wystukał numer służbowej komórki Zebry. Na szczęście komisarz odebrał po pierwszym dzwonku.

– Marek, nie przerywaj, tylko słuchaj, to bardzo ważne! Michał Wyszkowski właśnie spiesza do Niemiec. Swoim samochodem, srebrne Alfa Romeo, numerów nie znam, ale może Dominika zna. Przypuszczalnie ma przy sobie papiery Milczanowskiego. Tak, te same! W tej chwili musi być w drodze, najprawdopodobniej do Kołbaskowa. Nie spodziewa się pościgu. Raczej jeszcze nie przekroczył granicy, nie zdążyłby. Wyślijcie za nim ludzi!

Zebra nie marnował czasu na rozmowy.

– Okej, dzięki, stary! Przyjąłem. Zaraz wydam dyspozycje i oddzwonię do ciebie, bo też mam informacje...

Zadzwoił po piętnastu minutach, które Żądło spędził już w swoim samochodzie, gdzie wreszcie mógł sobie z ulgą zapalić. Opuścił dom opieki, uspokajając zdenerwowane i pełne poczucia winy panie. Ale nie chciał już tam dłużej przebywać

– Drogi zablokowane, patrole ustawione, szczecińska jednostka zabezpiecza teren przygraniczny. Jeśli tylko masz rację, to dorwiemy gnojka – oświadczył komisarz. – A do nas z samego rana zadzwonił pewien facet. Poznaliśmy go podobno na pogrzebie Modrego. Bystry gość, też matematyk, znajomy Modrego z pracy. Zdecydował się na kontakt z policją po opublikowaniu w mediach podobizny Delona. W ostatniej chwili przyszło mi to do głowy, wykorzystałem fakt, że śledztwo nie zostało jeszcze formalnie zamknięte. Natchnienie, intuicja, coś jak u ciebie. Dlatego nic o tym nie wiedziałeś, to była błyskawiczna decyzja. I dobrze się stało. Otóż Modry przed śmiercią zobligował go do czegoś. Tego faceta. Prosił mianowicie, że gdyby coś mu się przytrafiło, to do tego gościa zgłosi się Delon właśnie i coś mu przekaże. Ważne papiery, które ma oddać policji i dopilnować, żeby potem trafiły w kompetentne ręce, najlepiej do jakiejś placówki badawczej. Facet zgodził się, ale gdy dziś zobaczył w Internecie naszą akcję, szybko zajarzył, że chłopaczek już nigdy do niego nie dotrze. Dlatego zadzwonił. Łapiesz?

– Łapię doskonale. – Emil zgasił papierosa i napił się coli, którą zawsze ze sobą woził. – Dobry pomysł mieliście z tą publikacją.

A myślałem, że sprawa zamknięta. Dobra, wracam do redakcji. Domyślałam się, że wyślesz też kogoś do Dominiki. Biedna dziewczyna, świat jej się właśnie zawalił...

– Jasne, dostanie wsparcie psychologiczne, poza tym trzeba ją przesłuchać.

– Bądźcie delikatni, to jeszcze prawie dzieciak. Życie jej nieźle dokopało.

– Wyślemy kobietę. Nie martw się. Trzymaj lepiej kciuki, żebyśmy złapali skurwysyna!

– Trzymam.

Gdy skończył rozmawiać z Zebłą, zadzwonił do Dominiki. Powiadomił ją, że niedługo przyjedzie do niej policjantka i wszystko wyjaśni. Żeby się nie przestraszyła. Tylko tyle mógł teraz dla niej zrobić.

* * *

Kilka dni później

– Dorwali Wyszковского kilka kilometrów przed granicą, był tak zaskoczony, że nawet się nie stawiał – powiedział Zebra, otwierając dwie butelki piwa, które rozlał do wysokich szklanek. Piwo przyniósł Emil, była to obiecana zgrzewka, dowód wdzięczności za naprawiony samochód. Siedzieli sami w mieszkaniu komisarza na Starym Mieście. Maria była w redakcji. Oprócz nich na wersalce przy kaloryferze wygrzewał się tylko kot, a raczej kotka, niepodobna do Bolera: malutka, srebrzystoszara, wielka miłość obojga. Na imię miała Kulka.

– Przyznał się, jak rozumiem – odezwał się Żądło, z rozkoszą popijając piwo. Dawna, niemal zapomniana przyjemność, do której już go nie ciągnęło, ale spotkania z Markiem nie wyobrażał sobie bez niej. Tradycja to tradycja.

– Prawie od razu! Tylko na samym początku grał głupa. Ale zaraz potem zmiękł. Słaby charakter ma gówniarz, wyśpiewał wszystko jak na

spowiedzi. Twardzielem był wtedy, kiedy stali za nim silniejsi. Kiedy został sam na placu boju, wylazł z niego pospolity mięczak. Liczy na łagodniejszy wyrok. I pewnie go dostanie, bo teraz... sam wiesz.

– Opowiadaj.

– Właśnie myślę, od czego by tu zacząć. Bo sprawa ma dość długie korzenie. Nawet byś się nie domyślał, do czego zdolne są takie gnoje. On poznał się z Dominiką na studiach. Już wtedy był śliski, dilerował, miał kontakty ze środowiskiem przestępczym. Taki typowy niebieski ptaszek z „dobrej rodziny”. Przypadkiem usłyszał o historii z depozytem i zaginionym miastem. W przeciwieństwie do dziewczyny chętnie słuchał opowieści Milczanowskiego, sekundował mu, czym wkupił się w łaski przyszłego teścia. Wyśpiewał o tym Dutkiewiczowi, z którym już wcześniej załatwiał lewe interesy. Dutkiewicz nadał sprawę do Meyera. Współpracowali blisko od dawna, stary wyga od razu załapał, w czym rzecz, znał przeszłość Meyera, a raczej jego rodziny. Historię z depozytem po biologicznym dziadku Meyer znał z opowieści matki i babki, która była sekretarką w gdańskim gestapo. I obaj wkręcili Wyszковского w tę kabałę. Gówniarz był chętny, wiedział, że Meyer ustawi go na starcie życiowym. Ożenił się z Dominiką dla kasy. Dla kasy Meyera. Miał kontrolować i sterować Milczanowskim na miejscu, a przede wszystkim, będąc w rodzinie, wycygnąć od niego depozyt. Z łatwością zwiódł śliczną, naiwną i samotną młodą pannę. Sam widziałeś, że mógł się dziewczuchom podobać, a do tego potrafił grać jak aktor filmowy. Zakochała się, zaufała mu, trudno jej się dziwić. Zresztą nikt by go nie podejrzewał. Nas też długo wodził za nos. Praca w międzynarodowej firmie medycznej, też załatwiona zresztą przez kontakty Meyera, bardzo mu pasowała, szczególnie ze względu na możliwość podróżowania. Ułatwiała mu kontakty ze zleceniodawcą. I przez długi czas zapewniała alibi, bo zawsze kiedy coś się działo, on był niby to nieobecny. Potrafił to sobie zorganizować przy pomocy swych mocodawców, tak jak potrafił się nieźle maskować. Tyle z przeszłości. Teraz przechodzimy do najnowszych wydarzeń. Meyera postawiła na nogi nieoczekiwana decyzja Milczanowskiego o wystawieniu statuetki na aukcji. Miał całkiem inne plany, chciał ją odzyskać dla siebie, ale po cichu. Milczanowski był jednak uparty,

skontaktował się z domem aukcyjnym w Londynie, narobił zamieszania. Podkusiło go, żeby rozdmuchać sprawę, zanim opublikuje swoją książkę. Załatwili to więc tak, że Wyszkowski, niby to wspierając teścia, jako jego przedstawiciel wywiózł figurkę, a następnie zorganizował przejęcie jej przez Meyera. Coś jednak poszło nie tak, może miało to związek z kasą ze sprzedaży, w każdym razie Milczanowski zaczął się czegoś domyślać. Nakrył Wyszkowskiego, kiedy ten szperał w jego rzeczach. Wyszkowski szukał dokumentów, bo te Milczanowski zawsze trzymał pod kluczem w jakimś schowku, do którego nikt nie miał dostępu, nawet córka nie wiedziała, gdzie jest. Dlatego Wyszkowski upozorował włamanie, dość amatorsko. Potem próbował wywrzeć na teścia naciski, szantażował go, w końcu groził. Wszystko zaczęło się gmatwać. To wtedy nauczyciel zdecydował się napisać do prasy, czyli do ciebie. Za późno. Wyszkowski zatłukł teścia przypadkowo podczas kłótni tej samej nocy, kiedy z nim rozmawiałeś, starym mosiężnym świecznikiem, który potem wrzucił do Motławy. Nikt nie zauważył braku świecznika, bo w domu Milczanowskich było ich pełno. Lecz dokumentów nie znalazł, ponieważ Milczanowski już wcześniej je zabezpieczył. I tu zaczyna się jazda. Sam Wyszkowski nie wie do końca, jak naprawdę było. To, co teraz usłyszysz, to częściowo rekonstrukcja faktów, a częściowo nasze domysły. Milczanowski ufał do końca tylko jednej osobie: Modremu, który był nie tylko najbliższym sąsiadem, ale i wieloletnim przyjacielem, wtajemniczonym w większość jego spraw. I obsesji, nazwijmy rzecz po imieniu. Bo Milczanowski był porządnym człowiekiem, jednak opętany manią, która wpędziła go do grobu. Modry też jej częściowo uległ. W końcu od lat robił za powiernika. A przynajmniej pozostał wierny przyjaźni aż do końca. Milczanowski, czując zagrożenie, właśnie jemu powierzył swój skarb, czyli ponemiecki depozyt, z wyjątkiem figurki, która już wcześniej pojechała do Londynu. Miał go skutecznie ukryć. No i zrobił to. Najpierw trzymał teczkę u siebie w domu. Po śmierci Milczanowskiego zabrał też jego notatnik i schował razem z tamtymi dokumentami. Już wcześniej był umówiony z Milczanowskim, że w razie niebezpieczeństwa ma teczkę przekazać Adasiowi Delonowi, który może nie był we wszystko wtajemniczony, ale wielbił swoich dobroczyńców wiernie jak psiak. Obaj –

Milczanowski i Modry – byli pedagogami, mieli dobry kontakt z młodymi ludźmi. Delon zrobiłby wszystko, co mu kazali, a nikt by u bezdomnego narkomana nie szukał. Modry nie wiedział tylko, że chłopak już wtedy nie żył. Sądził, że celowo zszedł z oczu policji i po prostu się ukrywa. Nie podejrzewał najgorszego. Dlatego sprokurował całą aferę z kluczykiem... którą już znasz. Dodam tylko, że dokumenty zostały przez Modrego wyjęte z oryginalnej teczki, która pewnie nie zmieściłaby się w skrytce, i zapakowane do koperty zaadresowanej na Muzeum Archeologiczne w Gdańsku. Tak więc przezornie zabezpieczył depozyt na wszelkie możliwe okoliczności.

Delona Wyszkowski załatwił z premedytacją, na rozkaz Meyera, tuż po „wypadku” z Milczanowskim. Chłopak za dużo wiedział, był potencjalnym świadkiem, nakrył raz Wyszkowskiego, kiedy ten buszował w mieszkaniu Milczanowskiego pod jego nieobecność. No i stale przebywał na klatce, stał się zbyt niebezpieczny. Najpierw Wyszkowski próbował go kupić, ale biedny Adaś nie potrafił udawać. Nie był natomiast aż tak upośledzony, by nie kojarzyć faktów. Musiał więc zniknąć. No więc pod pretekstem, że ma coś dla niego od Milczanowskiego, zwabił go nad kanał w Porcie, zabił i pozbył się zwłok oraz narzędzia zbrodni, czyli po prostu klucza do kół. Nawiasem mówiąc, nasza akcja w mediach zdała egzamin. Tego wieczoru w krzakach jarała trawkę – zapewne, bo wprost się do tego nie przyznali – grupka młodzieży. Dwóch chłopaczków i dziewczyna. Nie widzieli wprawdzie całego zajścia, ale zauważyli zajebistą brykę: srebrne Alfa Romeo, z którego wysiadło dwóch mężczyzn, a wrócił jeden...

I już tylko za ten wyczyn nie mam litości dla gnoja. Modrego z kolei załatwił, bo ten zrozumiał zbyt szybko, kogo bał się Milczanowski. Musiał się w jakiś sposób wydać. Zdaje się, że miał nawet zamiar pogadać o tym z tobą, sam przecież odniosłeś takie wrażenie. I znów za późno, nie zdążył. Skurwiel czekał na niego w jego mieszkaniu, do którego uprzednio się włamał. Tymczasem, kiedy obaj z Modrym byliście w Matemblewie, splądrował je w poszukiwaniu dokumentów. Nie znalazł ich, gdyż Modry właśnie tego dnia rano umieścił je w skrytce, a kluczyk zawiózł do schowka domu opieki. Do zabójstwa starannie się przygotował. Najpierw zaczął się

w przedpokoju, podduśił Modrego ramieniem, a gdy ten stracił przytomność, powiesił go na haku od lampy, pozorując samobójstwo. Ale oczywiście z dalszego poszukiwania dokumentów nie zrezygnował, bo go Meyer naciskał. Dobrze główkował. Wielokrotnie jeździł do domu seniora, czując, że tam mogą być schowane. Jednak na to, że są w zakładowym sejfie, wpadł dopiero ostatniej nocy, którą spędził w mieszkaniu teścia, teraz już w ich mieszkaniu. A dokładniej – Dominiki. Tam nadal szukał, bo miał już nagrany wyjazd, czując, że coraz bardziej pali mu się pod dupą. Potem poszedł do mieszkania Modrego. I tam dopiero znalazł wskazówkę: wiadomość dla Delona ukrytą w kieszonce palta, niestety przeoczoną przez naszych techników, którzy uznali ją za nieistotną. Było to w zasadzie tylko jedno słowo: Matemblewo, numer skrytki i urzędu pocztowego. Modry najwyraźniej zapisał to wcześniej, ale nie wiedział, gdzie zostawić chłopakowi kartkę, więc ją na wszelki wypadek nosił przy sobie. Wyszkowski skojarzył fakty, a przy tym z samego rana natknął się w Internecie na nasze ogłoszenie. I spanikował. Wiedział, że musi zdążyć przed nami. Resztę wiesz.

Aha, przy twoim aucie majstrował osobiście. Anonim do muzeum wymyślili wspólnie z Dutkiewiczem. Napad na siebie sfingował, ostatecznie nie sztuka nabić sobie guza dla „wyższych” celów. Za wszelką cenę starał się odwrócić od siebie uwagę, sugerując nam sprawców z półświatka. Myślę, że Dominika także była zagrożona. Wystarczyło, że zaczęłyby się czegoś domyślać. A głupia nie jest. Teraz ma dziewczyna potężny problem, ale jest młoda i silna, poradzi sobie. Już nam wyznała, że sprzedaje oba mieszkania, z tego po Modrym będzie opłacać dom opieki, dopóki będzie trzeba, a z pieniędzy za mieszkanie ojca założą wreszcie firmę kosmetyczno-zielarską. Ponoć razem z tą koleżanką, którą poznałeś, florystką. Będą dzielić lokal: branża podobne, kwiaty, zioła i kosmetyki, pasuje. Pozbiera się dziewczyna. Najważniejsze, że przeżyła i już jej nic nie grozi. Wyszkowski długo posiedzi, za trzy zabójstwa, w tym dwa z premedytacją, może nawet dostać dożywocie. Być może skurwiel zostawiłby ją w spokoju po ucieczce z Polski, a może nie. Trudno powiedzieć. Planował w każdym razie nowe życie za granicą. Miał konto

wyłącznie na swoje nazwisko, a na nim kupę kasy, o której Dominika nie miała zielonego pojęcia. Ani dostępu do konta. Miał też nagrany kontakt w Berlinie, ale go wystawili do wiatru po śmierci Meyera. Nie pytaj, czy gwałtowna śmierć tego gangstera miała coś wspólnego z naszą historią, bo tego się zapewne nie dowiemy. Mogła być związana z jego interesami. Miał za uszami tyle, że chyba tylko cudem żył. Wracając do Wyszковского: mimo wszystko liczył, że uda mu się jeszcze coś wygrać, skoro był w posiadaniu depozytu. W każdym razie nie zamierzał już wracać do kraju, miał już nagrane lewe papiery na fikcyjną tożsamość. No. To by chyba było na tyle. Przy okazji dopadliśmy starego Dutkiewicza. Oczywiście wyłga się, ma za mocne plecy w pewnych sferach, ale przynajmniej choć trochę mu jeszcze dokopiemy. Nie będzie drań pluł nam w twarz.

– Co zrobicie z depozytem? – zapytał Emil.

Zebra napił się piwa i wzruszył ramionami.

– Zgodnie z wolą Milczanowskiego zaraz po sprawie trafi do jakiejś placówki badawczej. Jeszcze nie wiemy której, ale może Marta coś doradzi. Modry zasugerował Muzeum Archeologiczne. Może to nie jest zły pomysł, zobaczymy. Nie wiem, jaką będą z niego mieli pociechę, lecz z całą pewnością ma wartość historyczną. Natomiast prywatne notatki Milczanowskiego ty dostaniesz. Masz z nich zrobić słuszny użytek. Tak życzy sobie prawna spadkobierczyni, czyli Dominika „jeszcze” Wyszowska, bo zamierza wrócić do panińskiego nazwiska. Słusznie uważa, że jej małżeństwo było fikcją i nie chce dłużej nosić nazwiska bandyty.

– Ma rację. Powiedz nareszcie coś więcej o tych dokumentach! – nie wytrzymał w końcu dziennikarz. – Złośliwie trzymasz mnie w niepewności? Co tam było? Oczywiście chętnie przyjmę zapiski Milczanowskiego i na pewno dobrze je wykorzystam, ale wiesz, co mnie w tej chwili najbardziej ciekawi...

– Aaa! No fakt. Sorki, nie pomyślałem, że siedzisz tu jak na szpilkach – roześmiał się dobrotliwie komisarz. – No więc są tam całkiem nieźle zachowane, choć nieco spłowiałe zdjęcia, w liczbie sztuk czterech, z Fawcettem na tle jakichś niezidentyfikowanych ruin, wyraźnie widać też dżunglę. I jest mapa, odręcznie naszkicowana,

z zaznaczonym punktem. Coś jak znikający punkt – znowu się zaśmiał. – Fatamorgana. Dostaniesz kopie, obiecuję. Zdjęcia są prawdziwe. To na pewno nie fotomontaże, zostały zbadane. Za to mapka jest fałszywa. Ten wasz Fawcett nieźle wykiwał gestapowców. Cwaniak! Należą mu się wyrazy uznania.

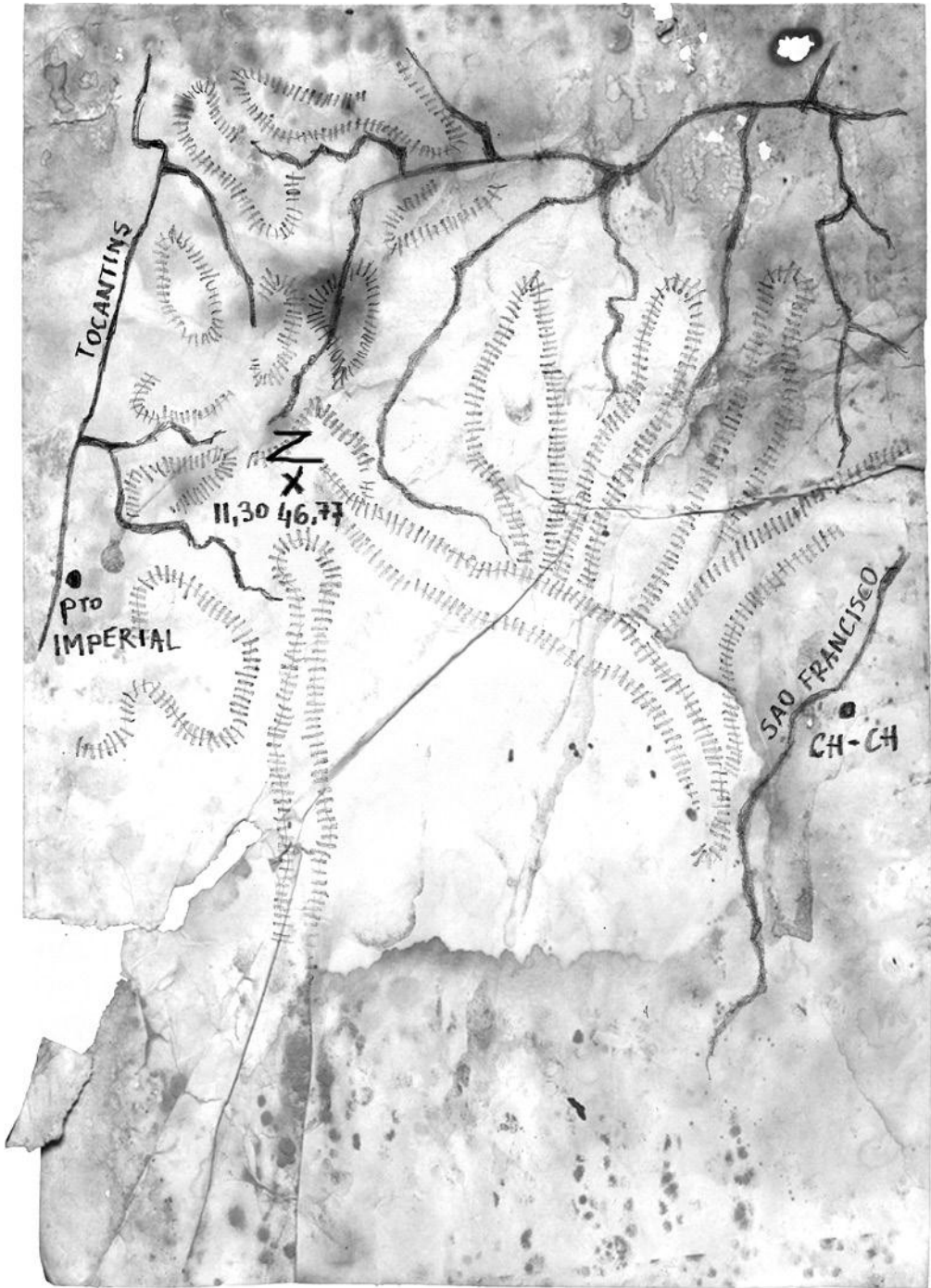
– W jakim sensie fałszywa?

– Zaraz ci pokażę. Czekaj.

Zebra poszedł do drugiego pokoju i po chwili wrócił z laptopem. Włączył go i kliknął w jeden z plików.

– Jeszcze sekunda... musi się załadować... No, zobacz sam – powiedział radośnie.

Na ekranie ukazała się fotografia:



Emil poderwał się gorączkowo.

– Tu jest zaznaczone zaginione miasto! – wykrzyknął. – Oznaczone jako „Z”! To przecież tego wszyscy szukają...

– Staruszkule, spokojnie – utemperował go przyjaciel. – Bo ty też wpadniesz w obsesję. Owszem, jest zaznaczone, ale w tym miejscu nie ma żadnego miasta. I nigdy go tam nie było. Nasi już to wyjaśnili. Sam możesz sprawdzić, choćby w mapach Google. Syn ci bez trudu znajdzie. Pech dla hitlerowców, że wtedy ich jeszcze nie było – zachichotał. – Na razie musisz mi uwierzyć na słowo, bo mnie się teraz nie chce szukać. W miejscu zaznaczonym przez Fawcetta jest skalista góra. Wielka, goła i płaska jak stół. Nazywa się Serra da Jalapinha. Nie ma tam żadnej dżungli. I na pewno jej tam nie było, przynajmniej w czasach historycznych. Podane na mapie współrzędne pokazują akurat sam środek tej góry. Jednym słowem, wasz podróżnik wystawił szkopów rufą do wiatru. Zrobił to celowo, to jasne. Miasto zapewne istniało, wskazują na to zdjęcia. Ale z pewnością nie tam, gdzie je zaznaczył Fawcett.

– Więc gdzie ono może być? – zapytał Emil bezradnie, zdając sobie sprawę, że to pytanie retoryczne.

– To już nie do nas pytanie. Pewnie całkiem gdzie indziej. Tak zresztą wynika z odręcznego napisu, pozostawionego na odwrocie mapy, ledwie czytelny, bo sporządzony ołówkiem kopiającym, zapewne osobiście przez tego gestapowca. Napisał tam coś w tym stylu, że „spotkanie odbyło się w innym miejscu”. Nie wiemy jakie spotkanie, jednak określenie „inne miejsce” wydaje mi się dość znaczące. Reszta to już problem dla was, szperaczy. Będziecie mieli z Martą nad czym myśleć! Statuetka chwilowo zapadła się pod ziemię, ale też pewnie kiedyś ponownie wypłynie, zazwyczaj tak się dzieje. À propos Marty, jesteście nareszcie znowu razem, dopóki was śmierć nie rozłączy? – Mrugnął do Emila, głaszcząc machinalnie śpiącą kotkę.

Emil zachnął się i otworzył nowe piwo.

– Nie rozmawiajmy już dzisiaj o śmierci, dobrze? – zaproponował kwaśno.

Epilog

Kilka dni wcześniej

– Matko, no wiesz co... wariat! – Marta odebrała z jego rąk doniczkę, lekko zdziwiona, nieco zażenowana i bezsprzecznie zadowolona. – Kupiłeś dla mnie orchideę Cattleya?!

– Nie dla ciebie, tylko dla Bolera – roześmiał się, nie mniej zażenowany, lecz również bezsprzecznie zadowolony

Obronnym gestem osłoniła kwiat.

– Nie dam mu jej, mowy nie ma. On wcina swoją trawkę, storczyki nie są dla kotów. Jest moja!

– Niech ci będzie. – Mrugnął, wieszając kurtkę na haczyku. – Skoro tak ci zależy...

– A zależy. Cudowna jest. Wyjątkowy okaz! Dzięki. – Wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

Mały gest, a cieszy – pomyślał.

Marta gestem wskazała mu kuchnię, a sama zaniósła kwiat do pokoju. Ustawiła go na sekretarzyku pod oknem. Na tle koronkowej kremowej firany prezentował się jak kompozycja malarska. Gdy weszła do kuchni, Emil siedział przy stole z kocurem na kolanach. Bawili się pluszową myszką.

– Uwaga, dziś będzie pizza! – oznajmiła.

– Zgodnie z tradycją?

– Zgadza się. A ty opowiadaj.

Bolero wziął zabawkę w zęby i zeskoczył. Po chwili bawił się na podłodze, zerkając tylko co jakiś czas, czy jest odpowiednio podziwiany.

– W zasadzie nie mam za dużo do opowiadania – odparł Żądło. – Wszystko, co wiem, powiedziałem przez telefon. Za parę dni spotkam się z Zebłą, wtedy dowiemy się więcej. Na razie wiadomo tylko, że zatrzymali Wyszkowskiego razem z depozytem. Dokumenty w tej chwili bada policja. Z przecieków słyszałem, że mają wszystko oprócz posążka. Może niemiecka policja go odnajdzie...

– To nic, ważne, że choć one się odnalazły. Mam nadzieję, że przynajmniej je nam pokażą? – Wyjęła dwa placki z piekarnika i nałożyła na duże talerze. Podała do nich sos tabasco. – Strasznie mnie to ciekawi. Aż mnie skręca!...

Emil napełnił kieliszki czerwonym winem. Sobie nalał tylko połowę.

– Na pewno pokażą – obiecał. – Wydębę od Marka kopie. Musimy w końcu znaleźć to zaginione miasto! – roześmiał się.

– Jeśli Fawcett poda lokalizację, to już inni je znajdą. I zrobią z niego komercyjną atrakcję. Wykarczują puszcę, tak jak u nas, wybudują szosę, postawią kioski z pamiątkami, będą sprzedawać bilety, lody i popcorn. Wycieczki zaczną tam przyjeżdżać autokarami. Wiesz, chyba wolałabym, żeby go nie znaleźli...

– Hej, nie kracz!

– Wcale nie kraczę. Tak by było. – Wzruszyła ramionami. – Zawsze tak jest.

– Ale ja się z tobą zgadzam. Też uważam, że tajemnica powinna pozostać tajemnicą. Znasz mnie. Co innego dopaść bandziora, rozwiązać zagadkę morderstwa, a co innego naruszyć sekret, sprofanować go. Są rzeczy i sprawy, które powinny trwać w ukryciu. Przynajmniej dopóki...

– Dopóki ludzkość nie zmądrzeje?

– Powiedzmy. O ile to w ogóle możliwe – uśmiechnął się.

– Emil, nie masz wrażenia, że popadamy w paranoję? – Marta również się uśmiechała.

– Cóż. To kwestia pasji!

– A pasja często przeradza się w obsesję. – Spoważniała. – Pomyśl, co kierowało tymi ludźmi. Tymi wszystkimi poszukiwaczami, nazistami, Milczanowskim, jego zabójcami, samym Fawcettem w końcu? Przecież to czysta mania...

– I kto to mówi?

– No właśnie. Ja doskonale rozumiem tę manię. Dlatego że sama od lat ulegam obsesjom. Jest tylko jeden szkopuł: trzeba uważać, żeby nie przekroczyć pewnych granic. Pasja jest cudowną rzeczą, dopóki nikomu nie szkodzi. Gorzej, jeśli w jej imieniu jesteś gotów zabijać.

Dziennikarz odłożył na bok sztucce.

– A ty jesteś? – zapytał poważnie.

– Nie, na szczęście nie! – roześmiała się. – Chyba nie? – dodała znacząco.

– Więc póki co nie ma się o co martwić.

– Może. Miałam ci powiedzieć, że dzwonił Kleczko. Twój ulubiony redaktor. Dopytywał, nad czym teraz pracujesz.

– Co mu powiedziałaś?

– To co zwykle. Żeby spadał.

– Bardzo dobrze.

– A dokładniej, że nie możesz się opędzić od zamówień.

– I to się zgadza. – Skinął głową z uśmiechem. Wolałby jeść ziemię z głodu niż sprzedać się pozbawionemu zasad brukowcowi.

Po kolacji z filiżankami kawy przenieśli się do pokoju. Bolero, porzucając zabawkę, poszedł za nimi i zajął swoje miejsce na parapecie. Za oknem panował niemal nierealny spokój: po raz pierwszy od wielu dni przestało padać. Tymczasem rozmowa ponownie zesłała na Fawcetta

i jego zaginione miasto, a następnie – drogą naturalnych skojarzeń – oboje przeszli do wspomnień na temat swych dawnych wspólnych spraw. I w ogóle do wspomnień. Czas przestał płynąć. Zanim się zreflektowali, minęło dobrych parę godzin: raptem okazało się, że dochodzi północ.

Emil niechętnie podniósł się z fotela.

– Późno już. Będę się zbierał.

– Ale piłeś wino...

– Tylko pół kieliszka.

Poszła za nim do drzwi. Gdy już się ubrał, objęła go:

– Jeszcze raz dzięki za kwiat. I za wszystko – odezwała się cicho, z twarzą schowaną w jego kurtce.

Przytulił ją mocno. Kiedy jeszcze byli razem, rzadko się tak po prostu przytulali. Oboje nie byli raczej zbyt wylewni.

– Królowa dla królowej – i tym razem próbował obrócić wszystko w żart, choć nie było mu wesoło.

Odsunęła się.

– Dzięki.

Stali tak jeszcze przez chwilę, zmieszani. W końcu Żądło zdecydował się przerwać tę pełną nienaturalnego napięcia sytuację. Otwierał już drzwi, gdy do przedpokoju truchtem wbiegł Bolero. Emil schylił się, by go pogłaskać, ale kot miał inny plan. Stał na słupku, po czym wspiał się zwinnie po nogawce spodni Emila, aż znalazł się na jego piersi. Dziennikarz wtulił nos w puszyste rude futro, czując, jak zwierzak wpija się pazurkami w kołnierz kurtki. Na brodzie poczuł jego ciepły oddech i szorstki języczek. Marta patrzyła na to bez słowa. Tylko jej oczy dziwnie błyszczały. Emil spróbował postawić kota z powrotem na podłodze, ten jednak coraz mocniej wpijał się pazurami w jego kurtkę. Zawsze był ciężki, wielki i silny. Niełatwo było z nim walczyć. Wtulał się w Emila coraz mocniej. Do tego dramatycznie głośno i przejmująco mrucał.

– Może go weź... – zasugerował Emil Marcie. Czuł się bezradny.

Zabłocka spróbowała oderwać kota od dziennikarza, ten jednak warknął ostrzegawczo, a gdy w końcu udało się postawić go na ziemi, z uporem zaczął się wspinać z powrotem po nogawce Emila, mrucając

jeszcze głośniej. W szczególności tego mruczenia nie byli w stanie spokojnie słuchać. Działo jak bolesny wyrzut sumienia.

Marta ocknęła się pierwsza:

– Jesteśmy debilami – oświadczyła. – Oboje. On jest mądrzejszy od nas. Zostań. Proszę. I tak będziemy się kłócić, ale... chrzanić to. Nadal jest tu twoja stara szczoteczka do zębów. Resztę rzeczy możesz przecież przywieźć jutro rano...

Kilkadziesiąt lat wcześniej

Nad puszcza wkrótce zapadnie zmrok, jednak stary mężczyzna nie bał się puszczy. Nadal siedział, zamyślony, zasłuchany, wpatrując się w opustoszałe, uśpione ruiny. Bo Miasto wcale nie było martwe. Tylko spało. Pograżone we śnie, żyło życiem tysięcy lat i tysięcy duchów. Żyło bujną roślinnością, która od wieków próbowała nim zawładnąć, lecz nie dawała rady, ponieważ wciąż jeszcze żyli także ludzie, ludzie-zjawy, którzy nie pozwalali jej pochłonąć na dobre świętych kamieni. Żyło życiem tych ludzi, wciąż oddających Miastu cześć. Żyło w harmonii z naturą, w szelestach, bzyczeniu owadów, świergocie ptaków, odgłosach dzikich zwierząt. Zapachem i dźwiękiem. Starzec rozumiał je wszystkie, czytał w nich jak w otwartej księdze.

Odczuwał spokój. Nie szczęście – ono już nigdy nie będzie mu dane, odkąd zmuszony został na zawsze opuścić swój świat, którego nie cenił, lecz pozostawił w nim coś dla siebie cennego. Miłość. Jednak od kiedy poznał Tajemnicę, Miasto było ważniejsze. Ważniejsze niż wszystko. Pamięć. Źródło. Dowód na to, że moglibyśmy być lepsi. Musiał je chronić, taka była jego misja. Jego sekretny skarb. Uśmiechnął się do siebie. Właśnie uratował ten skarb przed barbarzyńcami. Choćby nie wiadomo jak długo szukali, nie znajdą go. Prędzej zginą. Albo się nawzajem pozabijają. Dał im to, czego się domagali, a zarazem nie dał niczego. Oprócz złudzeń. Niczego także nie żałował. Nawet srebrnego bożka. Takich artefaktów jest tutaj wiele.

Być może Miasto nigdy nie zostanie odkryte. On sam w końcu odejdzie. Być może kiedyś zabraknie także strażników o białych

twarzach i indiańskiej duszy, a wtedy pożre je dżungla.

Być może.

Lepiej jednak, by na zawsze pochłonęła je puszcza, niż żeby dostało się w niepowołane ręce, w ręce prymitywnej, aroganckiej tłuszczy, która nie ma pojęcia, skąd i po co przyszła, ani też dokąd zdąży. Czuł burzę w powietrzu. Nie, nie tutaj: burzę w dziejach świata. Będzie trwała długo. Może jednak Miasto przetrwa kolejne wieki i kiedyś nadejdzie dla niego czas odrodzenia. Kiedy ludzkość ochłonie i pojmie to, co w istocie ważne. Dopiero wtedy wyjawí jej swoje tajemnice.

Być może.

Czas wracać do bazy. Oddać Miasto duchom.

KONIEC

Zalecane lektury

P.H. Fawcett, *Śladami Inków (!)*

David Grann, *Zaginione miasto Z*

Zdzisław Skrok, *W poszukiwaniu Eldorado i ziemi obiecanej*

Hiram Bingham, *Zaginione miasto Inków*

Elżbieta Dzikowska, *Vilcabamba – ostatnia stolica Inków*

C.W. Ceram, *Pierwszy Amerykanin*

Aleksander Kondratow, *Zaginione cywilizacje*

Polecam także artykuł Aleksandry Postoły *W poszukiwaniu zaginionego miasta* (styczniowy numer „Wiedzy i Życia” z 2010 roku).

Spis treści

Od autorki

Podziękowania

Prolog

Część I

Część II

Część III

Epilog

Zalecane lektury

